

KAROL MAY

DROGA DO WOLNOŚCI

DAS WALDRÖSCHEN ODER DIE VERFOLGUNG RUND UM DIE ERDE VI

OFICER GWARDII

Życie podobne jest do morza o niezmierzonej głębi fal. Na brzegu stoi bezradny człowiek i wysyła tysiące pytań do losu, a los odpowiada nie słowem, tylko faktami. Wydarzenia rozgrywają się jakby samoistnie, śmiertelnicy muszą z pokorą i cierpliwie czekać na to, co przyniesie czas.

Często człowiekowi wydaje się, że to, czego doświadczył, przyniesie pożądane skutki, gdy tymczasem mijają dni, miesiące i lata, a nic się nie dzieje. Można odnieść wrażenie, iż przeszłość nie ma najmniejszego związku z teraźniejszością. Człowiek, jako istota słaba zaczyna wątpić w sprawiedliwość opatrności. Jednak ona chadza niezbadanymi ścieżkami i w chwilach, kiedy się tego najmniej spodziewamy, nadaje zdarzeniom bieg. Wtedy człowiek, ku swemu ogromnemu zdziwieniu poznaje, że los powiązał nicie życia w wielki supeł i teraz każe człowiekowi rozwiązywać go.

Tak też było z losami, których nici zbiegały się w leśniczówce w Kreuznach. Mijały dni, miesiące i lata, a o drogich osobach, które wyruszyły w daleki świat, wszelki śluch zaginął. Czyżby już nigdy nie miały powrócić? Myśl ta wielce niepokoiła mieszkańców leśniczówki. Gdy okazało się, że dalsze poszukiwania są daremne, ból wzmógł się jeszcze bardziej. Ale czas, który jest najlepszym lekarstwem i koi wszystkie cierpienia, zrobił swoje. Mieszkańcy Kreuznach przestali się już skarżyć, nie rozpaczali, tylko w sercach ich zostało wciąż żywe wspomnienie o zaginionych. Nikt też nie miał odwagi przyznać się nawet przed samym sobą, że utracił wszelką nadzieję.

Tak minęło szesnaście długich lat, zanim szereg wypadków, które jak się zdawało zakończyły się bezpowrotnie, nagle znalazły dalszy ciąg.

* * *

W jednym z najznakomitszych domów Berlina, który stał niedaleko lasu, a odwiedzany był najczęściej przez oficerów i wysoko postawionych urzędników, pewnego ranka siedziała masa młodych ludzi, którzy sądząc po mundurach, należeli do wojsk wszelkiego rodzaju. Przyszli na jedno z tych znakomitych śniadań, których cena wynosi często kilkaset marek i zdawało się, że już byli w stanie podnieconym wskutek dosyć gęsto ustawionych kieliszków wina.

Śniadanko to było wynikiem pewnego zakładu.

Porucznik Ravenow, który służył w huzarach i posiadał niezmierny majątek, był znany jako najprzystojniejszy i najroztropniejszy oficer i cieszył się takim wzięciem u dam, iż się chełpił, że nigdy jeszcze nie dostał kosza. Aż oto pewnego czasu osiedlił się w Berlinie rosyjski książę, którego córka była rzadką piękną i dlatego młody kwiat męski wielce o nią zabiegał. Ona jednak zdawała się tych zabiegów nie dostrzegać i odpychała wszelkie awanse, tak dumnie i stanowczo, że powszechnie uważano ją za zdeklarowaną nieprzyjaciółkę rodu męskiego. I nawet podporucznik Goltzen z kirasjerów zyskał jej otwartą i dlatego wielce fatalną odmowę, a kamraci srodze się z niego naśmiewali. Największym wyśmiewaczem był Ravenow i aby się zemścić wciągnął go Goltzen do zakładu, że i on dostanie kosza, stawką miało być solenne śniadanko. Ravenow zakład przyjął i... wygrał, gdyż od kilku dni pojawiał się w towarzystwie Rosjanki i było widoczne, że ona darzy go zainteresowaniem.

Dzisiaj musiał więc Goltzen wypłacić przegraną i kamraci zatroszczyli się o to roztropnie, nie mogło zabraknąć niczego, także i drwin.

— Tak, Goltzen, tobie się powodzi tak samo jak mnie — trząskał długi, cienki jak wrzeczono kapitan strzelców. — Nam obu odmówiła swych łask, nie wiedzieć u diabła, czemu.

— Ba! — zaśmiał się zaczepiony. — U ciebie jest to łatwe do wytłumaczenia, po prostu nie masz szczęścia u kobiet. Która odważyłaby się wyjść za ciebie, musiałaby uszczęśliwić trzy mile zbioru kości, a to ciężka praca, której mógłby się podjąć może jakiś preparator, ale nie dama. Jeśli zaś chodzi o mnie, to nie czuję się urażony. Wprawdzie przegrałem zakład, ale nie dla kosza, tylko dlatego, że Ravenow nie dostał takowego. Jestem przekonany, że i on trafi na mistrzynię, która zmusi go do rejterady.

— Ja? — zapytał Ravenow. — Co ty gadasz! Jestem gotów do każdego zakładu. Zwycięzę zawsze i wszędzie.

— Oho! — zabrzmiało dokoła.

— Tak jest — powtórzył. — Wszelki zakład i o każdą dziewczynę. Klnę się na mój honor!

Uderzył rękaw miejsce, gdzie zazwyczaj była rękojeść odłożonej szpady i patrzył wyzywająco na kolegów. Jego zarumienione policzki były dowodem, że pił raczej tego i stąd mogła też pochodzić jego pewność siebie. Goltzen podniósł w górę palec w ostrzegającym geście i rzekł:

— Miej się na baczności stary, bo złapię cię za słowo!

— Uczyni to! — zawołał Ravenow. — Nie złapiesz mnie. Oświadczam, że boisz się aby przypadkiem nie płacić za kolejne śniadanko.

W oczach Goltzena błysnęło, wstał i zapytał:

— Idzie o każdy zakład?

— O każdy — brzmiała zarozumiała odpowiedź.

— O każdą dziewczynę?

— O każdą! Oczywiście!

— Dobrze! Stawiam mojego karego, a ty swojego araba...

— Do diabła! — zawołał Ravenow. — To diabelnie niesprawiedliwie, aleja się nie cofam. Przyjmuję! O którą dziewczynę chodzi?

Cyniczny uśmiech pojawił się na ustach Goltzena, ale odpowiedział spokojnie:

— Dziewczyna z ulicy i ta, którą ci wskażę między obecnie przechodzącymi.

Głośny śmiech zabrzmiał dokoła. Jeden z obecnych zauważył:

— Brawo, Goltzen ofiaruje swojego konia, aby Ravenow zyskał sobie sławę zdobycia jakiejś szwaczki albo wątpliwej urody nimfy zza lady. A to heca!

— Stój! Stawiam sprzeciw! — rzekł Ravenow. — Powiedziałem wprawdzie „każdą dziewczynę”, ale zakładam, jeśli jest to możliwe, pewne ograniczenie. Chodzi o to, aby to nie była jakaś tam dziewczka. Tyle się mi należy. Jeśli ma to być dziewczyna spotkana na ulicy, to zastrzegam sobie, żeby wybrać ją z tych co jadą, a nie idą!

— Zgoda! — zawołał Goltzen. — Masz nawet jeszcze jedno ustępstwo, będzie to dziewczyna jadąca dorożką.

— Dziękuję ci! — skinął zadowolony Ravenow. — Ile czasu mi dajesz na zdobycie tej twierdzy?

— Pięć dni od dzisiaj począwszy.

— Zgoda! Niech się więc rozpocznie zabawa. Mam dużo czasu! Wstał i przypasał szpadę. Z trudem można było poznać po nim ilość wypitego wina i kto go widział tak stojącego z wyrazem pewności siebie, nawet nie wątpił, że wykorzysta swe męskie przymioty. Panowie oficerowie są przez damy wyraźnie rozpieszczani, mogli więc uważać, że zwycięstwo nie będzie trudne.

Od tej chwili w komnacie panowało napięcie.

Panowie stali przy oknach i oglądali przejeżdżające powozy. Myślano, która z dam może zostać wybrana dla Ravenowa? Takiego zakładu jeszcze nie było. „Interesujące! Kolosalne! Nie do uwierzenia! Piramidalne! Nadzwyczajne! Zuchwałe! Diabelnie! Grandioso!” To pojedyncze, oderwane słowa, które powtarzały usta oczekujących. Aż wreszcie jeden z oficerów zawołał:

— A pyszne ! To prawdziwa piękność!

— Gdzie, gdzie?

— Tam, na zakręcie. Ten nowy powóz — odpowiedział.

Powóz jechał pomału. W głębi siedziała obok starszej damy młoda dziewczyna o wspaniałej, trudnej do opisanego urodzie. Twarz miała oblaną delikatnym rumieńcem, włosy ciężkie i grube splecione w dwa, opadające warkocze. Rysy jej były tak czyste, dziecinne, niewinne, a jednak w jej ciemnych oczach błyszczało światło, które nie mogło wróżyć śmiałkom powodzenia. Można było poznać, że dopiero niedawno stała się dziewczyną, ale i tak w przyszłości rozwinąć się z niej musiała piękność iście królewska.

— Wspaniała! Niezrównana! Kto to? Nieznajoma? Boginka! Wenera! Nie, Dydona! Prędzej Minerwa!

Takie głosy słysząc było wkoło. Goltzen obrócił się, wskazał na powóz i rzekł:

— Ravenow, to ta!

— Ach, zgoda! Całkowita zgoda! — zawołał ten tonem pełnym triumfu.

Poprawił mundur, spojrział w lustro na swą postać, wziął szpadę i wybiegł.

— Szczęśliwiec, na mój honor! — zawołał drugi kapitan patrząc za nim z zawiścią. — Ciekawi mnie, jak on to zacznie!

— Ba, pojedzie za nimi dorożką i dowie się o jej adres — rzekł jeden z panów.

Goltzen zaśmiał się zimno:

— I straci jeden dzień. Nie on się postara już dzisiaj rozpocząć rozmowę.

— Ale, jak ją rozpocznie?

— Nie troszczcie się o to! W tej dziedzinie ma on dużo doświadczenia, aby zaś uratować araba, wyteży cały swój pomysłupek.

— Aha, on naprawdę bierze dorożkę i jedzie za nimi!

Ravenow rzeczywiście wsiadł do dorożki. Rozkazał woźnicy pędzić za powozem zaprzężonym w parę siwków. Oba powozy skręciły w stronę lasu i można się było domyślić, że obie damy pragną odbyć przejażdżkę po tym pięknym parku.

Kiedy wjechało w aleję mniej uczęszczaną, oficer rozkazał wyprzedzić powóz, najpierw jednak sięgnął do kieszeni, aby zapłacić. Skoro dorożka wjechała przed powóz, obrócił się w bok, zgiął się, udał zdziwienie i pozdrowił pasażerki powozu tak, jakby znał je od dość dawna. Dał znak woźnicy powozu, by się zatrzymał, wyskoczył ze swej dorożki, która zaraz zawróciła, a powóz został zatrzymany.

— Dalej! — rozkazał woźnicy.

Kiedy powóz ruszył otworzył drzwiczki i wsiadł bez ceremonii do środka, z twarzą uradowaną. Udał, że nie spostrzega zdziwionych, ba nawet obrażonych min obu dam. Potem wyciągnął do dziewczyny obie ręce i zawołał z nadzwyczaj dobrze udanym zachwytem:

Paula! Czy to możliwe? Co za spotkanie! Od kiedy jest pani w Berlinie? Dlaczego nie napisała pani o tym do mnie?

Mój panie, zdaje się, że bierze pan nas za kogoś innego! — rzekła starsza dama z bardzo poważną miną.

Udał zdziwienie, a zarazem zaskoczenie, tak jakby panie chciały z niego żartować, więc odpowiedział:

— Proszę o przebaczenie, łaskawa pani! Nie miałem jeszcze zaszczytu być pani przedstawionym, Paula jednak z pewnością się o to postara!

I zwracając się do młodej kobiety poprosił:

— Proszę mnie łaskawie przedstawić tej damie!

Z głębokich, poważnych oczu dziewczyny padło na niego badawcze spojrzenie, a potem usłyszał miły głos, podobny do wiosennego dzwoneczka:

— Nie jest to możliwe, gdyż ja sama pana nie znam! Kim pan jest?

Cofnął się z wyrazem najwyższego oburzenia i rzekł:

— Jak to? Wypierasz się znajomości ze mną? Czym sobie na to zasłużyłem? Ach, zapomniałem, że pani lubi czasem żartować.

Znowu spotkał badawczy wzrok, ale nieco groźniejszy niż wcześniej, a kiedy znów się odezwała w jej głosie brzmiało wyniośle skarcenie. Poczł mimo woli dreszcz.

— Ja nigdy nie żartuję z osobami, których nie znam, albo nie chcę znać, mój panie. Spodziewam się, że nic innego nie dało panu powodu tak bezpośredniej napaści na nasz powóz, jak chyba tylko rzeczywiście fatalna pomyłka. Proszę się w końcu przedstawić!

Udało mu się bardzo dobrze udawać zdziwienie i przerażenie, z równie dobrze udanym pośpiechem odparł:

— Ach, doprawdy? Mój Boże, czyżbym się naprawdę pomylił? Ależ takie podobieństwo jest wręcz nieprawdopodobne, nigdy bym się nie spodziewał. Muszę tę zagadkę rozwiązać — i kłaniając się nisko obu damom dodał: — Nazywam się Hugo von Ravenow, hrabia Hugo Ravenow, porucznik huzarów gwardii jego cesarskiej mości.

— Tak, potwierdza się więc to, że my pana nie znamy — powiedziała dziewczyna. — Ja nazywam się Róża Sternau, a ta pani jest moją babcią.

— Róża Sternau? — spytał widocznie zmieszany. — Czy to możliwe? Jest mi bardzo niezręcznie, jestem ofiarą podobieństwa prawie nie do uwierzenia i bardzo proszę łaskawe panie o wybaczenie.

— Jeśli naprawdę chodzi o takie podobieństwo, to musimy panu wybaczyć — rzekła Róża, ale w jej tonie jak i w spojrzeniu widoczne było niedowierzanie. — Czy mogę pana prosić o poinformowanie mnie na temat mojego sobowtóra?

— Alez bardzo proszę, panno Sternau! To moja kuzynka Marsfelden.

— Marsfelden? — spytała Róża, patrząc zdziwiona to na mego, to na babkę. — Marsfelden, to szlacheckie nazwisko, gdzie mieszka ta Paula von Marsfelden?

Oblicze oficera wypogodziło się. Po tym pytaniu spodziewał się, że dama gotowa jest nawiązać rozmowę, a to było jego celem. Sądził, że bardzo łatwo mu poszło. Damy nazywały się całkiem pospolicie, musiały więc pochodzić z mieszczańskiej rodziny, a która dziewczyna z tego stanu nie uważa się za szczęśliwą, gdy ma możliwość nawiązać znajomość z porucznikiem gwardii i do tego hrabią? Nie spodziewał się pułapki w pytaniu Róży i dlatego całkiem spokojnie dodał:

— Tak jest, Paula Marsfelden, przebywa na dworze wielkiej księżnej. Ponieważ wielka księżna bardzo ją ceni i zawsze chętnie chce mieć ją w pobliżu, dlatego bardzo się zdziwiłem widząc ją tutaj, w Berlinie. Muszę do niej zaraz dzisiaj napisać, że tu w Berlinie przebywa tak piękny i godny podziwu jej obraz.

Na ustach dziewczyny pojawił się lekceważący uśmiech i pogardliwie odpowiedziała:

— Proszę pana, by zaoszczędził sobie trudu.

— Dlaczego, moja pani?

— Gdyż ja sama powiem o tym pannie Marsfelden.

— Pani sama? A to dlaczego?

— Gdyż dama ta jest moją przyjaciółką. Oświadczam panu także, że ja też mam zaszczyt być szczególnie cenioną i lubianą przez wielką księżnę.

— Tak?

Zabrzmiało to jak przerażenie. Poznał, że jeżeli nie popsuł całej sprawy, to na pewno znacznie ją skomplikował. Ta mieszcza ma wstęp na wielkksiążęcy dwór? Ta dziewczyna znała damę, która mu właśnie przysłała do głowy? Paula Marsfelden wcale nie była z nim spokrewniona, nazwał ją kuzynką tylko dlatego, aby mieć podstawę do usprawiedliwienia swego bezpardonowego wtargnięcia do powozu.

— Przeraża to pana? — spytała Róża z dumną obojętnością. — Nie pomyliłam się więc co do pańskiej osoby. Jest pan wprawdzie hrabią i oficerem, ale obok tego także kłamcą, awanturnikiem, a nawet wielkim i bezczelnym awanturnikiem.

— Pani! — krzyknął oficer.

— Poruczniku? — odparła z najgłębszą pogardą.

— Gdyby pani była mężczyzną, to natychmiast zażądałbym satysfakcji, klnę się na moją cześć! Czy to ja jestem winien podobieństwu, przez które zaszła ta pomyłka?

Teraz pani Sternau cała rozdrażniona chciała zabrać głos, ale Róża przeprosiła ją i wzięła na siebie całą odpowiedź. Po tej młodej dziewczynie nie można się nawet było spodziewać takiej gwałtowności i stanowczości.

— Proszę milczeć! — rzekła. — Gdybym była mężczyzną, to biła bym się tylko z ludźmi honoru. Czy pan nim jesteś, wątpię. Co się zaś tyczy podobieństwa, na który się pan powołujesz, to jest ono zwyczajnym kłamstwem. Panna Marsfelden jest tak samo podobna do mnie, jak pan do człowieka honoru. Szukał pan zwyczajnej, płytkiej awanturki; znalazł ją pan, chociaż z innym skutkiem niż się pan spodziewał. Widzi więc pan, że odegrałeś już swoją rolę, dlatego proszę nas zaraz opuścić!

Była to odprawa jakiej porucznik jeszcze nigdy w życiu nie otrzymał. Ale należał do ludzi, którzy nigdy nie dawali za wygraną. Czyżby miał pogodzić się z przegraną? Nie, koń miał dla niego zbyt wielką wartość. Zresztą można się było posunąć do innych środków, tak aby osiągnąć cel. Zrobił skruszoną minę i powiedział:

— Dobrze, muszę pani przyznać częściową rację. Położenie moje zmusza mnie do tego, by powiedzieć pani, a właściwie wyznać jej całą prawdę, narażając się przy tym być może na zrobienie następnego głupstwa i powiększenia pani gniewu.

— Gniewu? — uśmiechnęła się Róża wyniośle. — O gniewie nie może być tu mowy. Mnie mógłby rozgniewać tylko ktoś równy mnie. Nie spowodował pan mego gniewu, zyskałeś tylko pogardę. Nie interesuje mnie, co ma mi pan do powiedzenia, dlatego powtórnie proszę o opuszczenie powozu!

— Nie i powtórnie nie! — odparł natarczywie. — Musi pani usłyszeć co mam na swoją obronę.

— Muszę? Zobaczymy czy muszę!

Patrzyła na alejkę, jakby kogoś szukała, tymczasem porucznik mówił

— Jest prawdą, że całymi tygodniami pędzę za panią, od kiedy pierwszy raz ją tylko ujrzałem. Widok pani nappełnił moje serce uczuciem.

Tu przerwał mu perlisty śmiech Róży. Och, jakby chętnie teraz pocałował tę dziewczynę! Poczuli, że może zostać schwytyany na gorącym uczynku.

— Więc całymi tygodniami pan za mną pędzi?

— Tak, słowo honoru, moja pani!

— Tu, w Berlinie?

— Tak jest — odpowiedział nieco nieśmiało.

— I mówi pan, że chce mi wyznać prawdę?

— Czystą, szczerą prawdę, przysięgam!

Położył rękę na sercu. Nie zauważyła jednak tego, gdyż w pobliżu stał stójkowy, którego tak wypatrywała.

— No to powiem pan, że znowu kłamiesz. Nigdy wcześniej nie byłam w Berlinie, a przyjechałam do tego miasta dopiero wczoraj. Jesteś pan człowiekiem nędznym i niepoprawnym. Żałuję, że armia ma takiego jak pan żołnierza i po raz ostatni rozkazuję panu, wysiąść z naszego powozu!

— Nie pójdę wcześniej, dopóki się nie usprawiedliwię — powiedział. — A jeżeli mnie pani nie zechce wysłuchać to zostanę, by dowiedzieć się, gdzie pani mieszka i tam ją odwiedzę by móc nadal się bronić.

Róża aż zarumieniła się z oburzenia i z największym lekceważeniem w głosie rzekła:

— Czy sądzi pan, że dwie kobiety są za słabe, by się obronić? Udowodnię panu coś wręcz przeciwnego, Janie, proszę stanąć!

Woźnica posłuchał, powóz stanął w miejscu, w pobliżu stójkowego, ale porucznik siedzący tyłem nie mógł go zauważyć. Oparł się niedbale o siedzenie i postanowił grać swą rolę do końca. Nawet gdyby dziesięć razy kazała zatrzymać powóz, on i tak nie ruszyłby się ze swego miejsca.

— Panie policjancie, proszę do nas podejść! — zawołała Róża.

Wtedy porucznik obrócił się, dojrzał zbliżającego się i poznał zamiary dziewczyny. Nie mógł ukryć swego zakłopotania, przestraszone oblicze oficera zaczerwieniło się. Już chciał coś powiedzieć, aby zażegnać niebezpieczeństwo, ale Róża mu na to nie pozwoliła.

— Panie policjancie, — rzekła — ten człowiek napadł na nas w powozie i nie chce nas opuścić. Proszę nam pomóc!

Policjant spojrział zdziwiony na porucznika. Ten zrozumiał, że najlepiej zrobi, gdy jak najszybciej skapituluje, nie czekając na wynik sprawy wysiadł i rzekł:

— Ta dama tylko żartuje, ale już ja się o to postaram, by spoważniała.

Odszedł rzuciwszy groźne spojrzenie w stronę powozu.

— No, jesteśmy już wolne, dziękuję panu! — powiedziała do policjanta, a woźnicy kazała jechać.

Porucznik poczuł się upokorzony jak jeszcze nigdy w życiu. Był po prostu wściekły. Ten podlotek odpłaci mu jeszcze za to. Wtem zobaczył pustą dorożkę jadącą naprzeciw niego. Wsiadł i kazał woźnicy jechać za widocznym w dali powozem. Chciał za wszelką cenę dowiedzieć się, gdzie damy mieszkają.

Gdy opuściły park, powóz mknął przez uliczki, a potem zatrzymał się przed budynkiem przypominającym pałac. Damy wysiadły, lokaj w liberii czynił honory, a powóz wjechał w głąb zabudowań. Ravenow wiedział już dosyć, zobaczył po drugiej stronie domu restaurację, gdzie liczył na dalsze informacje.

Kazał jechać do swojego mieszkania, zrzucił mundur, włożył na siebie cywilne ciuchy i w nich udał się do restauracji, będąc pewnym, że w tym stroju nie zostanie rozpoznany.

Już dawno wino z niego wyparowało, mógł więc śmiało pozwolić sobie na parę szklaneczek piwa. Niestety gospodarz był sam i wyglądał raczej na mrukliwego człowieka. Ravenow musiał czekać na bardziej sprzyjającą okazję.

Niebawem ujrzał człowieka wychodzącego z domu naprzeciwko, który wszedł do szynku, zamówił szklankę piwa, wziął gazetę do ręki, ale szybko ją odłożył i zaczął się rozglądać po izbie, jakby szukając towarzystwa.

Tę okazję wykorzystał porucznik. Z postawy przybysza wnosił, iż był on żołnierzem. Rozpoczął z nim rozmowę i już po jakimś czasie siedzieli obok siebie i rozmawiali o wszystkim, co najczęściej bywa tematem pogawędek przy kuflu piwa.

— Słuchaj pan! — zauważył porucznik. — Według tego, co pan mówi, sędzę, że służył pan w wojsku.

— Byłem podoficerem.

— To tak jak ja.

— Pan? — zapytał przybysz, patrząc na delikatne ręce swojego rozmówcy. — Hm! A dlaczego nie nosi pan munduru.

— Jestem na urlopie.

— Hm! A kim pan jesteś?

Po tonie jego głosu można było poznać, że niezbyt dał wiarę w słowa swego towarzysza. Ravenow był w cywilnym ubraniu, ale oficera poznać w nim było można na tysiąc kroków.

— W ogóle jestem kupcem — odpowiedział — A jak pan się nazywa?

— Na imię mam Kurt, Kurt Stranbenberger.

— Mieszka pan w Berlinie?

— Rozumie się. Mieszkam w pałacu księcia Olsunny, Hiszpana.

— Dużo ma on służby?

— Hm, w miarę.

— A czy któryś z jego urzędników nazywa się może Sternau? Kurt postanowił mieć się na baczności. Zwyczajny człek, prosty, ale zaraz zwąchał pismo nosem, że chcą go wybadać. A ten człowiek wydawał mu się kimś więcej, niż zwyczajnym podoficerem. Kurt dowiedział się już od woźnicy, o wypadku, jaki miał miejsce w czasie przejażdżki i postanowił więc podwójnie uważać

— Sternau? Tak, jest. To woźnica.

— Do diabła, woźnica! A ma córkę i żonę?

— Rozumie się.

— Czy nie są to może te damy, które były dziś na przejażdżce?

— Tak, te.

— Ależ one wcale nie wyglądały na żonę i córkę woźnicy.

— Dlaczego nie? Książę tak dobrze opłaca swoich ludzi, że nawet ich żony i dzieci mogą sobie pozwolić na zbytki. Zresztą nie jechały one jak to się mówi na spacer. Sternau chciał ujeździć nowe siwosze, a ponieważ wszystko jedno, czy powóz jedzie próżny, czy nie, to zabrał ze sobą obie kobiety.

— Do pioruna! Tak jest, to grubianki, wypisz wymaluj kobiety furmańskie! — wyrwało się porucznikowi.

— Aha, grubianki? Słyszał pan może coś o nich?

Pytając patrzył na porucznika z ogromnie komiczną i ciekawską miną. Ten zreflektował się i koniecznie usiłował naprawić swój błąd.

— Tak, słyszałem coś niecoś. Byłem w parku i widziałem jak jakiś oficer musiał wysiadać z ich powozu, a obie damy lżyły go bardzo niewybrednymi słowami.

— Tak! Hm! A pan skąd wie, że obie damy nazywały się Sternau, he?

— Wymieniły policjantowi swoje nazwiska.

— A pan zaraz przychodzi tutaj i wypytuje mnie o nie?

— To czysty przypadek.

— Przypadek, pięknie! No to uważaj pan, aby moja ręka nie walnęła pana w gębę, naturalnie tak całkiem przypadkowo!

— A to co znaczy?

— Proste, nie dam z siebie robić durnia! Pan rzeczywiście wygląda na podoficera, aha! To pan jest tym porucznikiem, tym gogusiem, któremu furmańskie kobietki dały się w tak szczególny sposób we znaki! A teraz przyłazisz tutaj, aby szpiegować! Ale daj pan sobie spokój, tutaj nic nie wskórasz, no może tylko tęgie baty. Pod tym względem jestem zawsze gotów, zapamiętaj pan to sobie raz na zawsze. Teraz odchodzę, a za pięć minut wrócę z woźnicą i kilkoma innymi, którzy lubią taką robotę. Jeśli pana poznają, to wygarbujemy mu skórę, tak że dziury pozostaną. To wszystko, *adieu!*

Po tej dość ostrej przemowie Kurt zapłacił za swoje piwo i udał się do pałacu. Zaledwie wszedł do bramy Ravenow także opuścił lokal. Nie miał najmniejszej ochoty zawierać bliższej znajomości z tego rodzaju ludźmi. Kłął, że wszystko się dzisiaj sprzysięgło przeciw niemu. Nie spodziewał się jednak, że Kurt jeśli chodzi o damy, udzielił mu fałszywych informacji.

Tymczasem nadeszła pora spotkań oficerów w kasynie. Przybył i Ravenow. Między obecnymi mówiono już o jego zakładzie i dlatego został zasypany pytaniami. Starał się je zbywać, ale kiedy nie dawano mu spokoju i zażądano by opowiedział o swojej przygodzie, zniechęcony rzekł:

— A cóż mam opowiadać, wprawdzie zostało jeszcze pięć dni, ale zakład już wygrany.

— Udowodnij to, a zapłacę jeszcze dzisiaj! — rzekł obecny przy rozmowie Goltzen.

— Udowodnić? — zaśmiał się cynicznie Ravenow. — Co tu udowadniać? Przecież mi można wierzyć, że jestem w stanie odnieść zwycięstwo nad córką woźnicy.

— Woźnicy? — zapytał zaskoczony Goltzen. — Niemożliwe!

- Jej ojciec nazywa się Sternau i jest woźnicą u księcia Olsunny.
- Nie mogę w to uwierzyć. Ta dama żadną miarą nie może być córką woźnicy.
- To idź i sam się przekonaj.

— Uczynię to z całą pewnością. Taka piękność godna jest zainteresowania. Zresztą masz przynieść dowody zwycięstwa. Bez dowodów nie oddam swego rumaka.

— Jeżeli tak, to daruję ci go. Nie można przecież wymagać ode mnie, abym się publicznie pokazywał z córką woźnicy, po to tylko, żeby tobie dostarczyć dowodów.

— Tu chodzi o zakład, a więc o zysk albo stratę. Muszę cię prosić, abyś naprawdę dostarczył mi dowodów. Nie obchodzi mnie wcale w jaki sposób to uczynisz. Zwyczajne zapewnienie nie może rozstrzygać o wyniku zakładu. Jak pan sądzi kapitanie, pan jest tutaj obcy, więc poza układami.

Pytanie było skierowane do chudego człowieka siedzącego pod oknem. Był on w cywilnym ubraniu, ale do kasyna został wprowadzony jako kapitan Parkert z marynarki Stanów Zjednoczonych. Wyglądał na prawdziwego Jankesa, miał około sześćdziesiątki i chętnie przystawał na wieści, jakie o nim rozsiewano, a mianowicie, że został wysłany przez Kongres, aby przyrzeć się stosunkom panującym w niemieckiej flocie. Z początku obojętnie przysłuchiwał się rozmowie, ale gdy padły nazwiska Olsunna i Sternau wyraźnie się zainteresował. Właśnie miał udzielić odpowiedzi, gdy otwarto drzwi i do środka wszedł porucznik gwardii husarskiej, adiutant pułkownika. Był nieco roztargniony, rzucił swoją czapkę na stół, a po jego minie było widać, że nie jest w dobrym humorze.

— A cóż tam, Branden? — zapytał jeden z obecnych. — Może znowu coś u starego?

— A tak i to niemało — odparł zdenerwowany.

— Do stu tysięcy znowu, a to dlaczego?

— Pułkownik zarzucił nam, że regiment źle jeździ, nie ma w nim dziarskich oficerów. Mam wam to powiedzieć prywatnie, aby nie trzeba było tego powtarzać publicznie.

Usiadł, chwycił pierwszą lepszą lampkę wina i wypił.

— Nie ma dziarskich oficerów! Grom i piekło! Czy tak się mają do nas zwracać? Nie zniesiemy takiej plamy.

Tak wołano dokoła z ogólnym oburzeniem. Adiutant przytaknął i dodał:

— Nie dziwota, że ma się o nas takie zdanie. Do tego korpusu oficerów rekrutują z najobskurniejszych nacji. Mam wam właśnie oznajmić przybycie nowego towarzysza.

— Kto to taki?

— Pewien porucznik, liniowiec.

— Co?! Liniowiec do huzarów. I to do kawalerii?

— Ma dwadzieścia dwa lata, a nazywa się Helmer.

— Helmer? — zapytał Ravenow. — Nie znam. Helmer, von Helmer... von Helmer, naprawdę nie ma takiej rodziny wśród nas.

— Ba, gdyby to „von Helmer”, ale to zwyczajny „Helmer”!

— Mieszczanin? Nie szlachcic? Adiutant przytaknął.

— Tak, już tak z nami jest źle. Jeśli nie ochłonę z gniewu, to zażądam zwolnienia ze służby. Myślałem, że mnie trafi szlak, kiedy oglądałem papiery nowoupieczonego kolegi. Kiep ma dwadzieścia dwa lata, służył w wojskach liniowych w Darmstadt, a jego ojciec jest dzierżawcą małego folwarku koło Moguncji. Podobno był sternikiem na jakimś statku. Majątku ani trochę, za to po jego stronie jest znaczący protektor, sam wielki książę. Major klnie za ten figiel, pułkownik klnie, ale to nic nie pomoże, gdyż nowego porucznika dostaliśmy w podarku, musimy go przyjąć i tolerować.

— Przyjąć tak, ale nie koniecznie tolerować! — zawołał Ravenow. — Przynajmniej co się mnie tyczy nie mam zamiaru znosić jakiegoś tam chłopka, czy żeglarza. Tego draba trzeba będzie ignorować.

— Naturalnie, to jesteśmy winni sobie samym — powiedział ktoś inny, a wszyscy mu przytaknęli.

To trudne do uwierzenia, jaki duch wyższości panuje w korpusie oficerskim kawalerii. Tam każdy oficer uważa się za część elity. Nic dziwnego, że przybycie Roberta Helmera wywołało powszechne oburzenie. Wszyscy się zgodzili, że należy się go pozbyć z regimentu.

Nie zauważono przy tym z jakim zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie amerykański kapitan. Chciał ukryć wrażenie, jakie na nim zrobiły te wiadomości, ale z jego oczu biła ogromna ciekawość.

— A kiedy dostaniemy tego nowego gościa?

— Chyba dzisiaj! Ma złożyć wstępne wizyty. Popołudniu odwiedzi pułkownika, a wieczorem będę miał wątpliwy zaszczyt przedstawić go panom.

— Dzisiaj się tu nie pojawimy — rzekł Ravenow.

— Dlaczego nie, kochany przyjacielu. To do niczego nie doprowadzi, gdyż nadchodzi godzina, w której będziemy musieli zająć stanowisko wobec niego. Lepiej zebrać się w większej grupie i otwarcie pokazać czego się może po nas spodziewać.

Propozycję tę przyjęto jednogłośnie. Burza zbierała się nad głową zapowiedzianego, on natomiast nie miał o niczym pojęcia.

Książę Olsunna znalazł powody, by przerwać swą samotność w Kreuznach i kupił w Berlinie pałac. Od tygodnia po raz pierwszy przebywał w nowej rezydencji w towarzystwie swojej małżonki, wczoraj przybył do nich Otto Rodenstein wraz z Florą, córką księcia i oboje przywieźli Różyczkę.

Dopiero dzisiaj Robert mógł przybyć do Berlina z Darmstadt i to tuż przed przybyciem księżnej ze spaceru.

Musimy nadmienić, że Robert nie widział Różyczki od kilku lat, gdyż ciągle przebywał w wojsku. Przed paru dniami powrócił z Turcji i nie miał jeszcze nawet czasu, by pojechać do Kreuznach. Kiedy zaś potem odwiedził matkę i starego kapitana Rodensteina, dowiedział się, że mała Różyczka pojechała właśnie do Berlina. Właśnie stał w komnacie, którą zajmował w pałacu księcia, ubrany w galowy mundur, gdyż wybierał się ze służbowymi wizytami. W uniformie huzarów było mu wyjątkowo do twarzy. Z tego małego urwisa, ulubieńca wszystkich mieszkańców Kreuznach wyrósł bardzo przystojny mężczyzna. Chociaż na górnej wardze nie było jeszcze sumiastego wąsa, to w jego twarzy było tyle powagi, że wszyscy mieli respekt przed młodzieńcem. Kto tylko go poznał musiał się przekonać, że ma do czynienia z wyjątkowym młodym człowiekiem.

Gdy usłyszał nadjeżdżający powóz podbiegł do okna, ale ujrzał tylko dwie postacie znikające w bramie.

— Różyczka! — rzekł do siebie ze szczęściem. — Ach, jak dawno jej nie widziałem! Całą wieczność!

Zszedł po schodach na dół, gdzie książę przyjmował obie damy. Tu, w przestronnej komnacie postać Różyczki nabrała właściwego powabu. Ojciec jej Karol Sternau, był postawnym i przystojnym mężczyzną, matce Róży de Rodriganda mało która kobieta mogła dorównać urodą. Córka takiej pary była więc prawdziwą doskonałością.

Robert aż stanął zachwycony. Przeczynał, że z Różyczki wyrośnie prawdziwa piękność, ale rzeczywistość przeszła wszelkie jego wyobrażenia.

Obróciła się w jego stronę i od razu poznała.

— Ależ to Robert, nasz kochany Robert! — zawołała biegnąc w jego stronę z wyciągniętymi rękami.

Usiłował zapanować nad ogromnym wzruszeniem, skłonił się przed nią poważnie, ujął rączkę i ucałował. Nie był jednak w stanie powiedzieć ani jednego słowa. Ona zaś popatrzyła na niego zdziwiona i rzekła:

— Taki obcy, taki oficjalny! Czyżby mnie pan porucznik nie znał?

— Nie znał? — zapytał z trudem panując nad sobą. — Ależ to niemożliwe, wasza wysokość!

— Wysokość? — zawołała i zaśmiała się. — Aha, przypominam sobie, że mamcia kiedyś była hrabianką de Rodriganda.

— Tak księżniczko, a ojciec synem księcia Olsunny.

— No, no, teraz nawet jestem już księżniczką. Dlaczego kiedyś nie zwracał pan na to uwagi? Byłam Różyczką, a pan Robertem. Tak było i tak będzie, mam przynajmniej nadzieję. Czy może pan porucznik, po awansie do huzarów tak zhardział?

Teraz jednak dokładnie się mu przyglądnęła i cudowny uśmiezek zniknął z jej ust, a na jego miejsce zjawił się wstydlivy rumieniec. Był on następstwem myśli, że ten mały Robert wyrósł na wspaniałego mężczyznę.

On natomiast w końcu przewycięzył swoje wzruszenie. Z oczami błyszczącymi radością wziął ją za ręce, ale głos mu nadal drżał, gdy powiedział:

— Dziękuję pani, Różyczko. Jestem rzeczywiście starym znajomym, który jest gotowy jak dawniej iść za panią w ogień, albo bić się za panią z całą armią nieprzyjaciół.

— Taki zawsze byłeś. Za niesforną Różyczkę nieraz ty bywałeś ukarany. Teraz jest roztropniejsza. Nie potrzebuje pan skakać w ogień ani bić się z armią nieprzyjaciół, chociaż przyczyna do tego by się znalazła i to zaraz.

— Czy panią ktoś obraził? — zapytał z roziskrzonymi oczami.

Tu wmieszał się książę Olsunna.

— Obrażono cię dziecko? Kto taki?

— Nijaki porucznik Ravenow.

Opowiedziała o całym zdarzeniu.

— A to bezczelność! Ten człowiek pozna moją szpadę! — zawołał Robert.

— Ależ daj spokój, kochany Robercie! Zaraz na wstępie w swych kolegach znajdziesz wrogów. Ja sam się z nim policzę. Wprawdzie lata już nie te, ale znajdę na tyle zręczności, aby tego porucznika ukarać.

— Nikt mnie od tego nie powstrzyma, wasza wysokość! Co się zaś tyczy towarzyszy broni, to już mnie uprzedzono, że i tak będą do mnie źle nastawieni. Wyzwanie więc Ravenowa nie przysporzy mi więcej nieprzyjaciół, bo już ich mam.

— O tym pomówimy później, bo teraz musisz iść do ministra wojny. Jesteś umówiony i będziesz dobrze przyjęty, bo słyszał o twoich zasługach. Życzę ci, abyś wszędzie doznał takiego przyjęcia.

Tak więc na razie odłożono tę sprawę. Robert pożegnał się i pospieszył na umówione spotkanie. W duchu jednak postanowił, że nikomu nie daruje, gdy naruszy jego honor, a szczególnie musi dać nauczkę Ravenowowi.

Minister wojny przyjął go uprzejmie, bacznie lustrując postać młodzieńca.

— Jest pan jeszcze młody, nadzwyczaj młody, ale polecono mi pana i opisano z jak najlepszej strony. Studiował pan na wojskowych uczelniach i to w różnych krajach. Muszę powiedzieć, że osiągnął pan sukces. Jeżeli jeszcze pozna pan nasz korpus huzarów, to mam zamiar zatrudnić pana w sztabie generalnym. Nie będę przed panem ukrywał trudności, na jakie natrafisz. Tradycje korpusu itd... Wszystko to sprzymierzy się przeciw panu. Proszę ignorować tę sytuację, naturalnie jeżeli nie będzie kolidowała z pańskim honorem oficerskim. Przyjmą pana z niechęcią, dlatego też napisałem parę słów do pułkownika, by przetrzeć panu pierwsze kroki. Proszę iść, a ja chcę się wkrótce dowiedzieć, że znalazł się pan na swoim miejscu, chociaż nie należysz do szlachty.

Początek był zachęcający, ale ciąg dalszy niestety nie. Dowódca dywizji kazał powiedzieć, że nie ma go w domu, chociaż Robert widział go w oknie, a dowódca brygady w czasie wizyty miał niezbyt zachęcające oblicze.

— Nazywa się pan Helmer?

— Tak jest, ekscelencjo!

— I to wszystko? Nie mogę pojąć, jak mogli przenieść pana do gwardii.

Była to zwyczajna złośliwość, Robert więc odparł:

— No cóż, ekscelencjo. Nie znam żadnego rodu, którego pierwszy praszczur miał przed nazwiskiem „von”. Jeżeli obecną generalicję należy bardziej cenić, niż stan średni, to ja jestem równy jej praszczurom i to mi wystarcza.

Takiej riposty generał się nawet nie spodziewał.

— Jak? Co? Pan masz czelność odpowiadać? Zapamiętam to sobie! Odejść!

Robert zasalutował i udał się do pułkownika, gdzie w przedpokoju czekał prawie godzinę. Pułkownik siedział za biurkiem odwrócony plecami. Przy bocznym stole siedział jego adiutant, Branden. Tylko raz spojrzął na wchodzącego i dalej pisał spokojnie.

Zdawało się, że nikt nie zauważył przybycia Roberta, gdy zakaszłał głośno i może trochę złośliwie, pułkownik obrócił się pomału.

— Kto tu kaszle? A, kim pan jest?

— Porucznik Helmer, na rozkaz, panie pułkowniku!

Wtedy dowódca pułku wstał, poprawił monokl i przyglądał się Robertowi lodowatym okiem. Kiedy w jego wyglądzie nie znalazł nic do zganienia, rzekł:

— Przybył pan więc. Zgłoś się pan w kwatermistrzostwie. Zna pan już panów oficerów?

— Nie.

— Hm! Będzie się pan żywił w kantynie?

— Mieszkam i żywię się u znajomych.

— A tak, to doprawdy nie wiem, jak mam pana poznać z towarzyszami.

Robert zrozumiał i grzecznie odparł:

— Sądzę, że tak jak zwykle. A może w gwardii panują inne zwyczaje?

Pułkownik oburzył się i rzekł:

— Nie może pan przecież wymagać, aby przy korpusie gwardii, złożonym z samej elity, trzymano się... że tak powiem... obyczajów mieszczańskich. Kto swoim urodzeniem stoi poza pewnym kręgiem, nie tak łatwo się do niego dostanie. Rozumny ogrodnik nie sadi zwykłych ziemniaków obok wspaniałych róż albo kamelii...

— A mimo to ziemniaki przynoszą korzyść i błogosławieństwo dla wielu rodzin, gdy róża czy kamelia są tylko dla oka bądź nosa — przerwał mu Robert. — Jestem przekonany, że owe arystokratyczne koło zwiędła różę lub kamelię uważa za śmieci, podczas gdy ziemniakami nie raz się zachwyca.

Pułkownik poprawił monokl, rzucił zdziwiony wzrokiem na mówiącego i rzekł:

— Panie poruczniku, nie jestem przyzwyczajony, by mi ktoś przerywał. Proszę to sobie łaskawie zapamiętać — a zwracając się do adiutanta zapytał: — Panie Branden, czy odwiedzisz w tych dniach kasyno?

— Wątpię — odparł chłodno, nie podnosząc oczu z nad pism.

— Słyszysz pan, poruczniku? Pańskie zbliżenie się do panów oficerów nie będzie łatwą sprawą.

Robert odpowiedział obojętnie.

— Widzę, że będą mógł iść tylko tą drogą, którą mi pozostawiono. Ale ja też mam swoje nawyki, a do nich należy między innymi to, że zawsze idę swoją drogą, nie dając się powstrzymać. Łaskawie proszę to zapamiętać. Czy wolno mi spytać, kiedy mam się stawić na służbę?

Podczas tej śmiałej odpowiedzi adiutant wstał powoli. Zmierzył Roberta nieprzyjaznym wzrokiem, zaś pułkownik aż poczerwieniał z gniewu, zapanował jednak nad sobą i rzekł rozkazującym tonem:

— Co mnie obchodzą pańskie nawyki? Zgłosi się pan jutro punktualnie o dziewiątej. Teraz może pan odejść!

Wtedy wyciągnął Robert pismo i oddając służbowy ukłon rzekł:

— Wedle rozkazu, panie pułkowniku. Proszę, oto parę słów od pana ministra!

Obrócił się i stukając ostrogami wyszedł z pokoju:

— Zuchwalec! — mruknął pułkownik patrząc na adiutanta. — Co tam jest w liście? Czytaj!

Panie pułkowniku!

Człowieka, który odda panu ten list polecono mi z jak najlepszej strony. Spodziewam się, że takie same względy, jak u mnie, zyska też wśród swoich nowych kompanów. Nie życzę sobie, aby jego mieszczańskie pochodzenie pozbawiło go uprzejmego powitania, na jakie zasługuje.

Pułkownik aż otworzył usta, gdy usłyszał te słowa.

— Do diabła! Toż to prawie polecenie! Własnoręczny list od ministra. Ale mnie wcale się nie uśmiecha stosować do tego. Tu władza ministra nie sięga. A co do tego Helmera, to z taką zuchwałością na pewno nie zjedna sobie przychylności.

Robert udał się do majora, gdzie już o nim mówiono. Był tu rotmistrz ze swoją żoną, a także młody porucznik, krewny majorowej. Mówiono o zakładzie Ravenowa i nowym poruczniku.

Major i rotmistrz postanowili traktować go jak obcego, porucznik jednak miał inne zdanie.

— Ma pan za miękkie serce, mój miły Platenie — zauważył major. — To przywilej młodości. Za parę lat inaczej będzie pan o tym myślał. Wrona nie dostaje się bezkarnie do kręgu sępów lub orłów. Plebs zostaje plebem. Zaraz dzisiaj, w czasie wizyty dam mu poznać, czego może oczekiwać.

Zaraz po tym służący zameldował przybycie porucznika Helmera.

— *Lupus in Fabula!* — rzekł niezadowolony rotmistrz.

— Wejść! — zawołał major, muskając wąsy, ale nie wstając z krzesła.

Robert wszedł. Zobaczył ponure miny oficerów i nadęte damy. Wiedział, jak go przyjmą. Stanął służbowo i czekał.

— Kim pan jest? — zapytał major szorstko.

— Porucznik Helmer, panie majorze. Słyszałem, że służący wymienił już moje nazwisko.

Pierwszy cios odparowany, major jednak nie zważał na to.

— Był pan już u pułkownika?

— Tak.

— Czy dostał pan od niego instrukcje, co do swojej służby?

— Tak.

— Nie mam więc nic do dodania. Może pan odejść.

Nawet nie miał zamiaru wstać, tak samo i rotmistrz, tylko porucznik Platen wstał i skłonił się uprzejmie. Robert zwrócił się grzecznie do przełożonego:

— Zobaczyłem odznaki mojego szwadronu panie majorze, dlatego łaskawie proszę o przedstawienie mnie tym panom. Wtedy posłucham rozkazu „odejść”!

— Ci panowie słyszeli już pańskie nazwisko. Ono jest zbyt krótkie, by je tak szybko zapomnieli — odparł major lekceważąco. — To jest rotmistrz von Codmeder a to porucznik von Platen.

— Dziękuję — rzekł Robert obojętnie. — Teraz mogę „odejść”, chociaż tego zwrotu używa się do rekrutów, nie do oficerów.

Wyszedł z pokoju.

— Co za zuchwały człek, na mój honor! — rzekł rotmistrz..

— Mieszczańska hołota! Bez umiaru ani wykształcenia, jak to właśnie można było oczekiwać! — żaliła się jedna z dam.

— Hm! Mój nowy kolega jest dość cięty — odważył się zauważyć Platen. — Trzeba się z nim obchodzić ostrożnie. Jeśli tak samo włada szablą jak językiem, to niebawem będzie o nim głośno.

— A to mu nie przyjdzie do głowy! Zwróci mu się uwagę, że pojedynki są zakazane, a ich uczestnicy trafiają do twierdzy. Spodziewam się, że pana miękkie serce nie skłoni go do wyaplania tego zartu, kochany Platen! — rzekł major.

— Moje serce nie będzie ode mnie wymagać nic takiego, co nie byłoby zgodne z moim honorem — odpowiedział cokolwiek dwuznacznie porucznik, któremu Robert wydał się sympatycznym człowiekiem, a poza tym czuł, że wszyscy wyrządzają mu krzywdę.

Robert powrócił do domu i opowiedział księciu, jak został przyjęty.

— Spodziewałem się tego — rzekł Olsunna. — Gwardia w tym kraju jest najdumniejszym korpusem. Ale nie martw się tym. Podczas twojej nieobecności otrzymałem parę słów od wielkiego księcia. Został wezwany do Berlina przez króla. Sądzę z listu, że chodzi o bardzo ważne sprawy państwowe. Może dotyczy to Hesji, Prus, a może o coś jeszcze ważniejszego. Ten Bismarck to nadzwyczajna głowa. Obecność tutaj wielkiego księcia każe spodziewać się ważnych rzeczy. Posiada on wielkie wpływy, a to ze względu na ciebie bardzo mnie cieszy. Jestem do niego zaproszony i wykorzystam tę okazję, aby opowiedzieć o tym, jak zostałeś przyjęty. Jestem przekonany, że ci pomoże.

Nagle przestał mówić i podszedł do okna. Na dziedziniec wjechał powóz, a wkrótce potem w drzwiach ukazała się Róża, żona Sternaua w towarzystwie jakiejś pięknej, choć już niemłodej damy i starszego, dystyngowanego pana.

— A jednak znalazłam, chociaż nigdy nie byłam w Berlinie! — zawołała — Przeprowadziłam dwoje bardzo znaczących gości, tatku! Zgadnij, kto to taki?

Spojrzał na przybyłych. Mieli szlachetny wygląd, ale z całych ich postaci biło znużenie i jakiejś ogromne cierpienie. Podobne cierpienie widać było na twarzy Róży.

Chociaż księżę od razu poznał w starszym panu Anglika, pokiwał tylko głową i rzekł:

— Nie każ mi córko zgadywać, raczej powiedz tę miłą wiadomość, jaką mają mi sprawić ci goście.

— Dobrze. Tego pana już dawno temu opłakaliśmy, to daremnie poszukiwany *sir* Henry Lindsay, hrabia de Nothigvell, a ta dama...

— *Miss* Amy, jego córka — dodał Olsunna.

— Tak ojczu!

Przystąpił do obojga wyciągając do nich ręce.

— Witam, z całego serca witam! Szukaliśmy państwa całymi latami, jednak daremnie. Dlatego niezmiernie jesteście zdziwieni waszym widokiem.

Sir Lindsay pokiwał pomalą i znacząco głową.

— Słyszeliśmy o tych poszukiwaniach. Powiem dlaczego były one daremne. Jednak teraz chciałbym powiedzieć, że przybywam z Meksyku w dyplomatycznej misji. Dowiedzieliśmy się, że hrabianka Róża de Rodriganda przebywa w Kreuznach i nie mogłem odmówić mej córce odszukania tej miejscowości. Od hrabianki dowiedzieliśmy się, że wasza wysokość przebywa w Berlinie. Dlatego też pozwoliliśmy sobie złożyć tę wizytę.

— Bardzo dobrze zrobiliście. Będzie mi również miło, gdybym mógł w czymkolwiek panu pomóc, co się tyczy jego poselstwa. Pozwolę sobie tymczasem przedstawić mojego młodego przyjaciela, to porucznik Robert Helmer.

— Helmer? Znam to nazwisko. Tak się nazywał sternik i jego brat, słynny myśliwy prerii.

— Sternik to mój ojciec — wtrącił żywo Robert.

— A, w takim razie mogę panu porucznikowi opowiedzieć coś o ojcu, ale tylko do chwili, w której opuścił hacjendę del Erina.

Zajęli miejsca. Amy miała właśnie usiąść na fotelu koło okna i mimochodem spojrzała na ulicę. Przerażona krzyknęła i pospiesznie odskoczyła.

— Co się kochanie stało? Co cię tak przeraziło? — zapytał lord podchodząc do niej.

— Mój Boże, może jednak wzrok mnie myli? — zawołała wskazując na mężczyznę spacerującego po drugiej stronie ulicy i przyglądającemu się ciekawie księżęmu pałacowi.

Był to kapitan Parkert, którego wcześniej spotkaliśmy w kasynie oficerskim. Po tym co usłyszał postanowił oglądnąć teren i samemu przekonać się, kto zamieszkuje ten pałac.

— Masz na myśli tego człowieka, który tam spaceruje? — zapytał Lindsay.

— Tak.

— Znasz go?

— Czy go znam? Tego... tego człowieka! — zawołała blednąc ze wzruszenia. — Widziałam go raz, ale nigdy nie zapomnę. To, to jest ten słynny pirat, kapitan Landola.

Nie da się opisać wrażenia, jakie to słowa wywarły na obecnych. Wszyscy stanęli jak wryci, a w końcu posypały się pytania.

— Landola, kapitan „La Pendoli”? Kapitan Grandepriese? Nie mylisz się?

— Nie. Kto raz go zobaczył, nie może się mylić.

Robert nie mówił nic. Podszedł do okna i utkwiał wzrok w przechodniu, jak orzeł w swej zdobyczy.

— On przygląda się memu domowi — rzekł książę.

— Wie, że tutaj mieszkamy — dodała Amy.

— Wróg naszego szczęścia rozmyśla o nowych krzywdach — dorzuciła Róża.

— Wszedł do tej restauracji naprzeciwko — rzekł Robert. — Z całą pewnością będzie się o nas wypytywał. Trzeba mu pomóc.

Szybkim krokiem wyszedł z pokoju.

— Robert, zaczekaj! Zostań! — wołał za nim na próżno książę.

Usłyszano, że udał się po schodach do swego pokoju, książę pospieszył za nim, gdy wszedł do pokoju zastał Roberta zmieniającego ubranie na cywilne.

— Co chcesz zrobić?

— Chcę przechytrzyć tego człowieka — odparł. — Nie pierwszy raz go widzę.

— Znasz go, skąd?

— Widziałem go raz w Kreuznach. Tego dnia kiedy żegnałem się z kapitanem Rodenstein, wyszedłem do lasu i ujrzałem tego człowieka, jak wychodził z chaty Tombiego. Tombi wyjaśnił mi, że to jakiś mieszkaniec Moguncji, który zabłądził i pytał o drogę.

— W takim razie szukał nas już w Kreuznach.

— Tak, a jak mi się wydaje, Tombi go zna. Ten pirat jeszcze mnie nie widział i nie wie kim jestem. Będę chciał w czasie rozmowy dowiedzieć się co knuje.

— Może masz rację, ale proszę cię chłopcze, bądź ostrożny. My tymczasem zastanowimy się, co należy dalej czynić.

Książę wrócił do gości. Robert zaś z miną skarconego psiaka, udał się do restauracji.

Kapitan Parkert siedział samotnie, przy tym samym stoliku, co wcześniej siedział Ravenow. Widział Roberta wychodzącego z pałacu, dlatego zagadnął:

— Proszę usiąść koło mnie! Tutaj tak samotnie, a przy szklaneczce lubi się nieco porozmawiać.

— Jestem tego samego zdania mój panie, dlatego z chęcią przyjmuję zaproszenie — odparł Robert.

— Bardzo dobrze pan robi, wydaje mi się, że nie jest w najlepszym humorze. Czy coś się stało?

— Hm, ma pan rację — mruknął Robert zamawiając sobie szklanę piwa. — Wielkim panom wszystko jedno, czy zepsują nam humor czynie.

— W takim razie odgadłem! Byłeś w tym wielkim domu i tam cię rozgniewano. Kto tam właściwie mieszka?

— A, hiszpański książę Olsunna.

— Bogaty?

— Bardzo.

— Ma żonę?

— Oczywiście.

— A teraz sobie przypominam, słyszałem kiedyś, że ksiązę popełnił mezalians?

— Tego nie wiem. Taki zazwyczaj bierze sobie żonę godną siebie.

— A dokładnie zna pan jego stosunki?

— Sądzi pan, że taki wielki ksiązę zwierza się ze swych stosunków, służącemu, za jakiego mnie pan uważa?

— A kim pan tam właściwie jesteś?

Robert przybrał obrażoną minę i odparł:

— To nie ma nic do rzeczy. Pan zdaje się także jesteś wielkim panem i dlatego nie obchodzi cię nawet, jak się nazywam.

Twarz kapitana nie wyraziła najmniejszego gniewu za tę odpowiedź. Oczy zabłyśły mu zadowoleniem; dlatego zapytał uspokajającym tonem:

— No to się pan odgryźł. To mi się podoba. Lubię milczące charaktery, bowiem można na nich polegać. Często bywa pan w pałacu?

— Nie — odparł Robert, co było prawdą.

— A pójdzie pan tam jeszcze kiedyś?

— Muszę.

Wtedy kapitan przysunął się do niego bliżej i rzekł półgłosem:

— Słuchaj pan, podobasz mi się. Nie posiadasz zdaje mi się wielkiego majątku, czy nie chciałbyś może zasłużyć na niezłą gratyfikację?

— Hm, jakim sposobem?

— Chciałbym dokładnie wiedzieć co się dzieje u księcia, a ponieważ pan ma tam wstęp, to mógłbyś mi nieco o tym opowiedzieć. Odwdzięczę się hojnie.

— Pomyślę nad tym — rzekł Robert po chwili.

— Znakomicie. Widzę, że jesteś pan człowiekiem ostrożnym, a to zwiększa me zaufanie. Możliwe, że będzie to z korzyścią dla pana... Jeśli się postarasz, to możesz u mnie zarobić całkiem niezłą sumkę. Nie lubię skąpców. Jestem tutaj obcy i potrzebuję człowieka, na którym mógłbym polegać.

— A co ten człowiek ma robić? — pytał Robert zadowolony z oferty.

Kapitan przyjrzał się mu dokładnie, wyglądał zupełnie zwyczajnie i to go uspokoiło, więc zapytał:

— Kim jest pański ojciec? Nie chcę znać jego nazwiska.

— Mój ojciec jest żeglarzem.

— W takim razie nie należy pan do bogatych. Szuka pan może posady?

— Obiecano mi ją, ale czynią liczne trudności.

Kapitan bardzo się ucieszył tą wiadomością, z miną protektora rzekł:

— Rzuć pan to do diabły! Mogę panu dać o wiele lepsze dochody, skoro przekonam się, że jest pan przydatny. Musi pan posiadać pewną dozę przebiegłości.

Robert obiecująco mrugnął oczami i odpowiedział:

— Tego to akurat mi nie brakuje, chyba się pan już przekonał.

— Ale musiałbym się dowiedzieć kim pan jest i jak się nazywa.

— Zgoda, będzie pan wiedział, ale dopiero wtedy, kiedy dam panu dowód, że się nadaję. Chcę panu powiedzieć, że tutaj, w niektórych miejscach nie mam dobrych notowań i to mi każe być ostrożnym.

Kapitan przytaknął zadowolony, myśląc, że ma do czynienia z osobnikiem niezadowolonym z obecnych stosunków i odpowiedział:

— To mi obecnie wystarczy. Angażuję pana i daję mu małą zaliczkę. Masz pan tutaj pięć talarów.

— Nie jestem aż taki goły, abym potrzebował zaliczki, najpierw robota, potem zapłata. To ważne. Co mam robić?

Oblicze kapitana rozbłysło zadowoleniem.

— Dobrze, jak pan chce. Zgadzam się z pańską zasadą, której będziemy się trzymać. Na szkodę to panu nie wyjdzie. Pytasz, co masz zrobić? Najpierw dowiedzieć się o stosunki panujące w domu księcia Olsunny, o całej jego rodzinie, co robią itd.. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, które to osoby nazywają się Sternau i czy znajduje się u niego ktoś o nazwisku Helmer.

— To będzie łatwe.

— Pewnie. Potem wyślę pana do Moguncji, aby uważał pan na osobę pewnego nadleśniczego. Wydaje mi się pan do tego stworzony.

— Czy przypadkiem nie jest pan z policji?

— Może. A teraz... wie pan w jakich czasach żyjemy, Austria została pokonana przez Prusy.

— A któżby o tym nie wiedział? — zapytał Robert z poważną miną.

— No tak, ale nie chodzi o pytanie, to był tylko wstęp. Austria została pobita i teraz szuka sprzymierzeńca by powetować sobie krzywdy. Zdaje się, że takiego sprzymierzeńca znalazła we Francji. Napoleon zrobił arcyksięcia Maksymiliana cesarzem Meksyku. Zachodzi więc pytanie, czy przyjaźń ta jest trwała. Anglia i Ameryka Północna nie chcą Maksymiliana uznać i zmuszają Napoleona, by wycofał swoje wojska. Maksymilian jest więc zdany tylko na siebie i Austrię, a ta jest tak osłabiona wojną, że nie jest w stanie udzielić mu pomocy. Meksyk to wykorzysta i obali cesarza. Wskutek tego muszą powstać i powstaną zamieszki, które każde państwo zechce wykorzystać dla siebie. Znajdzie więc pan na dworze zwycięzcy, tutaj w Berlinie licznych tajnych emisariuszy, mających wybadać teren, by umożliwić wykorzystanie swoim państwom stosownej chwili.

— I takim emisariuszem jest pan?

— Tak — przytaknął kapitan.

— Jakie państwo pan reprezentuje?

— To na razie tajemnica. Mówię tylko, aby panu pokazać, że jestem w stanie zagwarantować mu przyszłość, jeśli się okaże, że mogę na pana liczyć. Najbliższym pańskim zadaniem jest zebrać wszystkie informacje dotyczące domu księcia Olsunny i wszystkiego co go dotyczy.

— A gdzie mam panu przekazać te informacje?

— Widzę, że nie muszę ukrywać przed panem mojego nazwiska, nazywam się kapitan Parkert i mieszkam w hotelu magdeburgskim. Tam, do restauracji przyjdzie pan, jeżeli będzie miał coś dla mnie.

— Możliwe, że stanie się to dość szybko — rzekł Robert dwuznacznie.

— Spodziewam się, bo będzie to dla naszej obopólnej korzyści. Jeśli się pan dowie czegoś ważnego w miarę szybko, muszę panu powiedzieć, że za dwie godziny nie będzie mnie jeszcze w moim hotelu. *Adieu!*

— *Adieu.*

Kapitan wyciągnął do Roberta rękę, ten jednak udał, że nie zauważył tego gestu, ukłonił się tylko z udaną niezręcznością. Parkert odszedł, Robert został sam. Jak to się stało, że ten przebiegły rozbójnik dał się tak łatwo podejść?

Robert nie znalazł na to odpowiedzi. Wiedział tylko jedno, że te dwie godziny musi wykorzystać jak najlepiej.

Od restauratora dowiedział się gdzie odnajdzie ten hotel. Przybywszy tam kazał sobie podać piwa. Kelnerka przyniosła szklanicę i dopiero wtedy zauważył, że się do niego uśmiecha.

Popatrzył na ładną dziewczynę, a ona powiedziała:

— Nie poznaje mnie pan, poruczniku? Po chwili namysłu odpowiedział:

— Ach! Mam już. Jesteś Berta, córka Ulmana z Bodenheim.

— Tak, to ja. Często bywałam w Kreuznach i tam się widzieliśmy.

— Tak, ale ja pani nie widziałem przez jakiś czas i dlatego nie poznałem. Ale skąd się pani wzięła w Berlinie?

— Dużo dziewcząt było w naszym domu, więc ojciec poradził mi, aby poszukała sobie zajęcia. Przybyłam tutaj, gdyż gospodarz jest naszym krewnym.

— To wspaniale, bardzo się cieszę, że właśnie panią tu spotkałem.

— Dlaczego?

— Bo mam prośbę.

— Słucham, jeśli tylko będzie w mojej mocy, chętnie to uczynię.

— Przede wszystkim nikt nie może wiedzieć o tym, że jestem oficerem. Czy mieszka u was nijaki kapitan Parkert?

— Tak od niedawna, pod dwunastką.

— Z kim się spotyka?

— Z nikim. Bardzo często wychodzi. Tylko jeden pan był tutaj i chciał z nim mówić. Nazwiska nie podał.

— A z wyglądu nie mogłaś wywnioskować kim jest?

— Wyglądał na oficera w cywilnym ubraniu. Był opalony, a po niemiecku mówił z francuskim akcentem.

— Który numer leży blisko dwunastki?

— Trzynasty. Dwunastka jest pokojem narożnym.

— A ściana między tymi pokojami jest gruba?

— Nie. Oba pokoje mają nawet pomiędzy sobą drzwi, ale teraz są zabite.

— A czy pod trzynastką można słyszeć, o czym mówi się obok?

— Tak, jeśli nie mówi się zbyt cicho — z chytrym uśmiechem dodała: — Interesuje się pan tym Parkertem?

— Bardzo, ale o tym nikt nie śmie wiedzieć?

— Potrafię milczeć. Zresztą człowiek ten nie podoba mi się, a takiemu miłemu krajanowi jak pan, należy pomóc.

Po chwili przyniosła klucz, który podała mu po kryjomu. Niezauważony przez nikogo poszedł na górę. Gdy wszystko sprawdził wrócił i oddał dziewczynie klucz.

— Rozumiem, że chce pan podsłuchać kapitana?

— Tak, czy on oddaje klucz od swego pokoju, gdy wychodzi?

— Nie. Przybywa w pokoju, nawet gdy go sprzątamy, a gdy wychodzi chowa klucz, nie myśląc wcale o tym, że każdy gospodarz ma drugi u siebie.

— Hm, a czy mógłbym w czasie jego obecności przebywać pod trzynastką?

— Dobrze.

— Odwdzięczę się za to.

— Ależ o tym nie może być mowy, czynię to z przyjaźni dla pana i z niechęci do tego drugiego. Ale zapomniałam, panu powiedzieć, że on także wynajął pokój trzynasty i płaci za niego.

— To dla mnie dodatkowy dowód, że ma jakieś tajemnice, które dla mnie mają wielkie znaczenie. Ale kto to znowu?

Do środka wszedł mężczyzna, na widok którego porucznik nie był w stanie ukryć zdziwienia.

— To ten sam, który już pytał o kapitana. Miał tu jeszcze powrócić.

— I nie mówił jak się nazywa?

— Nie, ale zdaje mi się, że pan go zna?

— Ludzie często bywają do siebie podobni — odparł Robert wymijająco. — Bierze do ręki kartę. Proszę iść go obsłużyć.

Dziewczyna podeszła do gościa i podała zamówioną przez niego butelkę bordeaux, które próbował z nią znowy.

— To na pewno on! — pomyślał Robert. — W ten sposób pije tylko Francuz. Ale czego może chcieć generał Douai w Berlinie? Czyżby naprawdę przebywało tutaj więcej szpiegów, o których państwo pruskie nie ma pojęcia? Koniecznie muszę podsłuchać tę rozmowę. Może dowiem się czegoś ważnego.

Nie było czasu do stracenia. Robert skinął na dziewczyną, ta udała, że sprząta stoliki i przystąpiła do niego.

— Muszę iść na górę — rzekł cicho. — Mam wrażenie, że rozmowa pod dwunastym będzie bardzo ważna. Kapitan na pewno zechce wcześniej sprawdzić, czy pod trzynastym nie ma nikogo. Może zażądać klucza, więc ja go nie mogę przy sobie zatrzymać.

— Zamknę pana w pokoju, ale jak wejdzie do środka to pana zobaczy.

— Schowam się w szafie na ubranie.

— A jeśli ją otworzy?

— Wezmę klucz ze sobą.

— Można wewnątrz tak silnie trzymać drzwi, aby ich nie otworzył?

— Będzie trudno, ale może mi się uda.

— Dobrze.

Po kilku minutach skinęła na niego, zapłacił rachunek i wyszedł. Kelnerkę spotkał na podwórku, zaprowadziła go pod trzynastkę, zamknęła drzwi i klucz zabrała ze sobą. Robert zrobił jak powiedział. Wszedł do szafy, szerokiej i przestronnej mocno zamknął drzwi i oczekiwał.

Po jakieś pół godzinie do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Kapitan sprawdził wszystko, zaglądnął pod łóżko, sofę a w końcu podszedł do szafy.

— Zamknięta — powiedział próbując otworzyć.

Robert wstrzymał oddech a drzwi trzymał bardzo mocno, tak że kapitan nie był w stanie ich otworzyć.

— Wszystko w porządku. Chodź pan! — rzekł do swego gościa i wyszli z pokoju.

Robert wyszedł z ukrycia i korzystając z hałasu przysunął sobie krzesło tuż pod drzwi i nadśluchiwał.

— Spieszmy się. Mam mało czasu, czekają na mnie jeszcze w innym miejscu. Tutaj nie mają zielonego pojęcia o tym, że pracuję na rzecz Hiszpanii. Uważają mnie raczej za Amerykanina, który agituje na rzecz Stanów Zjednoczonych. To mi daje sposobność dowiedzieć się więcej. Wczoraj otrzymałem pańską wiadomość i oczekiwałem go.

— Jednak długo kazałeś na siebie czekać — zauważył Francuz tonem, w którym było znać, że stoi znacznie wyżej niż kapitan. — Już raz tutaj byłem i czekałem przeszło godzinę.

— Ważne sprawy ekscelencjo.

— Dla pana najważniejszą sprawą jest oczekiwanie na moją osobę. Wie pan, że przebywam tu *incognito* i że nikt mnie nie może poznać. Nie mogę więc czekać w restauracji. Przecież mnie tutaj znają. A jak ktoś mnie pozna i wygada, że generał Douai przebywa w Berlinie? Wiedzą, że walczyłem w Meksyku i cesarz Francuzów odwołał mnie, abym zamiast miecza wziął do ręki dyplomatyczne pióro, wiedzą także, że mój brat jest wychowawcą francuskiego następcy tronu i że właśnie mnie powierzane są ważne sprawy. Jeśli mnie ktoś tutaj rozpozna, to moja misja skończona. Mam paktować z panem, z Rosją, Austrią i Włochami. Jego ekscelencja, minister spraw zagranicznych polecił mi oddać panu memoriał, w którym objaśnia panu, jak ma się zachowywać wobec układów moich a madryckiego ambasadora. Oto memoriał, przeczytaj go i powiedz, co jest niejasne.

— Dziękuję ekscelencjo.

Na dłuższy czas nastąpiła cisza, Robert słyszał szelest papieru, wreszcie kapitan powiedział:

— Te paragrafy są bardzo jasne, wszystko zrozumiałem.

— Dobrze. Wie pan, że Napoleon zrobił Maksymiliana cesarzem Meksyku, Stany Zjednoczone żądają, aby Francja wycofała z Meksyku swe wojska i pozostawiła Maksymiliana swojemu losowi.

— Hiszpania przyłączyła się do tego żądania...

— Oczywiście. Ona uważa się za jedyne go właściciela tego pięknego kraju. Cesarz gotów zgodzić się na żądanie Hiszpanii, jeżeli ta wyświadczy mu pewną przysługę.

— Jaką?

— Prusy chcą podporządkować sobie całe Niemcy, a nawet Europę. Musimy je upokorzyć, musimy pomścić Sadowe. Cesarz gotuję się, by rzucić Prusakom rękawicę. Na wypadek tej niechybnej wojny musimy być pewni, że tyły będziemy mieli czyste. Ale ten Bismarck jest przebiegły i okrutny. On wezwie Hiszpanię, aby ta obsadziła swoje granice, aby nas osłabić. My zaś tylko wtedy będziemy mogli bezpiecznie ruszyć w bój, kiedy będziemy pewni, że za plecami nie mamy wroga. Dlatego też Napoleon gotów jest wycofać swoje wojska z Meksyku, jeżeli Hiszpania ogłosi swoją neutralność w wojnie francusko-niemieckiej. Odpowiednie rokowania już poczyniono, ugoda podpisana. Jej odpis ma pan w ręku. Sprawa więc tak wygląda: Francja idzie na Niemcy, raczej Prusy. Hiszpania jest neutralna, Rosja nas wspomaga obsadzając granicę pruską. Z Austrią i Włochami będziemy paktować.

Stąd jadę do Petersburga, pan zaś będzie sondował tutejsze stosunki i dokładne wiadomości przekazywał ministrowi. Teraz jadę do rosyjskiego posła. Pan mi będzie towarzyszyć, aby udowodnić, że Francja ze strony Hiszpanii nie ma się czego obawiać.

— Do usług, tylko schowam memoriał.

Robert usłyszał dźwięk kluczy.

— Czy bezpiecznie takie dokumenty chować w małym, podręcznym kufereczku? — zapytał Douai.

— Pewnie. Zresztą klucze od pokoju zabieram ze sobą.

— Chodźmy więc. Wyszli.

Robertowi dziwnie się zrobiło na sercu. Znał więc wielką polityczną tajemnicę. Oto nakręcano machinę przeciw Niemcom. Jaką ogromną wartość miał ten memoriał. Musiał za wszelką cenę go dostać. Ale jak?

Kiedy tak rozmyślał nadeszła kelnerka i wypuściła go z dobrowolnego więzienia.

— Czy mogę dostać się do pokoju obok?

— Tak, tylko muszę przynieść zapasowy klucz. A jeżeli Parkert nas złapie?

— On tak szybko nie wróci.

— To proszę poczekać.

Bez pomocy tej dziewczyny nie miałby szans dowiedzieć się tylu interesujących rzeczy. Wkrótce wróciła z kluczem.

— Nie wiem czego pan porucznik szuka, ale ja nie ma czasu z panem iść. Przyszło mnóstwo gości, których muszę obsłużyć. Oto klucz. Proszę go z powrotem położyć obok drzwi, pod dywanikiem. Później go wezmę.

Wszedł do pokoju i zobaczył dwa kufry: duży a na nim mniejszy.

Jak je otworzyć? Bardzo chciał mieć dokumenty. Wsunął rękę do kieszeni. Miał podobny kuferek, spróbował i... o mało nie krzyknął z radości, gdyż jego kluczyk pasował. Zamki takich fabrycznych towarów bardzo często są takie same.

W kufierku były same papiery. Na wierzchu leżał długi, wąski zeszyt. Otworzył go, to właśnie ten pożądaný memoriał napisany po francusku z pieczęcią ministra spraw zagranicznych. Nie wiedział, czy ma go ze sobą zabrać, czy tylko przepisać treść. Gdyby zabrał oryginał, to kapitan na pewno zauważyłby jego brak. Robert namyślał się parę minut. Postanowił jak najszybciej wręczyć Bismarckowi ten tajemny, podstępny układ, a że oryginał miał większą wartość w ręku żelaznego kanclerza, niż niewiarygodny odpis, postanowił więc wziąć zeszyt ze sobą.

Zamknął kuferek, klucz od pokoju położył pod dywanikiem, dodał parę banknotów dla uprzejmej kelnerki i niepostrzeżenie opuścił hotel. Wziął dorożkę i pojechał wprost do mieszkania Bismarcka. Cieszył się na myśl o tym, że kanclerz pomoże mu schwytać kapitana. Doktor Sternau wybrał się z towarzyszami by schwytać tego draba, ale sam gdzieś zaginął. A tu ten pirat dobrowolnie oddawał się w jego ręce. Można go było zmusić do odsłonięcia wszystkich tajemnic Rodrigandy i do wskazania miejsca, gdzie przebywa Sternau.

Na miejscu okazało się, że Bismarcka nie ma w domu, przebywał u króla. Postanowił więc natychmiast udać się do zamku. Tu mu natomiast powiedziano, że to nie czas na audiencję. Wzruszył ramionami i rzekł do adiutanta:

— Mimo to muszę obstawać przy swoim, panie pułkowniku.

— Ależ pan nawet nie jest w mundurze!

— Nie miałem czasu go ubrać.

— Na to zawsze znajdzie się czas. Jego królewska mość zawsze i wszędzie nosi mundur. Dostałbym burę, gdybym zapowiedział pana w takim uniformie. Zresztą u króla przebywa obecnie jego ekscelencja Bismarck.

— Właśnie jego szukam. Mogę panu pułkownikowi zaręczyć, że chodzi o nader ważną sprawę, nie cierpiącą zwłoki. I to mi pozwala przerwać nawet najważniejszą rozmowę tych dostojności. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, chodzi o natychmiastowe aresztowanie szpiega i zdrajcy. Proszę mnie nie zmuszać, by całą odpowiedzialność złożył na pana.

Adiutant wyprostował i rzekł:

— Więc mówi pan, że to nader ważna i nie cierpiąca zwłoki sprawa?

— Tak jest.

— W takim razie jestem zmuszony pana zameldować. Ale zwracam panu uwagę, że to może zaszkodzić pańskiej karierze, jeśli okaże się, że tak nie jest. Odpowiedzialność spadnie na pana.

— Dobrze — odpowiedział Robert grzecznie, lecz pewnym tonem.

Adiutant udał się do apartamentów króla i wróciwszy dał znak Robertowi, by wszedł. Po chwili stanął przed obliczem dwóch największych niemieckich mężów. ‘

Król Wilhelm przed paroma tygodniami zwyciężył Austrię i południowe Niemcy i wszystkim udowodnił, że jest godnym następcą wielkiego Fryderyka, a jego stronnicy to wielcy ludzie o wystarczającej sile, by godnie bronić racji stanu. Nie osiągnął jeszcze szczytu swych możliwości, ale czuł, że spokojnie podoła wrogom, którzy występowali przeciw niemu jawnie i skrycie. Stał się za jednym zamachem władcą potężnym i uznawanym.

Duszą jego polityki był „Żelazny Kanclerz”. Żaden dyplomata nie odważył się zrobić kroku, nie wysondowawszy wcześniej jego opinii. Był urzędnikiem, ale i przyjacielem swojego władcy, a oko jego, które dotychczas przejrzało wszelkie intrygi wrogów, z podziwem patrzyło na młodego, ledwo dwudziestoletniego oficera, który miał na tyle odwagi, aby wyjednać sobie audiencję u samego króla.

Król także patrzył z ciekawością na młodego człowieka, który skłoniwszy się nisko, czekał na pytania.

— Zgłoszono mi porucznika Helmera — rzekł król.

— Jestem nim, wasza królewska mość.

— Z jakiego regimentu?

— Dotychczas w służbie wielkiego księcia Hesji, teraz w huzarach gwardii jego królewskiej mości.

Oczy króla złagodniały.

— A tak, minister wojny mówił mi o panu i to w dobrym świetle, ale pewne kręgi ogromnie są z tego niezadowolone.

— Dano mi to już odczuć, wasza wysokość.

Lekki uśmiech ustąpił z oblicza władcy.

— Skończyłeś już więc swoje odwiedziny?

— Spełniłem swój obowiązek.

— Spodziewam się, że nadal będzie go pan wypełniał. Skąd pan przychodzisz do nas i to w odzieniu, które nie licuje?

— Wasza wysokość, tu moje usprawiedliwienie.

Wyjął układ i ukłonem pełnym szacunku podał go królowi. Gdy władca tylko spojrział na treść, twarz jego przybrała wyraz ogromnego zdziwienia. Czytał długo, z wielkim spokojem, potem podał dokument hrabiemu Bismarckowi.

— Czytaj ekscelencjo, czytaj! Ten młody człowiek przynosi nam nadzwyczajne wiadomości.

Bismarck cały czas stał nieporuszony, ledwo spojrział na Roberta. Teraz zaś wziął pismo do ręki i bardzo uważnie przeczytał. Żaden rys jego oblicza nie zdradzał wrażenia, jakie lektura na nim zrobiła. Skoro skończył czytać spojrział poważnie na Roberta i zapytał:

— Panie porucznik, w jaki sposób zdobył pan ten dokument?

— Ukradłem, ekscelencjo.

— Przyswoiłeś sobie cudzą własność. Ale najprawdopodobniej uwolnię pana od zarzutu przestępstwa. Zdaje mi się, że te papiery są raczej własnością jego królewskiej mości i przyswojenie ich sobie dokonane było w słusznej sprawie. Kto je dotychczas posiadał?

— Generał Douai przyniósł je pewnemu człowiekowi, który udaje tutaj Amerykanina, rzeczywiście jest hiszpańskim szpiegiem.

— Gdzie on przebywa?

— Tutaj, w Berlinie. Jeśli wasza królewska mość i ekscelencja pozwolą to opowiem wszystko.

— Opowiadaj pan! — rzekł król.

Robert opowiedział, że pewna wiarygodna osoba poznała w kapitanie niebezpiecznego złoczyńcę i dlatego udał się do restauracji w cywilnym ubraniu, aby wybadać tego człowieka, a potem opowiedział już wszystko co się wydarzyło.

Król przystąpił do niego podał mu rękę i rzekł z wielką łagodnością:

— Wielką mi pan poruczniku wyświadczył przysługę. Dziękuję. Pochwalam to, że przyniosłeś oryginał, a nie odpis. Zaraz schwytemy generała Douaisa i tego Parkerta. Ale powiedz mi jeszcze, kto rozpoznał w tym człowieku zbrodniarza?

— Przyjaciółka pani Sternau, hrabianki de Rodriganda.

— Hrabianka Rodrigana nazywa się obecnie Sternau? Jak to się mogło stać?

— Wasza królewska mość, ten Sternau jest synem księcia Olsunny, który obecnie mieszka w Berlinie.

— Ależ to wszystko interesujące, opowiadaj pan.

Król skinął na Bismarcka, by usiadł, a Robert opowiadał krótko lecz treściwie o wypadkach jakie przeżyły bliskie mu osoby. Wysocy dostojnicy przysłuchiwali się temu z widocznym wzruszeniem, w końcu król rzekł:

— To nadzwyczajne! Brzmi jak jakiś romans. Można sądzić, że takie rzeczy nie mogą mieć miejsca. Mówi pan, że księżę zna te rodziny?

— Tak. Wszyscy mieszkańcy zamku w Kreuznach mają wstęp do niego, a księżę bardzo interesuje się Różą de Rodriganda.

— Dobrze, księżę jest tutaj. Słyszałem, że dzisiaj wieczorem przyjmuje u siebie gości, skorzystam z okazji i poruszę tę sprawę. Tymczasem żegnam pana, gdyż musimy wydać stosowne rozkazy, aby złapać szpiegów. Cieszy mnie, że mam pana w mojej gwardii. Dobrze się pan spisał i zasłużył na moje specjalne względy. Wierz mi pan, że nie spuszczę go z oka. *Adieu!*

Podał Robertowi rękę, a Bismarck uczynił to samo.

— Poruczniku — rzekł. — Lubię ludzi, którzy mimo młodego wieku dają dowody honoru i czynu, gdyż taka młodość daje wdzięczną starość. Widzimy się nie po raz ostatni. Na dzisiaj

proszę o dyskrecję. Nikt nie śmie wiedzieć o tym, co pana przywiodło do królewskiego zamku. Wiemy teraz dokładnie, że Francuz pragnie wojny i możemy się stosownie przygotować do stawienia mu czoła. To wiele znaczy, a możemy to zawdzięczać tylko panu. Wierz mi pan, że o nim nie zapomnę. A teraz... niech pana Bóg prowadzi.

Robert wyszedł, czując zadowolenie z dobrze wypełnionego zadania, a także z wypełnienia przysięgi wojskowej.

W domu oczekiwano na niego z wielką niecierpliwością. Wszyscy siedzieli w salonie i przywitani go drobnymi wymówkami z powodu tak długiej nieobecności, której przyczyny nie mogli sobie wytłumaczyć.

— Oczekuje, że przyjdiesz z restauracji, — powiedział książę — a teraz widzimy, że przyjeżdżasz dorożką. Gdzie właściwie byłeś?

— Tego nawet wasza książęca mość nie jest w stanie zgadnąć, — odparł śmiejąc się, a rzuciwszy okiem na siebie dodał — widzi pan ten strój, wiejski bakalarz ubiera się lepiej, a mimo to w tym odzieniu byłem u...

Zastanowił się, a książę wtrącił:

— No u kogo?

— U króla.

— U króla? To niemożliwe! — wołano zewsząd.

— A przecież to prawda. U króla i u Bismarcka byłem.

— Żartujesz?

Różyczka rzuciła na swego towarzysza młodzieńczych zabaw uważne spojrzenie, znała go doskonale. Widziała, że jego policzki płoną z zadowolenia i przekonała się, że nie żartował.

— To prawda, on był u króla, widzę to po jego minie — rzekła.

Zabłyśły jej oczy, była dumna ze swego Roberta.

— Mój Boże, w tym stroju! — zawołał książę. — Ale jak to się stało? Po co tam byłeś?

— Tego nie wolno mi powiedzieć. Obiecałem milczeć, dlatego proszę, byście i wy nie mówili nikomu o mojej audiencji. Na państwa uspokojenie muszę dodać, że odszedłem z ogromnym zadowoleniem. Udało mi się oddać królestwu ogromną przysługę.

— Jaka to wspaniała wiadomość! — wołała Różyczka.

— Bismarck i król obsypali mnie komplementami. Król pomówi z księciem. Wszyscy państwo zostanieie mu przedstawieni i możecie się spodziewać pomocy króla, a wtedy poszukiwania nasze nie będą daremne.

— Oby Bóg dał! — rzekła pani Sternau. — A gdzie ten łotr?

— W tej chwili może jest już uwięziony — odpowiedział Robert.

Niestety pomylił się. Kiedy on zdawał relację ze swej rozmowy z Parkertem i wizyty w pałacu królewskim, kapitan wrócił do gospody. Rozmowa z rosyjskim posłem nie trwała długo. Gdy wszedł do izby przypomniał sobie o ważnym dokumencie. Otworzył kuferek, aby jeszcze raz dokładnie przeczytać treść pisma... i zaraz cofnął się przerażony. Dokument zniknął. Pospiesznie szukał w kufereczku, wszystko przewracał, ale daremnie. Szukał po pokoju, chociaż dokładnie pamiętał, że pismo schował do kufierka. Zadzwoił, zjawiała się kelnerka. Już wcześniej znalazła klucz i zapłatę.

— Był tu ktoś podczas mojej nieobecności?

— Nie, nikt o pana nie pytał.

— Pytam, czy ktoś był w tym pokoju?

— Nie.

— A mimo to, ktoś tu był.

— Niemożliwe! Przecież pan zabiera z sobą klucz.

— W takim razie jest drugi, o którym wcześniej nie pomyślałem. Okradziono mnie, haniebnie okradziono.

— Okradziono? — zbladła, przerażona.

To musiała być jakaś pomyłka, przecież porucznik na pewno nikogo by nie okradł.

— Pani się przestraszyła! Sama mnie okradła! Powiedz mi, gdzie masz ten dokument?! Muszę go zaraz mieć! Zaraz!

Na słowo „dokument” dziewczyna się opamiętała. Nie chodziło więc o zwyczajną kradzież. Zginęło jakieś pismo. Jeśli zabrał je porucznik, to musiał mieć w tym jakiś ważny cel.

— Ja? — zawołała. — Co panu wpadło do głowy? Proszę się do mnie nie odzywać w ten sposób, panie kapitanie. Gdzie pan miał ten dokument?

— Tutaj, w tym małym kufierku.

— Nie był zamknięty?

— Ależ tak.

— No i pan masz czelność podejrzewać uczciwą dziewczynę o rozbicie zamka?

— Nie o rozbicie, tylko o otwarcie.

— A skąd miałabym klucz?

— Wytrych na to...

— Niech pan nie będzie śmieszny. Kelnerka będzie chodzić z wytrychem! Zaraz pójmę do gospodarza i powiem mu, że mnie, jego krewną nazywa pan złodziejką.

— Dobrze, idź pani. Zawołaj gospodarza. Dokument ten muszę odzyskać.

Odeszła rozgniewana. Właśnie, gdy weszła na podwórze ujrzała kilku mężczyzn i stojących przy bramie policjantów. Jeden z nich zapytał ją:

— Pani jest tu kelnerką?

— Tak.

— Proszę poszukać gospodarza.

Zaprowadziła go do kuchni i wskazała właściciela.

— U pana mieszka cudzoziemiec, kapitan Parkert?

— Tak.

— Zgadza się. Oto moje dokumenty. Czy zastałem go?

— Właśnie przyszedł. Mieszka pod numerem dwunastym.

— Dobrze, zabiorę go ze sobą, a pan nakaż swemu personelowi milczenie.

Wyszedł z kuchni i udał się na górę. Zapukał i wszedł do środka.

— Wreszcie! — zawołał kapitan niecierpliwością. — Pan jest tutaj gospodarzem.

— Nie, panie kapitanie.

— W takim razie kim? — zapytał Parkert zdziwiony.

— Urzędnikiem tutejszej policji.

Kapitan przestraszył się, szybko jednak wrócił do równowagi i rzekł:

— No to w samą porę. Właśnie chcę donieść, że mnie okradziono.

— Okradziono? A co panu zginęło?

— Bardzo ważny dokument.

— W takim razie pan się myli, nie został on skradziony, tylko skonfiskowany.

Parkert zrobił krok w tył, jakby grom spadł na jego głowę.

— Kto ma prawo podczas mojej nieobecności otwierać moje zamki?

— Każdy prawy obywatel, któremu chodzi o dobro ojczyzny. Kapitanie Parkert, czy jak się tam nazywa, aresztuję pana, proszę za mną!

Parkertowi wróciła zimna krew. Wiedział, że jeśli go aresztują, jest zgubiony. Musiał uciec, ale jak? Korytarz na pewno był otoczony, a ulica? Może nie. Przez okno prowadziła więc jedyna droga ratunku. Musiał przechytrzyć urzędnika. Chodziło o to, aby się do niego zbliżyć nie wzbudzając podejrzeń. Parkert zrobił zdziwione oblicze, wziął do rąk kuferek otworzył go i rzekł:

— To musi być pomyłka, panie komisarzu, proszę tylko wziąć te papiery i legitymacje, one panu udowodnią, że...

Dalej nie powiedział już ani słowa, tylko pomału zbliżył się do urzędnika, ten stał obok podtrzymując kuferek. W pewnym momencie kapitan puścił kuferek i chwycił urzędnika z taką mocą za gardło, że mu w momencie zabrakło oddechu. Twarz policjanta zsiniała, ręce zadrżały, ramiona opadły. Parkert opuścił go na ziemię. Policjant stracił przytomność.

— No, to na razie mam go z głowy — mruzczał Parkert. — Co taki szczur może znaczyć przy kapitanie Grandepriise, zwanym Landolą! Ale moja rola tutaj skończyła się, niestety. Muszę przestrzec generała Douai, którego na pewno będą szukać. Kto jednak mógł zabrać ten dokument? Gdyby zabrał także pozostałe papiery, to wszystkie moje tajemnicę ujrzalaby światło dzienne.

Zamknął kuferek i podszedł z nim do otwartego okna. Chodnik był w tej chwili pusty, nikogo nie było widać. Jedynie samotna dorożka stała przy sąsiednim domu, a woźnica stał obok. Okno było wysoko, ale dla żeglarza taki skok nie miał znaczenia, już po chwili stał na chodniku i nikt go nawet nie zauważył.

Ciągle trzymając kuferek w ręce, wszedł do dorożki i rozkazał:

— Ulica Fryderyka 24.

Dorożka odjechała, ale ponieważ chodziło o zmylenie śladów Parkert wysiadł i kilka uliczek przeszedł pieszo. Potem wszedł do innej dorożki i dopiero tam podał dobry adres i kazał woźnicy zaczekać na siebie, zapukał do drzwi i wszedł do pokoju generała Douai.

— To pan. Co się stało?

— Przyszedłem pana przestrzec, ekscelencjo. Musi pan natychmiast uciekać! Ktoś nas zdradził. Cudem uciekłem policji, powaliłem komisarza i wyskoczyłem przez okno.

— A pańskie papiery?

— Memoriał został skonfiskowany.

Generał należał do ludzi nieustraszonych, jednak teraz zbladł.

— To rzeczywiście jesteśmy zgubieni, jeśli nas złapią. Musiałeś pan popełnić ogromne głupstwo. Opowie mi pan wszystko po drodze.

— Pan chce jechać ze mną?

— Tak. Przez granicę rosyjską się nie przedostaniemy, musimy jechać do Saksonii, ale nie koleją, bo mogliby nas rozpoznać.

— Na dole czeka dorożka.

— Dobrze, jedziemy. Uratował pan chociaż swoje pieniądze?

— Tak, oczywiście.

— Kufer muszę zostawić, ale gotówka jest dość znaczna i tak łatwo me da się jej przeboleć. W drogę!

Zabrał portfel, palto, kapelusz i opuścił mieszkanie, które wynajmował. Dorożka ze szpiegami odjechała.

* * *

Wieczorem, tego samego dnia kasyno oficerskie było pełne gości i jasno oświetlone. Spodziewano się przybycia porucznika Helmera i dlatego tak liczne grono zebrało się w środku. Chcieli mu pokazać, że nie chcą mieć z nim nic wspólnego.

Starsi oficerowie zajęli tylną część wielkiego stołu, młodszy usiedli gdzie się dało i prowadzili żwawą rozmowę.

Porucznik Ravenow, pułkownik Don Juan, grał w bilard z Golzenem i Platenem. Znowu nie wyszło mu całkiem proste trafienie i dlatego z niechęcią uderzył kijem o ziemię.

— Prześladowuje mnie pech!

— Dlatego w miłości sprzyja ci szczepcie! — zaśmiał się Platen. — Tylko dzisiaj raczej nie graj z kapitanem Parkertem. Jesteś zbyt roztargniony, a on jest mistrzem. Uważaj więc na sakiewkę!

— Z Parkertem? — zapytał półgłosem Golzen. — Ten więcej tu nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— O, zblażniliśmy się i to okropnie.

— Chciałbym wiedzieć, o ile...

— Hm, lepiej o tym nie mówić — szepnął Golzen tajemniczo.

— Nawet z nami nie można?

— Można, jeżeli będziecie milczeli.

— Oczywiście! Opowiadaj o co chodzi?

— Wiecie, że czasami bywam u radcy policyjnego, Jankowa... — Naturalnie, powszechnie wiadomo, że smalisz cholewki do jego najmłodszej córki,

— Raczej ona do mnie. Otóż, dzisiaj też tam byłem i dowiedziałem się, że Parkert jest, że tak powiem, politycznym oszustem, a nawet niebezpiecznym zbrodniarzem.

Ravenow popatrzył nań zdziwiony i rzekł:

— Nie mam ochoty na żarty! Czy można aresztować człowieka, którego się uważa za oszusta, nie mając wcześniej w ręce dowodów?

— Co? To jego aresztowano?

— Chciano go aresztować, ale nie uczyniono tego, gdyż zbiegł.

— I ten Parkert miał do nas wstęp? Wiesz o tym z całą pewnością?

— Tak. Komisarza, który przyszedł go aresztować omal nie udusił, a potem przez okno uciekł na ulicę.

— Do diabła! Kto mógł podejrzewać tego tak porządnie wyglądającego człowieka o coś podobnego. Mimo jego pochodzenia zezwoliliśmy mu na przebywanie w naszym towarzystwie, gdyż był Jankesem, a Amerykanie z północy nie mają szlachty. Ale tak zawsze bywa. Teraz tym bardziej ostro powinniśmy traktować tego nowego Helmera, najlepiej przyjąć go kubłem zimnej wody.

— Zdaje mi się, — zauważył Platen — że między zbiegłym zbrodniarzem, a uczciwie wykonującym swą służbę oficerem powinno się zauważać jakąś różnicę!

— Pospółstwo zostanie pospółstwem czy w cywilu, czy w mundurze — odparł Ravenow. — Musimy się postarać, aby sam, jak najszybciej poprosił o przeniesienie.

W tej chwili wszedł jego pułkownik. Nie był tutaj częstym gościem, chyba że zaistniała jakaś ważna sprawa służbowa, którą musiał omówić w bardziej przyjacielskim tonie, a koszary nie były do tego stworzone. Dlatego, gdy go tylko ujrano spodziewano się, że przynosi jakąś ważną wiadomość.

Usiadł przy starszych oficerach, kazał sobie podać wina i przyglądał się obecnym, którzy na jego widok wstali z miejsc i oddali honory, po czym czekali na pozwolenie dalszej zabawy. Pułkownik spojrział na Ravenowa, swego ulubieńca.

— A Ravenow, dokończ swoją partyjkę.

— Panie pułkowniku, cały czas przegrywam, muszę mieć szansę na rewanż.

— Nie dzisiaj. Lepiej oszczędzaj pan nogi.

— Czy jutro są jakieś ekstra ćwiczenia?

— Tak, ale nie konne, ćwiczenia na nogach i to z młodymi damami w ramionach.

Wszyscy podnieśli głowy.

— Tak, tak dobrze panowie zgadujecie! Powiadomię was tylko, że jutro wielkie ćwiczenia nóg. Najczęściej nazywa się to balem.

— Bal? Zabawa? Gdzie?

— Nawet się moi panowie nie spodziewacie. Mam tu całą ogromną paletę kart z zaproszeniami, dla wszystkich oficerów mego regimentu, jakieś sześćdziesiąt zaproszeń, damy również zostały zaproszone.

— Ale kto zaprasza?

— Zakładam się o dziesięciomiesięczną gażę, że nikt z panów nie zgadnie. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy wieczorem otrzymałem pismo następującej treści:

„Do pana barona Winsłowa dowódcy pułku huzarów gwardii.

Panie pułkowniku!

Jego królewska mość, nasz władca, raczył mi oddać do dyspozycji apartamenty i ogród swego królewskiego zamku Montbijon, w celu zorganizowania balu, który odbędzie się jutro. Załączone karty oddaję panu do rozdania między oficerami pańskiego pułku. Przekonany jestem, że ujrzę u siebie pana z jego szanowną małżonką i córkami, jak też damy panów oficerów.

Życzliwy

Ludwik III

wielki książę Hesji — Darmstadt”.

Kiedy pułkownik zwinął pismo wielkiego księcia i popatrzył na obecnych, na ich twarzach zauważył zdziwienie.

— Co to znaczy? — spytał major.

— Na to pytanie niestety nie znalazłem odpowiedzi. Moja żona, a panowie wiecie o tym dobrze, iż ma nadzwyczaj bystry umysł, otóż moja żona sądzi, że pragną przekazać nasz pułk wielkiemu księciu. Wiecie, że w minionej wojnie nie był Prusom przyjazny, tak więc prawdopodobnie król pragnie zjednać go sobie tym gestem.

— Nawet telegraficznie wezwano go do Berlina — dodał Golzen.

— Skąd pan o tym wie? — zapytał pułkownik.

— No cóż, mój służący to wyjątkowo chytra bestyjka. Zawsze przynosi mi rozmaite nowiny, jest lepszy niż gazeta.

— Telegraficzne zaproszenie kazałoby się domyślać ważnych spraw państwowych. Chcą sobie zjednać księcia. Moi panowie, zdaje mi się, że wkrótce pojedziemy do Francji. Żeby się to stało jak najprędzej, my jesteśmy przygotowani. Ale nie pora zajmować sobie tym głowy. Najważniejsza rzecz, to zaproszenie na bal, na którym mamy się znakomicie bawić. Jeszcze nigdy nie przyjmowano nas na zamku Montbijon. Jest to wyróżnienie, jakiego nam wszyscy zazdroszczą. Jestem przekonany, że panowie, a szczególnie młodzi, pokażą się z jak najlepszej strony. A teraz przystąpmy do rozdania zaproszeń.

— A wolno mi zapytać, czy porucznik Helmer również otrzyma zaproszenie? — spytał Ravenow.

Było to nader zuchwałe pytanie, ale pułkownik odpowiedział uprzejmym tonem:

— A dlaczego pan pyta?

— Bo nigdy nie będę na zabawie, na którą przychodzą ludzie z gminu.

— Helmer wstępuje na służbę dopiero jutro, a w tym czasie zaproszenia będą już rozdane. Panie Branden, proszę rozdać karty.

Ledwo się z tym uporano, gdy otwarły się drzwi kasyna i stanął w nich Robert. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w przeciwnym kierunku, tak że łatwo mógł zrozumieć, że nie jest tutaj osobą mile widzianą.

Nie dał się jednak zbić z tropu, przystąpił do najstarszego ranga, pułkownika Winsłowa, stanął przed nim salutując i rzekł:

— Porucznik Helmer, panie pułkowniku. Proszę o łaskawe przedstawienie mnie towarzyszom.

Pułkownik trzymał w ręku karty do wista, obrócił się pomału i zrobił minę, jakby nie wiedział o co chodzi.

— Jak? Czego pan chce?

— Ośmielam się prosić o przedstawienie mnie tym panom, panie pułkowniku!

Pułkownik ściągnął brwi, zmierzył Roberta od stóp do głowy i rzekł:

— Przedstawić? Aha. A kim pan jesteś?

Na twarzach wszystkich pojawiła się złośliwa radość, no może z wyjątkiem Platena.

Wiedzieli, że teraz Helmer pokaże jaki ma charakter. Żaden z kawalerzystów nie zniósłby tej zniewagi. Wszyscy z uwagą patrzyli na Roberta.

Głosem pewnym siebie rzekł:

— Pański adiutant, porucznik Branden jest świadkiem, że się już dzisiaj panu przedstawiłem. Chętnie pomogę pańskiej słabej pamięci, jeśli trzeba; jestem porucznik Helmer, panie pułkowniku.

Pułkownik poderwał się z krzesła:

— Co pan sobie do diabła wyobraża, panie Heller, Holler, Helmer, czy jak się pan tam zowiesz! Kto ma słabą pamięć, hę?

— To już pozostawiam do oceny pana pułkownika, czy zapomniano moją osobę z powodu rzeczywistej, niewinnej słabości pamięci, czy też specjalnie. W ostatnim przypadku będę prosił pana ministra wojny, by raczył mnie przedstawić panu pułkownikowi przed całym frontem pułku, całkiem wyraźnie i daję słowo honoru, że ekscelencja to uczyni.

Pułkownik zbladł. Przeczytał już pismo od ministra. Poznał, że ma do czynienia z nie byle jakim przeciwnikiem.

Sprawa zawikłała się tak bardzo, że nawet stronniczy sędzia musiałby przyznać, że pułkownik bardzo obraził porucznika.

Helmer zaś stał naprzeciw tak, jakby pragnął zmyć tę obrazę wyzwaniem, a to popsułoby pułkownikowi opinię w oczach przełożonych.

Młodzi oficerowie mogą się wyzywać i bić, a potem za karę iść do twierdzy, ale jeśli pułkownik zmusza najmłodszego oficera do wyzwania, to hańba. I właśnie to spowodowało, że pułkownik udzielił odpowiedzi w całkiem innym tonie:

— Co tam słaba pamięć, co tam myślenie! Adiutant Branden jest tutaj, on pana przedstawi.

Myślał że na tym sprawa zastała zakończona, tymczasem Robert pozostał przy nim i rzekł głośno:

— Ależ proszę pana pułkownika, czy wolno mi zauważyć?

— No, ale wyrażaj się pan krótko!

— Zwięzłość wyrażania się, jest moim przymiotem. Nie z własnej chęci się tutaj dostałem, był to rozkaz. Znam wyjątkowe tradycje korpusu, sądziłem jednak, że nawet gdy nie zostanę panów towarzyszem, to przynajmniej przez wzgląd na wykonywane przez mnie obowiązki podczas ostatniej kampanii, nie będę mi panowie czynili wstrętu. Dzisiaj jednak przekonałem się o czymś zupełnie przeciwnym. U pana spotkałem się z obraźliwym przyjęciem, dlatego nie byłem przygotowany na serdeczności i w tym gronie. Nie lubię niepewności, dlatego — też muszę wiedzieć, czy panowie zechcą mnie zaakceptować, czy nie. Rozstrzygnąć się to musi zaraz, bo chcę wiedzieć, czy mam wolną drogę, czy też muszę ją sobie wywalczyć. Pan, panie pułkowniku mnie zignorował, dlatego muszę wiedzieć, czy stało się to z winy pana słabej pamięci, czy też specjalnie. Bardzo proszę o odpowiedź!

Wszyscy wstali. Takim tonem jeszcze nikt i nigdy nie odważył się przemówić do dowódcy regimentu. Wszyscy byli do Helmera nastawieni wrogo, jednak musieli przyznać, że ogromnie cenią jego śmiałość.

Pułkownik miał dwa wyjścia: albo przyzna, że ma słabą pamięć, a to byłoby straszną plamą, albo, że uczynił to z rozmysłem, a to z kolei musiało doprowadzić do pojedynku — i znowu hańba dla pułkownika. Jedyńm ratunkiem w takim wypadku pozostawało wyznanie, iż porucznika jako mieszczanina, nie uważa za zdolnego do dawania satysfakcji.

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali odpowiedzi.

— A jeśli odmówię panu odpowiedzi?

— Tego pan nie uczyni. Taka odmowa byłaby świadectwem tchórzostwa. Sądzę, że posiada pan na tyle odwagi, aby porucznikowi, który nie pochodzi ze szlacheckiego rodu udzielić odpowiedzi.

— Ma pan rację. Nie jest pan mężem, którego się należy obawiać. Oznajmiam więc, że zignorowałem pana specjalnie.

— Dziękuję panie Winslow. Uwzględnię pański wiek i nie wywelekę tej sprawy przed pańskimi zwierzchnikami, ale proszę o zadośćuczynienie. Pozwoli pan, że mu jutro przyślę dwóch moich sekundantów?

— No cóż, nie biję się z ludźmi niżej stojącymi w hierarchii społecznej niż ja.

— To zbyt tani sposób na wykręcenie się od odpowiedzialności. Jeśli pan nie przyjmie moich sekundantów, to sąd honorowy rozstrzygnie, czy ten, który nosi mundur oficera jego królewskiej mości nie jest godny otrzymania satysfakcji. Jeśli zaś wynik nie będzie dla mnie korzystny, to oskarżę pana przed zwierzchnikami, o zwyczajne nieposłuszeństwo i rozmyślne dzielenie swoich podwładnych. Jestem więcej niż o połowę młodszy od pana, ale nie pozwolę się lekceważyć.

Odwrócił się i podszedł do ściany, na której powiesił czako i szablę, potem wziął gazetę i rozglądnął się za miejscem.

Ani jeden oficer nie odważył się ustąpić mu miejsca, ale odsuwano się od niego.

Tylko porucznik Platen siedział spokojnie, patrząc na nowego towarzysza pogodnym okiem. Robert podszedł do niego.

— Czy mogę usiąść obok pana?

— Bardzo proszę, nazywam się Platen. Witam pana.

— Dziękuję serdecznie. Ja się nie muszę już chyba przedstawiać, ale czy byłby pan tak miły i podał mi imiona pozostałych panów?

Ciągle jeszcze panowała głęboka cisza i dlatego dokładnie słyhać było wymieniane przez Platena nazwiska. Niektórzy wzięli do rąk gazety, aby w jakiś sposób zneutralizować przykrą sytuację. Oficerowie przy stole Roberta, których nazwiska były wymieniane z zakłopotaniem kiwali głowami, tylko Ravenow zachował spokój i kręcił się koło stołu bilardowego.

— Golzen, choć skończymy partyjkę. A jak z tobą Platen, grasz dalej z nami?

— Dziękuję, rezygnuję.

Ravenow wzruszył ramionami i rzekł szydząc:

— To znaczy, że lampkę szampana zamieniłeś na ocet.

Robert udał, że nie usłyszał tego ubliżającego porównania.

— Czy gra pan w szachy, panie Helmer? — spytał Platen.

— Tak, z przyjaciółmi nawet chętnie.

— To dobrze, muszę jednak ostrzec, że na tym polu jestem mistrzem.

Grali w szachy, a tymczasem wkoło bilardu zebrała się grupa, obserwująca Ravenowa i Golzena, którzy wesoło się przekomarzali.

— O, znowu wygrywasz piętnastoma punktami — zauważył Ravenow. — Nie mam szczęścia w grze.

— Ale masz za to szczęście w miłości, co już raz powiedziałem — odparł Golzen.

— A tak, jesteś mi jeszcze winien wygraną w zakładzie. Dziewczyna będzie moja, ona nawet, jak dobrze pomyśleć, jest moją już teraz.

— Jaki zakład? Jaka dziewczyna? — zapytał major, który nic nie wiedział o zakładzie, albo chciał ponownie na ten temat sprowadzić rozmowę.

— Chodzi o to, że Ravenow ma dowieść, że jego sława niezwycięzonego zdobywcy kobiet jest niepodważalna? — odparł Golzen i opowiedział całą historię.

Wszyscy przysłuchiwali się opowiadaniu, nawet szachiści przerwali grę.

— O tak, Ravenow jest pułkowym don Juanem. Twierdzi, że zdobył tę piękność — zakończył Golzen.

— Naprawdę? — zapytał pułkownik po długim czasie milczenia.

— Oczywiście — odparł Ravenow. — Kto w rzeczywistości jest niezwycięzony? Nie tylko ja sam, ale nawet każdy oficer gwardii huzarów. Naturalnie monopol ten wkrótce stanie się całkiem iluzoryczny jeśli do naszego kręgu wciskać się zaczną niskie stany.

Przy tych słowach oczy wszystkich znowu zwróciły się na Roberta. Ravenow nie doczekawszy się z jego strony odpowiedzi kontynuował:

— Jeszcze czas, w którym miałem wykonać zadanie nie minął. Nie potrzebuję więc dawać żadnych dowodów. Ale dziewczyna ta była tylko córką woźnicy, a do takiej przecież dorośliśmy wszyscy. Mogę na razie powiedzieć tylko tyle, że zasiadłem w jej powozie i odprowadziłem ją do domu.

— Córkę woźnicy? — zaśmiał się pułkownik. — Winszuję poruczniku. Taki zakład był łatwy do wygrania.

Wtedy Robert wyciągnął cygaro i nacinając je rzekł obojętnie:

— Ba, ale pan Ravenow przegrał ten zakład!

Spokojnie pozwolił się dwa razy obrazić przez Ravenowa i nikt nie spodziewał się, że w sprawie, której najprawdopodobniej nie znał, zabierze głos. Ravenow przystąpił krok bliżej i zapytał:

— Co to znaczy Helmer?

Robert zaciągnął się spokojnie parę razy cygarem i odrzekł:

— Powiedziałem, że pan Ravenow przegrał zakład, a teraz opowiada niestworzone historie. Ten zaś zawołał:

— Będzie pan łaskaw jeszcze raz powtórzyć te słowa?

— Chętnie! Pan Ravenow przegrał zakład, a teraz kłamie.

— I pan się odważa powiedzieć to mnie, oficerowi królewskiej gwardii i to w tym miejscu?

— Dlaczego nie? Obaj znajdujemy się w tym samym miejscu i ja też jestem oficerem królewskiej gwardii. Zresztą w ogóle nie zważałbym na pańskie przechwałki, gdyby owa dama nie była moją przyjaciółką, której honoru zawsze będę bronił.

— Słyszycie? Córka woźnicy jego przyjaciółką! I taki śmie się wpychać między nas. Chce tak jak my być oficerem gwardii.

Wszyscy wstali rozumiejąc, że znowu dojdzie do utarczki. Był to wieczór, o którym później będzie się długo opowiadać. Teraz jednak wszyscy milczeli. Mieszkański żywił dotrzymał placu pułkownikowi, teraz jednak Ravenow z pewnością nauczy go rozumu! Robert siedział i odparł z zimną krwią:

— Już raz powiedziałem, że nie wdarłem się tu z własnej woli, tylko otrzymałem taki rozkaz. Muszę jednak zapytać, kto ma więcej honoru; przyjaciel córki woźnicy, czy jej uwodziciel? O przepraszam muszę cofnąć ostatnie słowo i nieco je umotywować. Pan Ravenow wdarł się co prawda z wielką bezwstydną do powozu, nie udało mu się jednak odprowadzić obu dam do domu, gdyż one przy pomocy policjanta wyrzuciły go.

W kasynie zapanowało ogólne zdziwienie. Powiedziane to zostało tak ostro i wyraźnie, iż musiała nadejść katastrofa.

Ravenow zbladł, nie wiadomo czy ze złości, czy też ze strachu, iż przeciwnik zna prawdę. Wściekłość wzięła górę. Podszedł do krzesła Roberta i zawołał:

— Co pan mówi? O bezwstydzie? O wyrzuceniu? Nawet o policjancie? Czy odwoła pan to i to natychmiast?

— Ani mi to w głowie! — brzmiała zimna odpowiedź. — Powiedziałem przecież szczerą prawdę, a prawdy się nie odwołuje.

Postać Ravenowa wyprostowała się groźnie. Wiedziano, że za chwilę rzuci się na swego przeciwnika, a jednak ten siedział, co według wszystkich było dowodem nieostrożności.

— Rozkazuję panu, natychmiast wszystko odwołać i prosić mnie o przebaczenie!

— Jakim prawem chce mi pan rozkazywać?

— Prawo mam większe niż pan sądzi! — zawołał wściekły oficer.

— Rozkazuję panu nawet wystąpić z naszego korpusu, gdyż nie jesteś nas godny. A jeśli tego nie uczynisz dobrowolnie, to zmuszę cię do tego. Wie pan jakim sposobem pozbawia się kogoś munduru?

Robert cały czas uśmiechał się i z dumną miną odpowiedział:

— O tym wie każde dziecko. Daje się mu zwyczajnie w twarz, a potem jest już niemożliwością, by dalej służył.

— Dobrze więc! Czy odwoła pan wszystko prosząc mnie o przebaczenie i obiecuje wystąpić z korpusu?

— To co pan wygadujesz jest po prostu śmieszne.

— W taki razie masz pan w gębę!

Z tymi słowami przyskoczył do Roberta i zamachnął się. Ale chociaż ruchy jego były błyskawiczne, Robert był jeszcze szybszy. Lewą ręką odbił wymierzony cios, i prawie w tej samej chwili chwycił Ravenowa za pas, podniósł go w górę i z ogromną siłą rzucił za stół bilardowy, tak, że przeciwnik upadł z wielkim hukiem na ziemię. Tej sztuczki nauczył Robert się od Sternaua.

Nikt z zebranych nie spodziewał się po nim takiej siły i zręczności. Panowała przez chwilę ogromna cisza, a potem powstało zamieszanie wręcz nie do opisanego. Kilku stało i z przerażeniem patrzyło na zwycięzcę, inni pospieszili do Ravenowa, który leżał na ziemi jak nieżywy. Na szczęście w towarzystwie był także lekarz wojskowy, który natychmiast obejrzał leżącego.

— Nic sobie nie złamał, a i wewnątrz wszystko jest chyba w porządku. Niebawem dojdzie do siebie, choć będzie miał kilka siniaków.

Ułożono Ravenowa na sofie i zwrócono się do Roberta ze wzrokiem nie wróżącym nic dobrego. On zaś stał jakby nic się nie stało. Pułkownik sądził, że nadeszła pora pokazania swojej przewagi. Przystąpił do Roberta i rzekł groźnie:

— Mój panie, porwałś się na porucznika Ravenowa.

— Obecni tutaj panowie mogą potwierdzić, że był to akt samoobrony — przerwał mu Helmer. — Śmiało grozić oficerowi spoliczkowaniem, rzucił się na mnie. Mimo to oszczędziłem go, a mogłem uczynić go niezdolnym do dalszej służby wojskowej, policzkując go.

— Proszę mi nie przerywać tylko słuchać do końca! Jestem pańskim przełożonym i ma pan milczeć, kiedy ja mówię. Rozumie pan to? Natychmiast uda się pan do swego mieszkania, w celu aresztu domowego!

— Proszę darować, panie baronie! Jutro bez dyskusji posłuchałbym rozkazu, ale jeszcze nie dzisiaj, dopiero od jutra będę podlegał pańskiej władzy. Sądzę, że nie należy się kierować gniewem i działać zbyt pochopnie...

— Panie Helmer! — groził pułkownik.

— O areszcie nie może więc być mowy. Co się zaś tyczy wyjścia z lokalu, to chętnie to uczynię. Dotychczas bywałem w innych miejscach, w których nikt nie ignoruje ludzi, ani nie ma zamiaru ich policzkować. Tak bywa tylko chyba w tym lokalu. Życzę dobrej nocy, panowie!

To skarcenie wywołało liczne głosy oburzenia. Nie zważał na nie, przypasał szablę, nałożył czako i z dumą wyszedł z sali.

— Straszne! — zawołał jeden z oficerów. — Tego jeszcze nie było, nigdy!

— To prawdziwy diabeł!

— Ba! — parsknął pułkownik. — Już my mu wypędzimy te diabelstwa. Mnie wyzywać! Czy ktoś słyszał coś podobnego?

Nie spostrzegli jak porucznik Platen wyszedł za Helmerem. Dopędził go, wziął pod rękę i rzekł stłumionym głosem:

— Proszę chwilkę poczekać, poruczniku Helmer! Czy uwierzy pan, że nie brałem udziału w tym powszechnym spisku przeciw panu?

— Wierzę, gdyż dał pan na to dowód — odparł Robert wyciągając dłoń. — Dziękuję panu serdecznie. Przyznam się, że byłem przygotowany na nieprzychylnie zachowanie, ale nie na grubiaństwo. Szkoda, że tak to wszystko się ułożyło.

— Dzielnie się pan bronił, aż zanadto. Obawiam się, że w ten sposób uniemożliwił pan sobie dalszy pobyt w gwardii.

— To się jeszcze okaże. Nigdy nie zaznałem tego, co inni nazywają obawą. Szanuję przywileje szlachty, ale stanowczo sprzeciwiam się pogładowi co do jakiejś wyższości stanów. Na wadze moralności ludzie mają jednakowo wy ciężar.

— Muszę przyznać panu rację, chociaż sam pochodzę ze szlachty. Pułkownik w pełni zasłużył na skarcenie, chociaż nikt się nie spodziewał, że pan tak rozwiniesz swoje myśli. Co się zaś tyczy Ravenowa, to muszę zapytać, czy pan zna tę dziewczynę?

— Bardzo dobrze, obie damy opowiedziały mi całe zajście.

— Ale czy zgodnie z prawdą?

— Te panie nigdy nie kłamią. Panu mogę powiedzieć, że dama, o której mowa w zakładzie, wcale nie jest córką woźnicy. Obiecuje pan zachować dyskrecję?

— Naturalnie!

— Powiem panu, ona jest wnuczką księcia Olsunny. Widzi pan więc, że żadną miarą nie potrzebuję się wstydić wieloletniej przyjaźni z nią... a Ravenow jest człowiekiem bardzo nierozważnym. Każdy inny na jego miejscu poznałby, że ma przed sobą wielce wykształcone damy. Jej towarzyszka, to sama księżna. Do powozu wdarł się w sposób brutalny i dlatego wyrzucono go przy pomocy policjanta.

— Mój Boże, co za głupota, co za nieostrożność! Ale skąd mu przyszło do głowy, że to córka woźnicy?

Robert opowiedział o spotkaniu Ravenowa z Kurtem.

— Teraz już wszystko pojmuję, oprócz pańskiej ogromnej siły.

— Od dzieciństwa ćwiczyłem i miałem najlepszego pod słońcem nauczyciela, mianowicie spadkobiercę majątku księcia Olsunny.

— Do diabła! Bez przerwy rośnie pan w moich oczach. Czy bronią też pan pewnie tak doskonale włada jak pięścią?

— Nie obawiam się żadnego przeciwnika.

— To się panu przyda. Wyzwania Ravenowa spodziewaj się pan jak najszybciej. Ale co będzie z pułkownikiem?

— Wyślę do niego moich sekundantów, ale mam z tym mały problem. Nie chciałbym wszędzie opowiadać jakie spotkało mnie przyjęcie, a znajomości tutaj jeszcze nie mam.

— Mogę panu służyć.

— Ale przez to i pan wpadnie w niełaski kolegów.

— Tego się nie obawiam. Nie służę dla awansu, tylko dla przyjemności. Mój majątek pozwala mi na całkowitą niezależność i bardzo proszę, byś pan zechciał mnie wybrać na swego sekundanta. Zyskał pan mój szacunek, czy możemy zostać przyjaciółmi?

— Czuję się zaszczycony. Już podczas dzisiejszych odwiedzin u majora, wyczytałem z pańskich oczu przychylność.

Podali sobie ręce, a Platen zapytał:

— Idzie pan prosto do domu?

— Nie. Wprawdzie przez cały czas zachowywałem spokój, ale to tylko pozór, tak naprawdę to we mnie aż kipi. Nie mogę dać w domu poznać swego zdenerwowania i dlatego chcę gdzieś wstąpić na lampkę wina.

— Dobrze, przyłączam się do pana, ale poczekaj chwilę!

Wrócił do kasyna. Robert czekał na zewnątrz. Obaj młodzi oficerowie udali się do jednej z najlepszych winiarni, a potem Platen odprowadził swego nowego przyjaciela do domu, chcąc zobaczyć gdzie mieszka. Kiedy przed bramą żegnali się, zobaczył jasno oświetlony front pałacu, a kiedy Robert wszedł do środka spotkał tam wspaniałego gościa, wielki książe zawitał do księcia Olsunny.

— Ale oto nadchodzi nasz gwardzista! Byłeś Robercie w kasynie? — spytał książe.

— Tak, wasza dostojność!

— I spotkał się pan z pułkownikiem?

— Był obecny.

— A otrzymał pan od niego zaproszenie?

— Nie wiem o żadnym zaproszeniu, wasza wysokość.

— Rozumiem, ten pan chciał pana pominąć, ale zrobimy mu niespodziankę. Dowiedziałem się dzisiaj jakie to czynią ci trudności i postanowiłem uświadomić tym panom, że mogą być dumni, posiadając w swych szeregach porucznika Helmera. Jest pan znakomitym oficerem, godnym orderów, które nosisz. Opłaciłeś je ranami. Oprócz tego jestem pańskim osobistym przyjacielem i postanowiłem dać panu sposobność do zawstydzenia pańskich wrogów. Zaprosiłem wszystkich oficerów gwardii królewskiej i wielu jeszcze przyjaciół na jutrzejszy wieczór do siebie, a król, który mi opowiedział o jakiejś nadzwyczajnej przysłudze oddanej państwu przez pana, oddał mi zamek Montbijon do dyspozycji. Spodziewam się, że pułkownik rozdał zaproszenia w kasynie. Chcą pana wykluczyć, mimo tego, ja jednak muszę pana zobaczyć. Proszę założyć wszystkie orderzy, niejeden pęknie z zazdrości na ich widok.

Podczas tej długiej mowy Robert stał mocno wzruszony.

— Wasza wysokość, nie wiem, jakim...

— Dobrze, dobrze poruczniku — przerwał wielki książe. — Znam pańskie usposobienie i nie muszę mieć na to żadnych zapewnień. Cel dzisiejszych odwiedzin został osiągnięty, więc mogę się pożegnać.

Kiedy wielki książe wyszedł, Robert dowiedział się, że także książe Olsunna wraz z całą rodziną, lordem Lindsay i Amy zostali zaproszeni, potem udał się do swego pokoju, aby dobrze wypocząć przed trudami jutrzejszego dnia.

Po pewnym czasie, ktoś zapukał do drzwi. Zdziwiony otworzył drzwi i zobaczył Różyczkę.

— Dziwisz się? — zapytała nieśmiało. — Muszę z tobą pomówić.

— Chodź Różyczko, usiądź.

— Wprawdzie młoda dama nie powinna o tak późnej porze odwiedzać młodego mężczyzny, ale my jesteśmy jak rodzeństwo, prawda?

— Naturalnie — rzekł, aby rozwiać jej wątpliwości. — Mamcia wie, że tu jesteś?

— Oczywiście.

— I pozwoliła ci?

— Nawet mnie o to prosiła. Muszę cię zapytać o coś bardzo ważnego.

Robert w tej chwili czuł się ogromnie szczęśliwy. Ta prześliczna istota przychodzi do niego o tak późnej porze i to bez cienia wątpliwości. Nie była już przecież dzieckiem i wiedziała, że kochają całym sercem. Ale znał tę ogromną różnicę między nimi. Była to miłość beznadziejna, nieszczęśliwa, choć zrodziła się w głębi duszy i była pozbawiona wszelkiego samolubstwa.

Teraz siedział obok niej, na małej sofie i patrzył z oczekiwaniem na jej precudnej urody twarzyczkę.

— O co masz mnie zapytać, Różyczko?

— Podaj mi najpierw swą rękę. Wiesz, o tym, że wszyscy cię zawsze bardzo lubiliśmy?

Kiwnął głową, gdyż nie mógł wydobyć z siebie słowa.

— I że nadal cię lubimy?

— Ja ciebie też.

— Ty mnie? Wiem o tym. Gdyby była taka potrzeba, to byś nawet za mnie zginął. Myślisz, że ja ciebie już nie kocham tak jak kiedyś? Widzisz kochany, kogo się lubi, tego się dobrze zna, a jeśli nawet się wszystkiego nie wie, to się przeczuwa to i owo. Kiedy jestem przy tobie, to przeczuwam każdą twoją myśl, a gdyby nawet oko czegoś nie dostrzegło, to serca widzi wszystko. Wierzysz mi?

Robertowi mało serce ze szczęścia nie pękło, musiał zapanować nad sobą, by spokojnie odpowiedzieć „tak”.

— Dobrze — mówiła dalej. — Skoro przyszedłeś z kasyna, to oko twoje było tak głębokie i nieprzyjemne, że zaraz poznałam, że spotkała cię wielka nieprzyjemność. Zostałeś tam źle przyjęty, a jak cię znam, to nie znosisz zniewagi. Doszło do kłótni, a wy, oficerowie zaraz jesteście gotowi do wyjęcia szpady. Robercie, spójrz mi prosto w oczy.

Położyła na jego ramionach swoje dłonie i przyciągnęła go bliżej siebie. Poczuł ogromne ciepło, które biło z jej oblicza, usta jej zbliżyły się. Robert musiał zapanować nad sobą i z trudem mu się to udało, ale teraz był większym bohaterem, niż na wojnie.

Jej badawczy wzrok utonął w jego oczach, potem opuściła rękę i rzekła:

— Robercie, wiesz co w nich widać?

— Co?

— Pojedynek.

— Różyczko! — zawołał przerażony.

— Robercie, widzę to dokładnie. Tam głęboko w twojej źrenicy leży coś, co chciałeś głęboko ukryć. To dumna stanowczość. Czy chcesz może zaprzeczyć, Robercie?

— Nie, nigdy?

— Czyli, że serce moje odgadło?

— Obiecujesz zachować tajemnicę?

— Naturalnie! W sprawach honorowych nie możemy się zdradzać. Była porywająco piękna z tą dziecinną naiwnością.

— Odgadłaś, Różyczko — odpowiedział po chwili.

— Pojedynek, naprawdę pojedynek. Wiedziałaś, przeczuwałam to. Czy teraz wierzysz, że nadal cię lubię?

Patrzyła przy tym na niego tak czule, że wziął jej rękę, przycisnął do ust i drżąc odpowiedział:

— Dla mnie to wielkie szczęście, że mogę w to wierzyć.

— Tak, to wielkie szczęście, jeśli jedno drugiemu sprzyja z całego serca i ma do niego całkowite zaufanie. Ja taką ufność pokładałam w tobie. Sądziś, że niepokoję się tym pojedykiem?

— Nie.

— Właśnie, ani trochę. Ty pokonasz swojego przeciwnika. Ale mamcia się obawia i dlatego mnie tu przysłała, abym dowiedziała się od ciebie całej prawdy.

Oko jej błysnęło dumą, kiedy usłyszała o takim zaufaniu, nie oddałaby tego za żadne skarby świata.

— Nikomu nie zwierzyłam się ze swoich podejrzeń, gdyż przeszkadzili by ci w tym, a ty musisz się pojedykować!

— Różyczko, jesteś bohaterką! — zawołał zachwycony.

— Tylko jeśli chodzi o ciebie, mój miły. O innych bym drżała, ale ty wszystkich przewyższasz. Kiedy szedłeś na wojnę to drżałam z niepokoju, gdyż przed kulami nie można się obronić. W pojedynku zaś chodzi o zręczność i spokój, a wtedy nie masz się czego obawiać. Wolno zapytać kto jest twoim przeciwnikiem?

— Jest ich dwóch.

— Czyli, że będą dwa pojedynki? Dobrze, podwójna okazja do nauczenia ich szacunku. Bardzo bym się cieszyła, gdybyś spełnił jedną mą prośbę.

— Jeśli tylko mogę, Różyczko.

— Ukarz obu przeciwników, ale ich nie zabijaj. To wielka duma gdy przeciwnikowi można powiedzieć: „mogłem cię zabić, jednak w swej wspaniałomyślności, darowałem ci życie”! Uczynisz tak?

— Chętnie, obiecuję!

— Cieszy mnie to. W dowód mojej wdzięczności, wolno ci ucałować moją rękę, tak jak to przed chwilą uczyniłeś.

Wyciągnęła rączkę i słodko się uśmiechnęła.

— Tak w dawnych czasach czyniły panny swoim rycerzom, dlatego ja również wynagradzam cię w ten sposób. Gdyby mamcia to widziała, to by się serdecznie uśmieła... A teraz powiedz, kim są twoi przeciwnicy?

— Pierwszy, to mój pułkownik, a drugi to porucznik Ravenow.

— Ten! Ten, który względem nas okazał taki niegrzeczny? Robercie odgaduję, że bijecie się z mojego powodu. Prawda?

— Prawda.

Nie były to z jego strony przechwałki. Nawet nie myślał, żeby ją zjednywać w taki sposób. Miał czysty charakter i zawsze, na wszelkie pytania odpowiadał zgodnie z prawdą.

— Widzisz, ja to wszystko czytam w twoich oczach. Teraz naprawdę jesteś moim rycerzem. Ty się zemścisz za swoją Różyczkę, a ona w zamian da ci swą rękę do ucałowania i pamiątkę. Jaką? nad tym się muszę jeszcze zastanowić. Teraz już wszystko wiem i mogę wrócić do mamci.

— Co jej powiesz?

— Wszystko. Sądzisz, że przed mamcią mogę cokolwiek zataić.

— Ani o tym nie pomyślałem! — zawołał ze szczerością. — Powiedz jej wszystko, tylko dodaj, by się o mnie nie martwiła i poproś o dochowanie tajemnicy.

— Tak zrobię, dobranoc, Robercie.

— Dobranoc moja słodka.

Wyciągnęła do niego obie ręce i już miała odejść, ale przy drzwiach zatrzymała się nagle, obróciła i rzekła z anielskim uśmiechem:

— Zupełnie bym zapomniała o jednej, bardzo ważnej sprawie, jeśli już jesteś moim rycerzem, to muszę uczynić tak jak dawniej czyniły panny i dać ci moją barwę do boju. Czy dobra będzie ta wstążka, którą noszę przy sukni, Robercie?

O mało nie krzyknął z radości, na taką ilość dziecinnej niewinności.

— O tak, będzie wspaniała! Rzeczywiście mija dajesz?

— Bardzo chętnie! — odpięła jedwabną wstążkę ze swej młodej, pięknie zaokrąglonej piersi i podała Robertowi. — Skoro będziesz szedł w bój, przypniesz ją sobie na piersi, albo nie. Będzie ją widać, a ci ludzie nie są godni widzieć, że ty nosisz mój znak. Ale gdzie ja w takim razie przypniesz?

— Nie na ubraniu, tylko pod nim, na samym sercu!

Miły rumieniec pojawił się na jej policzkach. Opuściła drugie rzęsy, ale szybko podniosła je i z ufnością spojrzała na oficera.

— Masz rację, zrób tak, to najlepsze miejsce. Potem będę ją nosiła z wielką dumą.

— Co? Miałbym ci ją potem oddać? — zawołał.

— A nie?

— Jeśli chcesz, to tak — odparł zakłopotany. — Ale wtedy musiałabyś ją wykupić, tak jak to dawniej czyniły damy.

— Wykupić? Czym?

— Pocałunkiem.

Teraz spłonęła rumieńcem i przewyciężając zakłopotanie zapytała:

— Czy naprawdę tak dawniej czyniły damy?

— Naturalnie, Różyczko.

— To ja o tym nie wiedziałem. Ale skoro ci daruję kokardę, to nie potrzebuję jej wykupywać. W każdym razie pomyślę nad tym, czy mam ją nadal nosić, czy nie. Co ci będzie miłsze, Robercie?

— Najwspanialej by było, gdybym otrzymał całusa i przy tym mógł zatrzymać wstążkę.

— Chcesz mnie normalnie wykorzystać. Nieładnie. To nie taka łatwa sprawa, jak się wydaje. Będzie mnie kosztowała dużo myślenia. Na razie zachowaj wstążkę. Potem ci powiem co się z nią stanie.

Odeszła, a on został z sercem przepelnionym rozkoszą, padł na sofę i myślał, potem zdrzemnął się... zasnął i marzył o Różyczce. Tylko o niej. Nareszcie wzeszło słońce. Wstał i poszedł do ogrodu na spacer. Gdy przyszedł na śniadanie zobaczył Różyczkę. Była bardzo blada, gdy spojrzał na nią, spuściła wzrok.

Spojrzał na jej matkę i w jej przyjaznym wzroku wyczytał dochowanie tajemnicy.

Nadeszła pora udania się do garnizonu. Jego służący osiodłał mu pięknego rumaka, podarunek od księcia. Pojechał do koszar. Przybył w samą porę, oficerowie zbierali się i oczekiwali na pułkownika oraz sierżanta.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego. Ravenow także był obecny, odwrócił się ujrawszy przeciwnika.

— Do diabła! Co za koń! — mruknął adiutant Branden. — Czym ten rybacki syn mógł zapłacić za tak drogie zwierzę. I na dodatek używa go w czasie zwyczajnej służby. Na coś podobnego może sobie pozwolić tylko milioner.

Robert pozdrowił towarzyszy, którzy ledwie odpowiedzieli na jego ukłon. Tylko Platen rzekł głośno:

— Dzień dobry, panie Helmer! Śliczny ogier! Masz więcej takich w stajni?

— To mój koń służbowy, inne muszę szanować.

— Do pioruna! — mruknął ponownie adiutant do sąsiada. — Ten drań udaje, że ma jeszcze droższe konie. Zdaje mi się, że ten dureń blamuje się, ale Platen niepotrzebnie się mu narzuca.

Wtem nadjechał pułkownik. Twarz jego była surowa, ledwie panował nad swoją złością. Branden wyjechał naprzeciw salutując:

— Może masz mi do oznajmienia coś nadzwyczajnego? — zapytał pułkownik.

— Wedle rozkazu, panie pułkowniku. Porucznik Helmer stawiał się na służbę.

— Porucznik Helmer, naprzód! — zakomenderował pułkownik ostrym głosem.

Robert wyjechał naprzód i stał spokojnie. Przełożony oglądając jego ubranie, rząd i konia. Z wielką chęcią by odkrył coś nieregularnego, ale nie miał okazji. Odezwał się mrugając pogardliwie oczami:

— Może pan odjechać do domu! Każe panu oznajmić, gdy będę go potrzebował!

Robert zasalutował nie dawszy po sobie poznać niechęci, zbódtł konia i oddalił się z wielką elegancją przez bramę.

— Ładny jeździec! Gdzie ten smarkacz nauczył się tego? — spytał adiutant sam siebie.

Helmer odgadł plany pułkownika. Nie chciał mu zezwolić na służbę, gdyż oba wczorajsze wyzwania uniemożliwiały ją. Gdyby nawet zwyciężył w obu pojedynkach, to z pewnością na długie lata pomaszerowałby do twierdzy.

Ale Robert śmiał się z tego. Wrócił do domu i oznajmił, że dzisiaj jeszcze nie uważano za słuszne, by go zatrudnić.

Ćwiczenia w koszarach trwały ponad godzinę. Ledwie pułkownik wrócił do domu, kiedy zjawił się u niego Platen.

— A, dobrze, że pan przychodzi. Chciałem panu już wczoraj wieczorem, zwrócić uwagę, iż nie pojmuję pańskiego zachowania. Dlaczego ustąpiłeś mi pan miejsce, ba, nawet grałeś z nim w szachy?

— Gdyż uważam, że nie należy do grzeczności, hańbienie oficera. A do tego przysłała nam go minister wojny i oczekuje, że przyjmimy go do naszego grona.

— Czy nie wie pan, jak się umówiliśmy?

— Ja w umowie nie brałem udziału.

— Pan nawet, jak słyszałem, jest jego przyjacielem. Czy wie pan, iż tym sposobem rozdrażniłeś swoich kolegów, którzy nie zniosą parszywej owcy między sobą?

— Wspomniałem już, że cenię Helmera i proszę, aby w mojej obecności nie mówić o nim w ten sposób. Zresztą, przychodzę w jego sprawie.

— Może jako sekundant?

— Tak, w jego imieniu proszę o zadośćuczynienie.

— Co? To bardzo nieostrożne z pańskiej strony, pan przecież wie, że jestem jego przełożonym!

— Tylko w służbowych sprawach, zaś w sprawach honorowych stoimy na równym stanowisku. Muszę stanowczo prosić, by mi pan nie groził. Przyjaciół mój wymaga zadośćuczynienia i prosił mnie, abym w tej sprawie porozmawiał z panem.

Pułkownik chodził rozgniewany po pokoju. Jego położenie było bez wyjścia.

— Z kimś z gminu bił się nie będę.

— W takim razie idąc za wskazówkami Helmera, udaję się wprost do majora Palma, który jest honorowym rozjemcą naszego pułku, on zwoła sąd honorowy i rozstrzygnie, czy przyjaciel mój jest godnym tego, aby dać mu satysfakcję. Sąd zbierze się już po południu, spodziewam się, że werdykt będzie przychylny dla mego przyjaciela. *Adieu!*

Zaledwie wyszedł, pułkownik natychmiast udał się do członków sądu honorowego, by wpłynąć na ich stanowisko. Platen zaś udał się do Ravenowa.

— Co za zaszczyt mnie spotyka, odwiedzić pana Platena?

— Moje odwiedziny zaszczytem? Co tak oficjalnie?

— Skoro przeszedłeś do obozu wroga, to mogę z tobą rozmawiać tylko chłodnym tonem i proszę byś się również zastosował do tego.

Platen skłonił się i rzekł:

— Wedle życzenia. Kto broni niewinnego wobec uprzedzeń, musi być przygotowany na wszystko. Nie będę ci długo przeszkadzał. Przyszedłem ci podać adres mojego przyjaciela, Helmera.

— Dobrze, moim sekundantem jest Golzen. Jaką broń wybiera ten twój, tak zwany przyjaciel?

— Tobie pozostawia wybór.

Oczy Ravenowa błyszczały wrogo.

— O, to on taki jest pewny swego? Udaje, że jest mistrzem we wszystkich rodzajach broni! Powiedziałeś, że jestem pierwszym szermierzem pułku?

— Nie miałem zamiaru go obrażać. Zresztą on się ciebie nie obawia.

— Dobrze, żeby się tylko nie przeliczył. Ćwiczyłem z pewnym Czerkiesem, który był mistrzem broni wschodniej. Wybieram więc krzywą, turecką szablę, to najlepszy instrument do rozłupania głowy.

— Czy cię diabeł opętał? — zawołał przerażony Platen. — Broni tej się tutaj nie używa.

— Skoro pozostawił mi wolny wybór, to z niego korzystam.

— Ale tu nawet nie ma takiej broni.

— Ja mam dwie.

— To nie jest uczciwe. Ty jesteś w tej broni biegły, on zaś nie.

— No cóż, był zbyt zuchwały pozostawiając mi wybór. O nieuczciwości nie ma tu mowy. Zresztą nie ma co rozpaczać. On mnie śmiertelnie obraził, rzucił mną o ziemię, a ponieważ żadną miarą nie może zostać w regimencie, to stawiam warunek, aby walka trwała tak długo, dopóki jeden z nas nie padnie, albo będzie niezdolny do służby.

— Tego już za dużo. On cię oszczędził, mógł ci wymierzyć policzek, jak ty to chciałeś uczynić, chyba że nie pamiętasz.

— Nie denerwuj mnie tym.

— Cóż, to twoje sumienie. Podaj czas i miejsce?

— Hm, to samo miejsce gdzie odbędzie się pojedynek z pułkownikiem. Jeśli by jednak nie doszedł on do skutku, to później się nad tym, zastanowię. Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

— Nie, *adieu!*

Udał się do majora Palma, który obiecał wziąć tę sprawę w swoje ręce.

Kiedy przyszedł do Roberta i przekazał mu decyzję Ravenowa o tureckich szablach, Robert tylko wzruszył ramionami.

— Ten człowiek honoru, chce się mnie pozbyć za wszelką cenę, ale przekona się, że ja jestem pobłażliwy. Pułkownik jest tchórzem. Nie jest możliwe, aby sąd honorowy rozstrzygnął spór na jego korzyść. On z całą pewnością wybierze pistolety na dużą odległość, jestem gotów go oszczędzić, twierdza będzie dla niego należyta karą. Kiedy mogę się spodziewać wyroku?

— Wieczorem, zanim się udam na bal do zamku Montbijon. Aha, to następny kawał, jaki panu splątano. Miał pan tak jak wszyscy otrzymać zaproszenie, ale niestety, to się nie zdarzyło.

— Niech się pan o to nie martwi. Mam prywatne zaproszenie od wielkiego księcia. Zdradzę panu w tajemnicy, że cieszę się jego względami. Wie także o tym, jak zostałem wczoraj przyjęty w garnizonie, kiedy wczoraj wieczorem wróciłem do domu, to książe przyjął mnie.

Palten bardzo się zdziwił:

— Jest pan — prawdziwym dzieckiem szczęścia posiadając łaski samego wielkiego księcia.

— Zawsze był do mnie przychylnie nastawiony. Zresztą, proszę nie mówić nikomu, że tam będę. Cieszę się na samą myśl widoku ich mm, gdy mnie zobaczą. Wiadomość o wyroku sądu przyniesie mi pan do zamku Montbijon, a ja za to przedstawię pana wielkiemu księciu, księciu Olsunnie, lordowi Lindsay i kilku damom.

— Tej prześlicznej też?

— Tak. Jak już mówiłem jest wnuczką księcia Olsunny, a jej matka jest hiszpańską hrabianką de Rodriganda, ale obie znane są pod nazwiskiem Sternau. No ale teraz mój przyjacielu musimy przygotować się do zabawy.

Rozeszli się oczekując tak pełnego niespodzianek wieczora.

W południe zebrał się sąd honorowy.

Jego członkowie, składający się z samej wielkiej szlachty, uważali Helmera za parszywą owcę. Zdanie pułkownika nie pozostało tu bez wpływu. Stąd też się wziął nieprzychylny dla Helmera wyrok. Dopuścił się obrazy pułkownika i na sam dodatek żąda satysfakcji, to wprost niemożliwe. O pojedynku nie może być mowy. Do tego dołączona była uwaga, że zachowanie się porucznika Helmera można nazwać bezwzględny, które z całą pewnością nie zjedna mu sympatii kolegów z garnizonu i dlatego lepiej by zrobił, gdyby się przeniósł gdzieś indziej. Do tego wszystkiego jego pochodzenie nie są w należytej harmonii z pozostałymi członkami gwardii.

Wyrok ten został włączony do protokołu, którego odpis otrzymał dla Helmera Platen. Wiedział, że oczekiwano od niego, by zajął jakieś stanowisko, on jednak wziął tylko pismo i w milczeniu oddał się, będąc przekonany, że sprawa nie jest jeszcze skończona. Pułkownik

jednak czuł się zwycięzcą. Spodziewał się, że Helmer nie będzie obstawał przy pozostaniu w pułku i uradowany wrócił do domu, by przygotować się na wieczorny bal.

BAL U WIELKIEGO KSIĘCIA

Zamek Montbijon leży nad Szprewą, to położenie dodawało mu uroku. W ogrodzie zaświecono liczne lampiony, które rzucały pełen czaru blask na otoczenie. Służba krzątała się żwawo, przy wejściu stał ochmistrz dworu wielkiego księcia i przyjmował licznych gości.

Spóźnianie należy do dobrego tonu, dlatego najpierw zjawili się porucznicy, potem oficerowie coraz wyżsi rangą. W przedpokoju przyjmował ich adiutant wielkiego księcia i prowadził na wyznaczone miejsce. W końcu przybyli generałowie z towarzyszącymi damami.

W wielkiej sali ustawiona była już orkiestra wojskowa, która miała grać do tańca. Teraz nastąpiły chwile oczekiwania. Ludzie rozmawiali stojąc w małych grupkach. Służący roznosili napoje, z sali jadalnej słychać było brzęk szkła.

Naraz otwarły się drzwi i zapowiedziano wejście wielkiego księcia. Wszedł, prowadząc pod rękę Różę de Rodriganda, panią Sternau. Za nim szedł książę Olsunna z Amy Lindsay, lord Lindsay z księżną Olsunna, a za nimi Robert z Różyczką.

Na jego widok gwardziści wybałuszyli oczy. Miał przypięty do piersi austriacki Order Żelaznej Korony i wojskowy Order Marii Teresy, ale to nie wszystko. Mogli zobaczyć jeszcze heski Order Lwa i Order Żelaznego Hełmu a także krzyż za zasługi wojskowe.

Wszystkie obecne damy zaczęły się przyglądać przystojnemu młodzieńcowi, którego żadna do tej pory nie знаła. Mężczyźni zaś przyglądali się ciekawie kobiecie, która mu towarzyszyła.

Obecni wstali. Wielki książę przystąpił do dowódcy dywizji, kazał sobie przedstawić towarzyszące mu damy, po czym dokonał prezentacji swojego orszaku.

Można sobie wyobrazić jakie wrażenie na oficerach zrobiło pojawienie się Roberta. Adiutant Branden mruknął do Golzena:

— Czyja dobrze widzę, czy tam idzie Helmer?

— Tak, to on. Ale skąd taki drab w orszaku wielkiego księcia. Branden ciągle jeszcze stał z otwartymi ustami.

— A niech mnie diabeł porwie! Pięć orderów i krzyż zasługi! Czy ja przypadkiem nie śnię?

— Nie, a przy jego boku córka woźnicy! Sądzę Branden, że nas nabrano!

— Zobaczymy! Zobaczymy. Jego wysokość obecnie przedstawia gości. Słuchaj! Aha, książę Olsunna i miss Lindsay.

— Teraz lord Lindsay i księżna Olsunna. Hej, Platen, słyszał pan imię tej pięknej damy, którą prowadził sam książę?

— Przedstawił ją jako panią Sternau, ale to incognito. Ona jest hrabianką de Rodriganda i przyszłą księżną Olsunna — odpowiedział Platen, zapamiętawszy te koligacje z rozmowy z Helmerem.

— Słuchajcie! Teraz kolej na porucznika! Pst. Aha, porucznik Helmer i panna Sternau! Co znowu Platen?

— Także *incognito* — odpowiedział Platen. — Panna Sternau jest wnuczką księcia Olsunny i przyjaciółką naszego Helmera. Ravenow został przechytrzony przez służącego Helmera.

Ravenow stał obok, słyszał to i zgrzytał zębami.

Tymczasem wielki książę pozostawił Helmera i Różyczkę przy generale, aby ten dokonał ich prezentacji pozostałym oficerom.

— No, niech mnie diabeł porwie! To wygląda tak, jakby porucznik miał otrzymać swoistą satysfakcję.

— Bo tak rzeczywiście jest — wtrącił Platen. — Wiem z bardzo pewnego źródła, że ten dzisiejszy bal zorganizowano właśnie dla Helmera. Jest ulubieńcem wielkiego księcia, który nam obecnie udziela lekcji dobrego wychowania. Pewien pułkownik zapomniał wczoraj nazwiska swego porucznika, dzisiaj usłyszą je wszyscy i to z ust samego generała.

Generał podszedł właśnie z Różyczką i Robertem do pułkownika.

— Panie pułkowniku — rzekł. — Mam zaszczyt przedstawić panu pannę Sternau i pana porucznika Helmera. Wstąpił do pańskiego pułku, więc polecam go pana łaskawości.

Pułkownika aż dusiło. Nie wyrzekł ani słowa, tylko skinął głową. Wtedy Helmer zwrócił się do generała i rzekł:

— Ekszelencjo, nadużyliśmy już aż nadto pańskiej dobroci, proszę pozwolić, aby pułkownik dokonał dalszej prezentacji.

— Diabelskie nasienie! Spodziewałem się czegoś podobnego — mruzczał adiutant. — Zmusza pułkownika, którego wyzwał i który uważa, że on nie jest godzien zadośćuczynienia, by zmaszał wczorajsze zachowanie się względem niego i dokonał prezentacji wedle należnych form.

Generał skłonił się i zauważył uprzejmie:

— Z przyjemnością wyświadczę państwu tę przysługę i oddaję was w ręce pułkownika!

Odszedł, a pułkownik musiał gryźć to kwaśne jabłko. Na dany znak oficerowie jego regimentu wystąpili z szeregu i musiał temu młodzieniaszkowi, wymieniać nazwisko każdego z nich.

— Dziękuję, panie pułkowniku — rzekł Robert chłodno po dokonaniu prezentacji.

Przystąpił do Platena i przedstawivszy go Różyczce, a odwrotnie dodał:

— To jest mój przyjaciel, może polecisz go wielkiemu księciu?

Podąła Platenowi rękę, on przysunął ją do ust, a Różyczka zapytała:

— Tańczy pan, panie poruczniku?

— Naturalnie, łaskawa pani.

— To Robert przyniesie panu potem moją kartę, abyś mógł zapisać na niej swoje imię. Dla jego przyjaciela wybieram pierwszy taniec, ale oczywiście po tańcu z nim. Teraz proszę ze mną do księcia.

Oddalili się. Pułkownik otarł pot z czoła i rzekł:

— Chyba zemdleję! Czuję się tak, jakbym przegrał bitwę!

Podszedł do swojej żony, by się pocieszyć. Teraz utworzyły się pojedyncze grupki, a w każdej rozmowa dotyczyła Helmera i nauczki, jaką dał wszystkim. Damy były nim zachwycone, panowie zaczęli patrzeć na niego innymi oczami. Ale to jeszcze nie było wszystko. Nagle otworzyły się drzwi i głośno zapowiedziano:

— Jego królewska mość!

W tej chwili wielki książę pospieszył w stronę drzwi, aby przyjąć tak znakomitego gościa. Ten wszedł w towarzystwie Bismarcka. Za nimi szli minister wojny i podkomorzy. Ostatni niósł w ręce jakiś przedmiot, który można było uznać za safianowe etui.

— Nie mogłem sobie odmówić wizyty u waszej wysokości, choćby na parę chwil — rzekł król do wielkiego księcia. — Proszę mi przedstawić swych gości.

Wkrótce najznakomitsi goście zgromadzili się dokoła władcy, reszta stała z boku cicho rozmawiając.

Branden nie mógł milczeć.

— Król, Bismarck i minister wojny? Ależ to ogromne wyróżnienie dla naszego pułku. Możemy być dumni. Widzicie to etui w ręce podkomorzego? Dam sobie głowę uciąć, jeżeli to nie pachnie orderem! Naturalnie otrzyma go wielki książę. Patrzcie, książę Olsunna stanął na uboczu z ministrem wojny. Rozmawiają poważnie, a cały czas spoglądają na pułkownika. Moi panowie, zbliżmy się trochę do pułkownika, za chwilę coś się wydarzy. Wiem to, gdyż jako adiutant już niejednego doświadczyłem.

Miał rację. Za parę chwil minister wojny zbliżył się do pułkownika, ten wstał pełen szacunku.

— Panie pułkowniku, otrzymał pan ode mnie bilet, w którym pisałem o poruczniku Helmerze? — zapytał bardzo nieprzychylnym tonem.

— Miałem ten zaszczyt.

— A przeczytał go pan?
— Natychmiast, jak wszystko co przychodzi z rąk jego ekscelencji!
— Bardzo mnie więc dziwi, że słowa moje wywołały wręcz przeciwny skutek. Przypomina pan sobie, że gorąco mu polecałem pewnego porucznika?

— Tak jest.
— Mimo to dowiaduję się, że wszędzie był przyjmowany w sposób impertynencki. Niejedna wysoko urodzona głowa jest pusta, a stoi w szeregu tylko dzięki wysokiemu urodzeniu. Minister spraw wojskowych jest szczęśliwy, gdy znajdzie takiego męża, na którego może liczyć, ale gdy się dowie, że ten człowiek przyjmowany jest z lekceważeniem przez jego podwładnych, to nie może być zadowolony. Oczekuję, że wkrótce inne wiadomości do mnie dotrą, niż te, które ku wielkiemu memu niezadowoleniu teraz słyszę.

Obrócił się na obcasie i odszedł, zostawiając pułkownika osłupiałego.

— No, na dzisiaj pułkownik jest moralnie skończony, fizycznie pewnie też — mrucał adiutant. — Nie chciałbym być w jego skórze. Ten porucznik wleciał do naszego kręgu jak bomba. Gdzie on teraz jest?

— Tam, przy lustrze! Bismarck z nim rozmawia! — odpowiedział Golzen.

— Bismarck! Doprawdy? Co za wyróżnienie. Całoroczną gażę bym oddał za to, aby mi Bismarck chciał chociaż głową skinać. A ten stoi tam z owym potentatem i rozmawia, jakby siedzieli wspólnie w jednej ławie szkolnej. O nieba, patrzcie! Król do niego podchodzi. Teraz mnie się już w głowie mąci.

Obecni ze zdziwieniem patrzyli na młodego porucznika, z którym poufnie rozmawiały tak dostojne osoby. Nie można było słyszeć o czym mówili, ale z twarzy króla można było wyczytać, że są to miłe sprawy.

Wtem król skinał na podkomorzego, który wystąpił na środek sali i głośno oznajmił:

— Moi państwo, ma zaszczyt oznajmić, że jego królewska mość raczy pana porucznika Helmera mianować rycerzem Orderu Czerwonego Orła drugiej klasy, za wielkie zasługi jakie wyświadczył podczas swego krótkiego pobytu w naszej ojczyźnie. Jego królewska mość rozkazał równocześnie wymienionemu panu wręczyć insygnia i zastrzega sobie prawo do dalszego w tym zakresie rozporządzenia.

Otworzył futerałik, podszedł do bladego ze wzruszenia Helmera i przypiął mu order.

W sali panowała cisza. Co to mogły być za zasługi. Pewnie bardzo ważne. Ten porucznik jest naprawdę dzieckiem szczęścia.

Koło młodego oficera utworzyło się koło chętnych do składania gratulacji. Król wyszedł, a za nim Bismarck, minister wojny i podkomorzy. Teraz wszyscy z gorliwością omawiali całe zajście. Już wszyscy oficerowie złożyli Robertowi gratulacje, gdy podeszła do niego Różyczka.

— Kochany Robercie, co za miła niespodzianka! — rzekła z płonącymi oczami. — Czy myślałeś o takim zaszczycie?

— Nigdy. Ciągłe nie mogę dojść do siebie. Zdaje mi się, że śnię.

— Słuchaj Robercie, przysługa ta musiała być rzeczywiście znaczna. Dyskrecji twojej nie chcę narażać na próbę. Gratuluję ci z całego serca. Nieprzyjaciele twoi zostali zawstydzeni. Jesteś obecnie nie tylko moim rycerzem, ale rycerzem sześciu orderów. Chciałabym widzieć takiego, który odważy się z tobą stanąć w szranki! A jak tam z pojedynkiem, czy pułkownik przyjął go?

— Platen oznajmił mi, że nie. Zaś sąd honorowy oświadczył, że nie mam do tego prawa. Platen przyniósł mi protokół.

— O proszę, pokaż mi go! Chętnie go przeczytam! I to zaraz! Jako mój rycerz musisz spełniać wszelkie moje życzenia dokładnie i szybko.

— Dobrze, masz go.

Dał jej kopertę z odpisem protokołu, poszła do bocznego pokoju, aby go przeczytać. Po chwili wróciła i z oczami pełnymi gniewu szukała pułkownika. Stał z majorem Palmem i

adiutantem Brandenem oraz Ravenowem. Podeszła do nich szybkim krokiem, skłoniła się i rzekła energicznie:

— Panowie wybaczą, że im przeszkadzam. Chciałabym pomówić z panem pułkownikiem.

— Do usług, łaskawa pani — odpowiedział z wyszukaną grzecznością, chcąc z nią odejść na bok.

— O proszę, możemy zostać tutaj. Panowie mogą wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. Czy pan porucznik Helmer wyzwiał pana?

— Niestety, tak.

— A pan uważa, że on nie jest godny, by otrzymać satysfakcję?

— Łaskawa pani — jękał się — muszę wyznać, że ja...

— Dobrze już! — przerwała mu. — Oddano sprawę do sądu honorowego, a ten wyrzekł w stosunku do porucznika hańbiące słowa. Oto protokół. Mówię panu, że pan porucznik nosi mundur króla. W sprawach honorowych stoi na równi z panem. Jako kawaler wielu orderów nie stoi niżej od żadnego z panów i powiadam, że uważam pana za tchórza, jeśli nie przyjmiesz tego wyzwania. Obelga człowieka honoru musi być tak samo skarcona, jak napad na damy, które stają się przedmiotem dzikiego zakładu. Wyrok pańskiego sądu honorowego nie świadczy o tym, że panowie sędziowie mają wiele wspólnego z honorem. To do pana mówi kobieta. Podarłabym ten protokół na oczach wszystkich i rzuciła panu pod nogi, gdybym go nie potrzebowała jako załącznika do osobistej prośby, którą mam do króla. Jeśli pan, jeszcze dzisiaj wieczorem nie oznajmi panu Helmerowi, że się stawisz na jego wezwanie, to jutro będąc u króla opowiem, jaką odwagę mają jego pułkownicy i jak obchodzą się z ludźmi honoru. Bardzo mi żal, panie pułkowniku, że nie jestem mężczyzną i nie mogę moich słów wzmocnić pistoletem lub szpadą! *Adieu!*

Odeszła dumna i zostawiła mężczyzn oszołomionych. Pułkownik zbladł ja kreda.

— I to mnie! Mnie! Ten pies Helmer dał jej odpis protokołu. Ja go zastrzelę jak psa!

— A na mnie rzuciła się ze słowami „bezczelny” i „dziki”. O ja również żałuję, iż nie jest mężczyzną. Chętnie nauczyłbym ją rozumu. Ale jej ulubieniec odpokutuje za to!

— Przekłeta czarownica! Głowę daję, jeśli ona naprawdę nie jest w stanie pobiec do króla z tym pismem. Co pan uczyni, pułkowniku? — zapytał Branden.

— No cóż, nie można polegać na wyroku sądu honorowego. Wiemy już co znaczy Helmer. Ale napady tej damy są takie zuchwałe, że można je zmyć tylko krwią. Daję słowo, że dołożę wszelkich starań, aby go zastrzelić.

— Proszę pozostawić to mnie, panie pułkowniku — rzekł Ravenow. — Wyzwałem go na szable tureckie, nie będzie w stanie mnie pokonać. Bijemy się dopóki jeden z nas nie padnie, albo będzie niezdolny do służby.

— A miejsce, gdzie? Może park za browarem na Bloksbergu?

— Wyśmienicie? Godzina?

— Może tak czwarta nad ranem, zaraz po zabawie?

— Dobrze, czwarta! A teraz przestroga dla pana, mój pułkowniku. Jest pan ojcem rodziny, ja zaś nie; pańskie położenie służbowe jest również inne niż moje, nasze szansę nie są jednakowe. Nie wiemy jaki obrót weźmie cała sprawa, a wtedy skutki będzie o wiele trudniej ponosić panu niż mnie. Proszę więc, abym ja mógł pierwszy się z nim pojedynkować.

Pułkownik, ze względu na swą wysoką rangę nie powinien wydać zgody na coś takiego, ale pomyślał o rodzinie i karze, jaką pociąga za sobą pojedynek; obliczył, że może nawet nie dojdzie do potyczki, gdyż Ravenow uważany był za niezwyciężonego szermierza. Do tego Pałał chęcią krwi, więc pułkownik rzekł:

Zgadzam się na pańską prośbę. Palm, jak radca honorowy będzie przy tym obecny, a moim sekundantem będzie pan, Branden.

— Chętnie.

— Idź więc pan do Helmera i oznajmij mu o tym, co uchwaliliśmy. Przyniosę pistolety. Odległość wynosić będzie dwadzieścia kroków, a strzelamy się dotąd, dopóki jeden z nas nie padnie trupem, albo okaże się niezdolnym do dalszej służby wojskowej. Postaram się o lekarza, który za zadanie będzie miał stwierdzenie, czy rana jest śmiertelna czy też nie.

— W jakim czasie będą panowie strzelać?

— Na komendę i o jednym czasie.

— Pańskie warunki są równie ostre jak moje — rzekł Ravenow. — Helmer nie wróci z placu walki. Rozplątałem mu głowę przy pierwszej okazji. Gdyby temu diabelskiemu nasieniu się jednak poszczęściło, to musi paść od pańskiej kuli, panie pułkowniku. Idę pomówić z moim sekundantem, Golzenem. Niech oznajmi Platenowi o moim zamiarze i poda warunki.

Po jakimś czasie Golzen, Platen i Branden podeszli do Roberta, który siedział z Różyczką. Chcieli mu oznajmić o wyniku negocjacji, a Różyczka koniecznie chciała być przy tym obecna.

— Ale co na to powie pan porucznik? — zapytał Golzen.

— Wszystko mi jedno. Sprawa nie wydaje mi się aż tak ważna, aby czynić z nią ceregiele.

Wtedy adiutant odpowiedział gniewnym głosem:

— Zaraz się pan dowie, że sprawa ma jest wagi ogromnej. Stanie pan oko w oko z dwoma mężami wyćwiczonymi w rzemiośle wojennym. Chodzi tu o życie lub śmierć. W naszych kręgach pojedynku nie uważa się za zabawę. Pańscy przeciwnicy to nie uczniowie szkoły realnej albo jakies drapichrusty z branży komiwojażerów. Może pan być pewnym, że żaden z nich nie zamierza pana oszczędzać.

— Wiem i o łaskę nie proszę.

Wobec damy oznajmili mu warunki swych klientów. Uśmiechnął się na to bez specjalnej troski.

— Widzę, że przeciwnicy czyhają na moje życie. Otwarcie jednak wyznam, że chciałem ich oszczędzić. Tylko skarcić, jak sobie na to zasłużyli. Jednak oni stawiają takie warunki, że musiałbym być samobójcą, gdybym potraktował ich inaczej. Porucznik Ravenow wyzwiał mnie na tureckie szpady, myśląc, że posługiwanie tą bronią jest mi obce. Moi panowie, jako mały chłopak ćwiczyłem się już w biciu na takie szable, moim nauczycielem był mistrz. Nie obawiam się Ravenowa.

Podąłem mu wybór, nie z chęci obrazy, tylko dlatego, że jest mi obojętne jaką broń wybierze. Znam je wszystkie. Przyjmuję warunki, ponieważ jednak nie jestem zabijaką, oświadczam panom, że jestem przeciw pojedynkowanemu się. Pan rotmistrz Palm, jako radca honorowy mógłby się tym zająć.

Na to adiutant ze złośliwym uśmiechem na twarzy odpowiedział:

— Panie poruczniku, o przeprosinach nie może być nawet mowy! Co zaś do pańskiej gotowości w tym celu, podobną propozycję muszę odrzucić, gdyż podejrzewano by pana o brak odwagi.

— Co oni myślą o mojej odwadze przed bitwą, jest mi zupełnie obojętne. Po rozstrzygnięciu okaże się dopiero, jak kogo należy oceniać. Dobrze, o czwartej stawię się na rzeczonym placu.

Teraz nastąpiły trudności. Mianowicie Różyczka oznajmiła, że również chce się tam znaleźć. Nie pomogły odradzania, Ravenow musiał przystać na to, bo zagroziła, że w innym wypadku wszędzie rozgłosi o przypadku, jaki miał miejsce na jej spacerze.

Bał u wielkiego księcia był nad wyraz udany. Potrawy i nastrój znakomity. Tylko dwie osoby miały ponury nastrój: pułkownik i Ravenow. Każdy z nich myślał o rezultacie pojedynku, gdyż doszli do wniosku, że z Robertem walka nie będzie łatwa. Pułkownik oprócz wyniku obawiał się jeszcze kary.

— Przekłęta historia! Czekam na awans, może po jesiennych manewrach zostałem generałem, a tu mnie, starego głupca porywa szlachecka duma i wszystkiego pozbawia. Jako więzień twierdzy z pewnością nie awansuję.

Po uczcie rozpoczęły się tańce. Różyczka unosiła się w ramionach Robeta i Platena. Tańczyła tylko z nimi i kilkoma wyższymi rangą oficerami, którym etykieta nakazywała czynić honory wobec dam wprowadzonych przez wielkiego księcia.

Po północy wielki książę opuścił gości. Książę Olsunna, także pojechał ze swą rodziną do domu, tak samo uczynili panowie, którzy mieli brać udział w pojedynku. Musieli się przygotować.

POJEDYNEK

Robert siedział w pokoju i czytał, gdy nagle rozległo się pukanie i weszła Różyczka gotowa do wyjazdu.

— Dzień dobry Robercie, spałeś?

— Nie.

— Czyżby obawa przed pojedynkiem?

— Wiesz dobrze, że nie. Mam na sercu talizman, który mnie obroni. Czy mi go potem odbierzesz?

— To będzie zależało od tego, czy będę z ciebie zadowolona. Ale chodźmy, już w pół do czwartej. Ach Robercie, a gdy kula naprawdę cię trafi? — spytała po chwili ze łzami w oczach.

— Nie bój się, moja piękna damo. Mam pewien środek, który kule unieszkodliwia. Mierzy się w wylot lufy pistoletu przeciwnika, strzela w tym samym momencie i wtedy kule odbijają się od siebie, padają w bok, w górę albo w dół.

Na końcu ulicy czekał na nich Platen w dwukonnym powozie. Jego służący zastępował woźnicę. Kiedy Robert podał mu rękę, ten przytrzymał ją przez chwilę i położył palec na pulsie. Robert roześmiał się.

— Hm, serce bije tak spokojnie, jakby pan siedział na sofie i czytał coś przyjemnego, poruczniku — rzekł sekundant.

Kiedy przybyli do browaru dochodziła czwarta. Dotarli do parku, powóz skręcił w bok i zatrzymał się na wolnym miejscu, otoczonym krzakami i drzewami.

Wkrótce przybyły inne powozy. Pozdrowiono się skinieniem głów. Służących ustawiono na straży, mieli usuwać wszelkie przeszkody. Lekarz wyciągnął swój kuferek z narzędziami.

Platen i Golzen zbadali teren, ocenili wiatr i światło słoneczne. Potem Golzen przystąpił do Platena i wyciągnął dwie tureckie szable.

— Idź drogi Robercie, Ravenow cię oczekuje — rzekła Różyczka.

— Będiesz mogła znieść widok krwi? — zapytał troskliwie.

— Tak, gdyż nie będzie to twoja krew.

Ravenow stał już przy jednej z szabli, które Golzen położył na ziemi. Robert podszedł do drugiej. Pułkownik z adiutantem zbliżyli się, chcąc dobrze widzieć całą walkę. Palm stał za nimi. Jako radca honorowy miał obowiązek spróbować pojednać obie zwaśnione strony. Zbliżył się do nich i zapytał:

— Pozwolą panowie, że powiem słowo?

— Ja tak — odpowiedział Helmer.

— Ale ja nie! — zawołał Ravenow. — Jestem śmiertelnie obrażony i oświadczam, że nie omieszkam zabić mojego przeciwnika. Wszelka próba pojednania jest daremna. Znane są moje warunki i nie zamierzam od nich odstąpić, ani na krok.

— Ja w takim razie nie mam nic więcej do powiedzenia. Byłem gotów wysłuchać pana rotmistrza. Proszę to zapamiętać.

— Kto przystaje na negocjacje jest tchórzem — rzekł Ravenow podnosząc z ziemi szablę. — Zaczynajmy już.

Robert podniósł szablę i przyglądał się jej.

— Prawdziwa damasceńska! — zauważył Palten.

Sekundanci wyciągnęli swoje szpady i stanęli obok swoich klientów. Ravenow ściągnął wojskową kurtkę i ze złością rzucił o ziemię.

— Dobrze — rzekł Robert również ściągając swoją. — Do tej pory cały czas była mowa tylko o mojej krwi, chciałem więc oznajmić wszem i wobec, że nie spadnie jej ani kropelka. Nie zabiję porucznika Ravenowa, uczynię go tylko niezdolnym do dalszej służby. Przy trzecim cięciu odetnę mu rękę. Panie doktorze, proszę przygotować bandażę.

— Nędzna gadanina! — zgrzytnął Ravenow. — Rotmistrzu, proszę już dać znak do walki! Obaj przeciwnicy stanęli oko w oko. Robert spokojny i poważny, drugi zaś z wargami zaciśniętymi i drżącymi. Chwila była poważna. Rotmistrz rzekł:

— Spełniłem swój obowiązek. Oznajmiam, że nie jestem winien temu co się stanie.

Z tymi słowami odstał i ręką dał hasło do rozpoczęcia walki.

Ravenow natarł z ogromną siłą, jakby chodziło o powalenie słonia. Robert jednak odparował cios lekko i z gracją, zupełnie jakby przed sobą miał studenta, który w ręce zamiast szabli trzyma kij. Z szybkością błyskawicy nastąpił jego mistrzowski cios z boku, który wytrącił z ręki Ravenowa szablę.

— Do pioruna, diabeł mu chyba pomaga! — zawołał Ravenow. — To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło i więcej nie zdarzy.

Sekundanci skrzyżowali szpady między przeciwnikami, aby Robert nie natarł na bezbronnego w tej chwili Ravenowa. Lekarz przyniósł szablę i oddał ją właścicielowi, który od razu natarł.

— Dalej chłopcze, teraz gramy! — krzyknął.

Jego broń przeszła powietrze. Od strony drzewa dał się słyszeć trwożny krzyk Różyczki. Zdawało się jej, że w tej chwili jej Robert padnie na ziemię z rozplataną głową. On jednak ponownie odparował cios — nikt nie widział nawet jak to się stało — w sekundę potem szabla Ravenowa znowu wyleciała mu z ręki.

— Moje drugie cięcie! — zabrzmiał obojętny i pewny głos.

— Do stu tysięcy diabłów! — krzyknął Ravenow schyliwszy się po broń. — Jestem gotów, tutaj chodzi o życie!

Natarł ponownie.

— Chodzi tylko o rękę! — odpowiedział Robert.

Błysnęły dwie ciężkie klingi. Ostry dźwięk i głośny krzyk rozległ się dokoła. To Ravenow! Jego szabla wysokim łukiem poszybowała w powietrze, a wszyscy z przerażeniem spostrzegli, że na rękojeści spoczywa prawa dłoń.

— Moje trzecie cięcie! — zawołał Robert i opuścił szablę. — Panie doktorze, proszę ocenić, czy któryś z nas stał się niezdolny do dalszej służby wojskowej, to był bowiem warunek pana Ravenowa.

A ten stał osłupiały. Z odciętej dłoni tryskał strumień krwi. Po chwili Ravenow zachwiał się, bardziej z przerażenia niż od rany. Jego sekundant musiał go podtrzymać. Zraniony nie wyrzekł ani słowa. Pozwolił się położyć na trawie, zamknął oczy w okrutnej świadomości, że właśnie skończyła się jego wojskowa kariera.

— Doktorze jak tam? — spytał Robert.

— Dłoń została odcięta. Warunek został spełniony. Porucznik Ravenow musi odejść ze służby.

— W takim razie dotrzymałem słowa i mogę odejść.

— Ja również — zauważył Platen, a zwracając się do Roberta rzekł nieco ciszej: — Na Boga, co z pana za człowiek! Stoisz jak opoka, a bijesz się jak szatan! Ravenowa do tej pory nikt nie pobił. Przy jego drugim natarciu myślałem, że już po panu, a tu taka niespodzianka. Ten pojedynek narobił wiele hałasu.

— Tak mi się zdaje.

— Nie muszę się więc o pana troszczyć, ale proszę mi darować, powinienem zaglądnąć do Ravenowa.

— Oczywiście, ja zaś muszę się zająć moją damą. Zbliżył się do Różyczki, która wyciągnęła do niego rękę.

— O jaki ty jesteś silny, wspaniały! — zawołała. — Godny uczeń mego ojca! Jesteś prawdziwym bohaterem. Wiedziałam o tym, mimo to w pewnym momencie ogarnęła mnie trwoga i krzyknęłam. Słyszałeś? Zdawało mi się, że zostaniesz przecięty na pół.

— Kochana Różyczko, rzeczywiście znalazłem się w niebezpieczeństwie, ale nie z powodu przewagi Ravenowa, tylko twego krzyku. Gdybym tylko odwrócił wzrok, byłbym zgubiony. W takiej walce najmniejszy dźwięk może wszystko popsuć.

— O Boże, nie wiedziałam — zawołała przerażona dziewczyna.

— Uspokój się kochanie, mnie nie przeszkadzają nawet strzały armatnie. Twój krzyk przyniósł mi raczej zwycięstwo, gdyż to właśnie Ravenow mimo woli odwrócił się na moment w tę stronę, dlatego mój cios przyszedł mi łatwiej.

— Mimo tego, nigdy więcej nie będę krzyczała.

Tymczasem lekarz zajął się rannym Ravenowem. Słychać było zgrzyt zębów, nie wiadomo czy z bólu, czy z wściekłości. Oczy miał otwarte i okiem pełnym nienawiści spoznał na Roberta.

Wtedy zbliżył się do niego Platen i przyniósł szablę, która upadała w pobliżu jego powozu. Oręż przedstawiał straszliwy widok; odcięta dłoń nadal trzymała go w uścisku. Musiano pojedynczo otwierać każdy palec, aby oddzielić dłoń od szabli. Ten widok wrócił rannemu mowę.

— Kaleka! — jęknął. — Nędzny kaleka! Pułkowniku, jeżeli mnie nie pomścisz, to wszystkie dzieci będą cię pokazywały palcami! Obiecuj mi pan, że go zastrzelisz.

— Obiecuję! — odpowiedział przerażony widokiem swego ulubieńca.

— Daje mi pan słowo honoru?

— Naturalnie.

— Dobrze, to mi dodaje sił. Doktorze, ja ten pojedynek muszę widzieć, proszę się nie sprzeciwiać.

— Wobec takiej rany, wszelkie wzruszenie jest niewskazane, mimo to zezwolę na pozostanie. Pan Golzen będzie pana podtrzymywał, chociaż właściwie powinien pan pojechać do domu.

— O nie! To mogłoby mnie zabić. Muszę tego człowieka widzieć przeszytego kulą pułkownika. Wtedy zapomnę o swojej ręce i pogodzę się ze swym kalectwem... Nie dajcie mi dłużej czekać, zaczynajcie!

Branden i Platen ponownie zajęli się swymi obowiązkami. Odmierzono odległość, potem adiutant przyniósł skrzynkę z pistoletami pułkownika.

Skoro Robert to spostrzegł zbliżył się do oficerów. Wziął jeden z pistoletów, oglądając go z miną znawcy i rzekł:

— Bardzo dobry, ale ja nie znam tej broni i mam nadzieję, że panowie pozwolą mi oddać strzał próbny?

— Proszę strzelać — odparł sekundant pułkownika.

Po twarzy Ravenowa przymknął szydery uśmiech, dobry strzelec nie potrzebuje strzału próbnego.

— W tę szyszkę, tam — powiedział Robert.

Mierzył długo, aby być pewnym strzału, a kiedy wystrzelił kilka osób wydało pomruk lekceważenia. Nie trafił w szyszkę, tylko w gałąź o całe pół metra dalej.

— Dzięki Bogu, on jest kiepskim strzelcem — pomyślał pułkownik.

To samo pomyśleli inni, a Platen odprowadzając Roberta na bok zauważył z ogromną troską w głosie:

— Ależ na Boga, drogi przyjacielu, jeżeli nie włada pan pistoletem lepiej, to jesteś zgubiony! Pułkownik dał Ravenowi słowo, że zastrzeli pana.

— Niech spróbuje. Na razie mogę zaświadczyć, że te pistolety są rzeczywiście znakomite.

— Jak to? Pan jeszcze żartuje? Mimo dobrego pistoletu nie trafił pan do celu.

— Przeciwnie, trafiłem. O szyszce mówiłem tylko dla zmylenia przeciwnika, w rzeczywistości miałem na myśli punkt, w który trafiłem.

— No cóż, w takiej sytuacji muszę przyznać, że jest pan strasznym przeciwnikiem — zawołał Platen. — W żaden sposób nie chciałbym się z panem bić. Ale teraz trzeba nabić pistolety.

Obaj sekundanci z ogromną sumiennością wykonali swój obowiązek, potem nakryli pistolety chustą, a każdy z przeciwników wyciągnął broń dla siebie. Oddalili się na swoje miejsca, a rotmistrz powiedział:

— Moi panowie, poczuwam się do obowiązku...

— Cicho kolego! — zawołał pułkownik. — Nie chcę słyszeć ani słowa.

Widział, jak Robert źle strzelił i był przekonany, że bez trudu go pokona.

— Ale ja chcę mówić — zauważył Robert. — Nie należy się mordować, jeśli istnieje droga ugody. Oznajmiam, że w zupełności zadowolę się, jeśli pan pułkownik mnie przeprosi.

— Przeproszę? — zawołał pułkownik. — Tak może mówić tylko obłąkany. Trzymam się naszych warunków, a do tego dałem słowo, że jeden z nas zginie.

— To wystarczy, aby do pańskiego słowa dodać moje. Który z nas dwóch nie dotrzyma swego słowa jest szubrawcem. Pan daje słowo na to, że jeden z nas musi polec, a według pana mam być nim ja. Ja zaś daję panu słowo, że jeden z nas ukończy ten pojedynek, jako niezdolny do dalszej służby wojskowej i będzie to naturalnie pan. Oznajmiam, że dwa pierwsze strzały nie będą celne, a przy trzecim moja kula całkowicie roztrzaska pańską prawicę. Zaczynamy więc!

— Tak, zaczynamy! — rozkazał pułkownik z pogardliwym uśmiechem. — Nie będziemy grali komedii.

Obaj przeciwnicy podnieśli broń. Pułkownik mierzył w pierś Roberta, a ten w lufę pistoletu pułkownika. Rotmistrz zaczął pomału liczyć.

— Raz... dwa... trzy!

Na „trzy” huknęły oba strzały... żadna kula nie trafiła.

— Pierwszy strzał! — rzekł obojętnie Robert, oddając Platenowi pistolet do nabicia.

Po dwóch minutach ponownie.

— Raz... dwa... trzy!

Błysnęło z obu luf... i znowu strzały były chybione.

— Drugi strzał! — liczył Robert.

Pułkownik wzruszył gniewnie ramionami.

— To przeklęty przypadek! — zawołał. — Ale za trzecim razem już nie chybię... teraz chodzi o życie!

— Tylko o rękę, pułkowniku! — dodał Robert.

Z tymi słowami Robert podniósł pistolet. Pułkownik mierzył dokładnie, był zdenerwowany. Czy ten Helmer znał jakieś czary? Liczy wystrzały z taką samą zimną krwią, jak przedtem cięcia.

Te myśli pozbawiły pułkownika pewności. Robert tym razem nie mierzył w otwór jego pistoletu, tylko w rękę trzymającą broń. Zwrócił głowę w stronę rotmistrza, co było dowodem, że teraz bardziej uważał na komendę, niż przedtem. Rotmistrz zaczął liczyć.

— Raz... dwa... trzy! Huknęły strzały.

— O Chryste! — zawołał pułkownik i zrobił parę kroków w tył.

— Trzeci strzał! — liczył Robert z niezmiennym obliczem. Pistolet pułkownika upadł na ziemię, zaś on sam złapał się zdrową ręką za tę skaleczoną.

— Czy został pan trafiony? — zapytał jego sekundant. Lekarz podbiegł zbadać ranę. Pokiwał głową i spojrzął z pewnym przerażeniem na Roberta, który stał nieruchomo.

— Roztrzaskana, zupełnie roztrzaskana — oznajmił lekarz, rozcinając nożycami rękaw aż do łokcia. — Kula przeszła przez rękę, wtargnęła w przedramię, pogruchotała kości i wyleciała tutaj. Gdzieś tutaj niedaleko musi leżeć!

— Czy tę rękę można uratować? — spytał pułkownik z trwogą.

— Niestety nie! Musimy ją amputować.

— Czyli, że pułkownik nie jest zdolny do dalszej służby? — zapytał Robert.

— Absolutnie! — odpowiedział lekarz, który przed Helmerem odczuwał jakiś niewytłumaczony strach.

— W takim razie mogę opuścić moje stanowisko. Panowie przyznają, że dotrzymałem słowa.

Rzucił pistolet na ziemię i odszedł. Różyczka czekała na niego z płonącymi oczami. W tym spojrzeniu leżała ogromna duma.

— Znowu zwyciężyłeś! Wiedziałam, że żaden z nich cię nie pokona. Chodźmy stąd!

— — Musimy poczekać na Platena, Różyczko! Powiem ci szczerze, iż dopiero teraz mogę swobodnie odetchnąć. Pomimo, że zawsze jestem pewien swego strzału, to aby się wszystko powiodło wiele zależy od przeciwnika. Gdyby tylko trochę drgnął, to kula nie ma możliwości trafienia w lufę jego pistoletu, ale upewniłem pułkownika w przekonaniu, że jestem kiepskim strzelcem i dlatego stał spokojnie. Ale chodźmy, nadjeżdża już powóz Platena.

Przez pewien czas Platen asystował lekarzowi, przy opatrywaniu ran pułkownika, który krzyczał ze złością:

— Ja także zostałem kaleką. Słyszysz mnie Ravenow?

— Czy słyszę? Ja to nawet widzę. Zdaje mi się, że ten człek zawarł pakt z diabłem, ale niebawem to się skończy.

— Mylisz się — powiedział Platen. — To wszystko jest wynikiem długoletnich ćwiczeń. Wreszcie to nie on was obraził. Chciałem pośredniczyć w ugodzie, odrzuciliście moją propozycję, więc teraz powiem to samo co pan rotmistrz, umyвам ręce i... *adieu!*

Odszedł nie czekając na dalsze uwagi!

— Jestem zdziwiony tym talentem oratorskim Platena — rzekł Ravenow. — Gdybym nie był ranny, wyzwałbym go i na pewno miałby okazję ujrzeć koniec mojej klingi.

— Gdy lew jest ranny to szakale szczekają — dodał pułkownik. — Ale ja z nim jeszcze nie skończyłem! Au... doktorze! Co tam pan dajesz? Myślisz, że masz przed sobą jakąś kalekę?

— Musi pan wytrzymać pułkownik, jeszcze tylko chwilę.

— Że też właśnie prawa — stęknął gniewnie Ravenow. — Ale będę ćwiczył lewą i skoro dojdę do wprawy, wyzwę go.

— Poruczniku, proszę zachować spokój — prosił lekarz. — Panie Golzen, proszę zaprowadzić przyjaciela do powozu, niech jedzie do domu. Za godzinę przyjadę do niego.

— Zgoda! — rzekł Ravenow — I tak nie mam tu nic do roboty — a z szyderczym uśmiechem dodał: — Panie pułkowniku, jestem chory, czy mogę prosić o urlop?

— Idź pan, znajduję się w takim samym położeniu i ciekaw jestem jak ci na górze będą na tę słabość patrzeć. Prędzej doktorze, prędzej!

Niedługo potem powozy pojechały w stronę miasta. W parku zapanowała cisza.

Różyczka odprowadziła Roberta aż do jego pokoju i weszła do środka, aby się pożegnać.

— Co będziesz dziś robił Robercie? — spytała.

— Normalnie, to powinienem powiadomić pułkownika o tym co się wydarzyło, ale on przecież sam brał w tym udział, więc muszę się zastanowić. Na razie dziękuję Bogu, że wyszedłem cało. A wiesz kto się mną opiekował w czasie walki?

— Kto?

— Ty. Miałem bowiem przy sobie talizman od ciebie.

— Moją wstążkę. Byłeś dzielnym rycerzem i zacie broniłeś honoru swej damy.

— Ale co będzie z talizmanem? Wykupisz go ode mnie?

— Hm, zastanowię się. O takich ważnych sprawach nie można decydować pochopnie.

— Jesteś niedobra. Nie dotrzymujesz słowa! Rozstrzygnięcie miało zależeć od wyniku walki!

— Możliwe, że tak powiedziałam. Ale czy to takie pilne? — Naturalnie! Muszę wiedzieć, czy wykupisz talizman czy nie. Stała przed nim śliczna jak wiosenny kwiatek, otoczona przez

poranne promienie słońca. Oczy jej błyszczały cudownie, policzki się zarumieniły, a pierś zaczęła falować.

— Kochany Robercie wiesz, że jestem z ciebie zadowolona. Zachowałeś się jak prawdziwy bohater. Mogłeś ich obu zabić, nie uczyniłeś tego. Broniąc mojej czci narażałeś swoje życie, dlatego wykupię talizman.

— Całusem? — zapytał i zarumienił się jak ona.

— Tak, bo tobie na tym zależy.

Wtedy dał jej wstążkę.

— Oto twój talizman.

— A to twój całus.

Położyła ręce na jego ramionach i zbliżyła swoje pełne usta do jego i lekko musnęła, tak delikatnie, jak dziecko całuje lalkę.

— To ma być pocałunek? — zapytał trochę rozczarowany.

Nie zdążył jej nawet przytulić, wszystko odbyło się zbyt szybko.

— Ja tak sądzę. A może było to coś innego?

— To był pocałunek, ale taki, jak się daje starej ciotce, która ma brzydki nos a na nim brodawkę.

— Skoro tak dobrze o tym wiesz, to chyba całowałeś dużo starych ciotek.

— O nie, ciotek nie całuje się tak chętnie, jak młode, piękne Różyczki.

— Tego nie powinieneś być mówić! Muszę cię za to ukarać, masz swój talizman, zabieraj go!

Szybko wziął wstążkę, położył za sobą na stole i rzekł bardzo poważnie:

— Ale to nie może odbyć się tak prędko, chodzi mi o zwrot talizmanu. W takich ważnych sprawach powinno się działać rozważnie i sprawiedliwie. Jeśli ty mi oddajesz talizman, ja muszę ci oddać całusa, który mi dałaś.

Patrzył w jej oczy, na jej płonące policzki i falującą pierś. Zdawało się, że drżą jej kolana. Nagle przed oczami, czerwień, różę... i nie widziała już nic więcej. Przymknęła oczy nawet o tym nie wiedząc. Poczwała tylko, że jedno ramię otacza jej kibić a drugie mocniej przyciska. Zdawało się, że coś unosi ją w powietrzu, jakby miała skrzydła. Dookoła niej tańczyły gwiazdy.

Tak marzyła, a jej głowa leżała na mocno bijącym sercu Roberta. Nagle dwa palce podniosły jej główkę do góry i usłyszała dobrze znany głos, chociaż dotąd nigdy nie był tak miły, tak wzruszający i błagalny.

— Różyczko, otwórz swe piękne oczęta!

Nie mogła odpowiedzieć, wzruszenie odjęło jej głos.

— Rozito, choć raz na mnie spojrz!

— Nie! — wyrzekła ledwie słyszalnym głosem.

— Dlaczego nie?

— Nie mogę.

— Ale dlaczego?

— Bo się bardzo, bardzo boję.

— Kogo? Mnie? A może ty jesteś na mnie zła, kochanie?

— O nie, Robercie.

— Jeżeli tak, to ja ci te oczka wyleczę i będziesz je musiała otworzyć.

Poczwała jego wargi, najpierw na prawym, potem na lewym oku. Po chwili pocałował jej dołeczki. Owładnęło ją dziwne uczucie i musiała otworzyć oczy, choćby na krótką chwilę, jednak one przymknęły się z powrotem oślepione spojrzeniem, które padało na nią z góry, jak jasny promień światła. Przeleżała się. Drgnęła... ich usta spotkały się, z początku leciutko, bardzo leciutko, a potem mocniej... czyżby to był pocałunek? Nie. To był straszny rabunek, zabierano jej duszę! Czwała swe serce przy jego, jego usta ciągle na swoich. Nie wiedziała czy się bronić, ale nie... jako pojmana nie mogła tego robić, a także nie bardzo chciała.

— Gniewasz się na mnie, Różyczko? Musiała mu odpowiedzieć, musiała.

— Nie, mój miły, drogi Robercie.

Ponownie ją całował, nie liczyła nawet ile razy, dopóki nie usłyszeli na podwórzu kroków stróża, który rozpoczął swe obowiązki.

Dopiero teraz otworzyła oczy, bo Robert puścił ją z objęć. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Nie mogła go poznać. Ujął ją za ręce i patrząc w oczy rzekł z czarującym uśmiechem:

— Widzisz moja Różyczko, to był pocałunek.

A potem oboje śmiali się z cioci, jej nosa i brodawki. Zapomnieli o pojedynku. Robert zapomniał, że jest synem sternika, a ona wnuczką księcia. Wszystkiemu winien był jeden długi pocałunek.

— A teraz idę — rzekła tonem usprawiedliwienia.

— Jaka szkoda! — zawołał, jakby miał do niej ogromne prawo. Musiała go za to ukarać. Wyrwała ręce z jego dłoni i uciekła w stronę drzwi, ale człowiek jest zawsze mało konsekwentny. Po chwili wróciła i podała mu je mówiąc:

— Ja naprawdę muszę odejść. Prawda Robercie? Przecież musisz mi przyznać rację.

Wprawdzie zrobił minę, jakby wcale nie miał na to ochoty, jednak jako jej rycerz musiał się zgodzić.

— Tak Różyczko, zdaje mi się, że muszę przyznać ci rację.

— A widzisz, wyśpij się! Dobrej nocy!

— Dobrej nocy, Różyczko!

Przed drzwiami dodała tajemniczy tonem, jakby chodziło o coś niezwykle interesującego.

— Właściwie powinniśmy powiedzieć sobie „dzień dobry” — i wyszła.

— O jak ja ją kocham, jak bardzo kocham! — mówił do siebie kiedy wyszła.

Różyczka, gdy tylko weszła do swego pokoju położyła ręce na piersi i też mówiła cicho pod nosem:

— Co to było? Co ja uczyniłam? O mój Boże o tym nie śmiem powiedzieć mamie, nie, nie potrafię.

W czasie tych rozmyślań do pokoju weszła jej garderobiana.

— To panienska wcale nie spała?

— Nie, przynieś mi czekoladę, potem pomożesz mi się ubrać. Powiedz woźnicy, aby zaprzęgał, muszę wyjechać.

Robert spał i nie słyszał jak powóz z Różyczką pomknął wprost do ministra wojny.

Ekscelencja nie był jeszcze ubrany, musiała więc czekać. Kiedy dowiedział się, że panna Sternau chce z nim mówić, spieszył się bardzo i już po dziesięciu minutach stanął przed Różyczką.

Służący stojący w przedpokoju słyszał, że młoda dama opowiadała dużo i żywo, potem nastąpiła ożywiona rozmowa, a w końcu panna Sternau wyszła z rozjaśnionym obliczem, na którym widać było zadowolenie z dobrze wypełnionego zadania. Ekscelencja odprowadził ją aż do powozu i zaraz wydał rozkaz sprowadzenia porucznika Platena, z gwardii huzarów.

Kiedy Różyczka wróciła do domu, wszyscy zeszli już na śniadanie i bardzo zdziwili się, widząc wysiadającą ją z powozu. Kiedy na dodatek opowiedziała o swojej wizycie u ministra wojny, zarzucono ją pytaniami, musiała więc o wszystkim opowiedzieć.

Tymczasem porucznik Platen otrzymał rozkaz, który po prostu go przeraził. Miał się natychmiast stawić u ministra wojny. Szybko udał się do domu, by założyć galowy mundur. Doskonale wiedział, że wezwany został ze względu na poranny pojedynek, ale skąd minister mógł o tym wiedzieć?

Wszedł do przedpokoju, gdzie oczekiwał go służący.

— Pan porucznik, Platen? — spytał.

— Tak jest.

— Ekscelencja jest jeszcze zajęty. Proszę wejść tymczasem tutaj! Poprowadził go przez wiele drzwi, aż do damskiego pokoju. Platen aż zeszywniał, gdyż w pokoju siedziała żona ministra z książką w ręce. Na jego widok, podniosła się nieco, skinęła życzliwie głową i rzekła:

— Proszę bliżej panie poruczniku! Mój mąż ma jeszcze pewne drobnostki do załatwienia, dlatego też kazałam zaprosić pana do siebie, by dowiedzieć się z pierwszej ręki o bardzo interesującym wydarzeniu, którego — jak mi powiedziano — był pan świadkiem.

Skłonił się z wielkim szacunkiem i usiadł na fotelu, oczekując na dalsze pytania. Drzwi bocznego pokoju były nieco uchylone i padał z nich ludzki cień. Porucznik zrozumiał o co chodzi. Minister dowiedział się o pojedynku, a ponieważ miał powody, aby sprawa nie nabrała drogi służbowej, dlatego Platen miał najpierw o wszystkim opowiedzieć jego żonie.

— Mówią, że pan bardzo dobrze zna porucznika Helmera? — zaczęła egzaminować dama.

— Mam zaszczyt być jego przyjacielem.

— Czyli, że dobrze zostałam poinformowana. Proszę opowiedzieć mi całą rzecz bez żadnych ogródek. Czy ten porucznik pojedynkował się dziś rano?

— Tak jest.

— Z kim?

— Ze swoim pułkownikiem i porucznikiem Ravenowem, z jego szwadronu.

— I jaki jest wynik tej niewiarygodnej afery?

— Helmer odciął Ravenowi rękę, a panu pułkownikowi przestrzelił, obu zresztą prawe. Doprowadził do tego, że obaj nie są już zdolni do dalszej służby wojskowej.

— Mój Boże, co za nieszczęście! Obu prawe ręce! Pewnie wypadek?

— Niestety, to nie był wypadek, to było jego zamiarem.

— Taaak? To straszne! Proszę mi opowiedzieć o tym dokładnie. Platen opowiedział żonie ministra o sprzysiężeniu przeciw Helmerowi, od samego początku. Kiedy skończył dama zawołała tonem ogromnego zainteresowania:

— Dziękuję panu. Pański przyjaciel jest nadzwyczajnym człowiekiem. Wedle tego, co tutaj usłyszałam od pana, można się po nim spodziewać wielkich rzeczy. Wie pan, co zamierza może uczynić, by uniknąć skutków kary za pojedynek?

— Jestem przekonany, że stawia się przed władzą!

— Zdaje się, że bardzo mu pan ufa.

— Są ludzie, którzy szturmem zdobywają nasze zaufanie i nigdy nas nie zawodzą. Helmer do nich należy.

— Mimo to, cała sprawa jest fatalna. Nie można o niej mówić i proszę, by nikomu nie wspominał pan, o czym tutaj rozmawialiśmy.

Platen spostrzegł, że cień zza drzwi zniknął. Dama pożegnała się z nim z miłym uśmiechem, on zaś skłonił się z należyty szacunkiem. Zaledwie zamknął drzwi, służący poprosił go do gabinetu ekscelencji.

Wszedł i zastał ministra zajętego czytaniem urzędowych akt. Gdy ujrzał porucznika, odłożył na bok papiery, uprzejmie skinął głową, uważnie przyglądając się postaci eleganckiego oficera, a potem powiedział:

— Zawezwałam pana, aby mu dać niezwyczajne polecenie, panie Platen... Słyszałem, że dzisiaj rano brał pan udział w małym polowanku?

Platen natychmiast odgadł o co chodzi. Minister chciał zmienić pojedynki w polowanie, na którym przypadkowo zostało rannych dwóch oficerów.

— Do usług, ekscelencjo!

— Dowiaduję się niestety, że polowanie to skończyło się nieszczęśliwie, bowiem dwóch panów, nie zważało na to, że z bronią należy się obchodzić w sposób szczególnie ostrożny. Podobno zostali ranni?

— Niestety ekscelencjo!

— Ciężko?

— Ich życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, jak powiedział lekarz, jednak będą musieli wystąpić ze służby.

— Ciężka strata. Ale muszę zauważyć, że panowie ci, sami są sobie winni. Czy sprawa ta znana jest w szerszych kręgach?

— Nie sędzę.

— W takim razie życzę sobie, aby o niej milczano. Natychmiast uda się pan do owych panów i kategorycznie im to nakazesz. Obaj ranni nie mogą wychodzić ze swych domów, chodzi o to, aby w takim stanie nikt ich nie widział. Dlatego też nakazuję im, aby nie przyjmowali gości. Mają się tak zachowywać, jakby mieli areszt domowy. Mam się widzieć z jego królewską mością i przedstawię mu całą sprawę. Punktualnie o godzinie jedenastej zgłosi się pan do mnie, aby dowiedzieć się o dalszych konsekwencjach wydarzenia.

Lekkie skinienie ręki i porucznik wyszedł. Udał się najpierw do pułkownika. Postanowił, że z nim i Ravenowm nie będzie postępował zbyt uprzejmie.

Zastał pułkownika leżącego w łóżku i otoczonego gronem rodzinnym. Pani domu podeszła do niego z twarzą zaczerwienioną od gniewu i zawołała:

— Poruczniku Platen, mam panu powiedzieć...

— Proszę, — przerwał krótko — tak zwyczajnie „poruczniku Platen” mówią do mnie moi koledzy i przyjaciele.

Zamilkła na chwilę, lecz potem kontynuowała podniesionym głosem:

— Aha, mój najwielmożniejszy panie poruczniku von Platen, mam panu powiedzieć, że to czysta hańba, by mego męża w ten sposób potraktować.

Platen spodziewał się, że pułkownik skarci ten nagły i niesmaczny atak, skoro jednak się to nie stało, odpowiedział:

— Jeśli mowa o hańbie, to w tym przypadku panu pułkownikowi na pewno jej nie wyrządzono. Wybaczam pani to określenie, gdyż jest pani kobietą, a na dodatek, jako żona nie możesz zachować bezstronności.

— O, ja doskonale wiem, co mam mówić. Jeszcze dzisiaj przed południem udam się do generała i zażądam, aby powołano do odpowiedzialności człowieka, który obraża i kaleczy swoich przełożonych.

— Jestem w stanie zaoszczędzić pani trudu, gdyż przychodzę z poleceniem od pana ministra wojny.

— Co?

Ranny pułkownik z przerażeniem podniósł głowę, a na twarzach jego dzieci również pojawiła się trwoga.

— Przynoszę panu rozkaz, by nikt nie odważył się nadal mówić o tym zajściu. Nie wolno panu opuszczać mieszkania, ani też przyjmować odwiedzin.

— Czyli, że jestem więźniem?

— Tak postanowił ekscelencja. Zresztą ziściło się to co przypuszczałem. Ze względu na mego przyjaciela Helmera, jego ekscelencja uważa, że został pan przypadkowo zraniony na polowaniu. Należy się więc spodziewać, że wpływy tak pogardzanego przez pana przeciwnika, uchronią pana od twierdzy. *Adieu*, panie pułkowniku!

Po ceremonialnym ukłonie wyszedł, nie troszcząc się wcale o to, jakie wrażenie pozostawiły jego słowa.

Ravenow przyjął polecenie gniewnym milczeniem.

SPADEK

Zawiadomiwszy obu sekundantów, sędziego polubownego i lekarza, Platen udał się do Helmera. Ponieważ Robert spał jeszcze został przyjęty przez samego księcia Ołsunę, który kazał zbudzić śpiocha. Wiadomość, że minister wojny wie już o wszystkim, a także o tym co do tej pory postanowił, wywołała niemałe zaskoczenie. Platen dowiedział się o porannej wizycie Różyczki i obiecał wrócić do pałacu księcia, gdy tylko otrzyma następne rozkazy.

W salonie, gdzie zebrali się wszyscy domownicy, Robert podszedł do Różyczki z wdzięcznym uśmiechem na twarzy.

— Już za mnie działałaś. A wiesz o tym, na co się odważyłaś?

Uśmiechnęła się czarująco.

— Musiałam działać, bo ty spałeś. Czy odważyłam się na coś wielkiego, tego nie jestem pewna. Rozstrzygnięcie sprawy przez ministra świadczy o czymś zupełnie przeciwnym.

Zarówno Robert, jak i Różyczka musieli wysłuchać całą masę uprzejmych wyrzutów.

— Ona jest prawdziwym dzieckiem swego ojca! — zauważył książę z tajoną dumą, że mowa tu o jego synu.

— I naprawdę nie ma pan żadnej informacji o doktorze Sternale? — zapytał nagle Anglik.

— Niestety, żadnej. To co opowiedział pan nam wczoraj jest ostatnią o nim wiadomością...

Lord opowiedział, to co sam usłyszał od starego hacjendero.

— A czy otrzymał pan przesyłkę? — zapytała Amy Roberta.

— Jaką przesyłkę? Dla mnie? Nie, nie otrzymałem żadnej.

— Ale to pan jest synem sternika Helmera? — zapytał lord.

— Tak.

— Wczoraj wieczorem, a prawda, pana przecież przy tym nie było, opowiadałem o przygodzie pańskiego stryja w jaskini królewskiej. Otrzymał on od wodza Misteków, Bawolego Czola część skarbu, część ta przedstawia jednak wielki majątek. Postanowiono połowę wysłać do ojczyzny, aby w ten sposób miał pan środki na naukę. W Meksyku nic nie wiadano, że tutaj ma pan hojnych opiekunów. Po zniknięciu Sternaua, do Meksyku przybył hacjendero Pedro Arbellez i wszystkie drogocенności oddał sędziemu Benitowi Juarezowi, który swymi drogami wysłał je do Europy.

— Nic nie otrzymałem. Przesyłka widocznie musiała zaginać, albo podano fałszywy adres.

— Hacjendero nie znał pańskiego adresu, wiedział tylko, że można pana znaleźć w małym zameczku, gdzieś koło Moguncji, a pańskim ojcem jest sternik Helmer. Mieszka pan u nijakiego kapitana Rodensteina. Dlatego przesyłka miała być zaadresowana na dom bankowy w Moguncji i jego właściciel miał pana odszukać.

— Gdyby przesyłka dotarła, to na pewno by mnie odszukał.

— Sędzia Juarez zabezpieczył ją.

— W takim razie musimy się dowiedzieć, który dom bankowy mógł to być?

— Słyszałem, jak hacjendero wymieniał nazwę, ale w wyniku późniejszych wypadków, wyleciało mi to z głowy. W nocy zostałem porwany wraz z córką przez Panterę Południa i przetransportowany na południe Meksyku. Tam byliśmy uwięzieni, dopóki wpływy Juareza nie umocniły się na tyle, że dotarli i w południowe okolice. Dopiero przed ośmioma miesiącami odzyskałem wolność. Proszę mi wybaczyć, że zapomniałem nazwy, która dla pana ma taką wartość.

— O milordzie, jestem panu wdzięczny, że w ogóle coś się dowiedziałem na ten temat. Jakie to były kosztowności?

— Chociaż ich nie widziałem, wiem, że składały się z klejnotów: łańcuszków, naramienników, pierścieni, przedmiotów pochodzących z dawnego Meksyku i stanowiących przede wszystkim ogromną wartość.

— Aha! — zadumał się Robert.

Na ręce swego przyjaciela, Platena widział pierścień, którego kształt był bardzo interesujący. Sęczek przedstawiał dziwne, złote słońce, a środek składał się z mozaiki: ze szmaragdów i rubinów. Robota była meksykańska i naprawdę stara.

— Zdaje się, że widziałem u jednego z moich znajomych pierścień, który na pewno należy do sztuki meksykańskiej. To jednak teraz nie jest najważniejsze. Gdybym otrzymał moją własność posiadałbym jakiś majątek. Myśl ta ma w sobie coś nadzwyczajnego. Nie chodzi o to, że jestem zachłanny, mimo to jednak rozpocznę poszukiwania. Jestem do tego zobowiązany, choćby dlatego, że jest to spadek po moim ojcu i stryju.

Tymczasem Platen był już u ministra. Ten stał za stołem, na którym leżało kilka zapieczętowanych pism i rzekł:

— Jest pan punktualny poruczniku, to mi się podoba, gdyż wiem, że panowie z pańskiego regimentu właśnie spotykają się na drugim śniadaniu. Bierze pan w tym udział?

— Najczęściej, tak ekscelencjo.

— Dobrze. Polowanie, o którym mówiliśmy dzisiaj, rozpoczęło się w kasynie, niech tam ma więc swój koniec. Uda się pan do pułkownika piechoty, Marfelda i odda mu te dokumenty. On je rozpieczętuje w kasynie i odczyta, i to w obecności pańskiego przyjaciela Helmera, którego pan o tym zawiadomi. To wszystko. Pańskie zachowanie w całej tej aferze przysparza mu tylko splendoru. *Adieu!*

Platen wyszedł z rozradowanym sercem. Otwarta pochwała takiego człowieka była rzadkością. Dorozką pojechał do Roberta, a stamtąd do pułkownika Marfelda.

Roberta ciekawość popychała do kasyna. Kiedy tam przyszedł Platena jeszcze nie było; ale nie było też wolnego miejsca. Przyjęcie u wielkiego księcia było tematem zainteresowania.

Brakowało tylko pułkownika i Ravenowa. Przeczuwano dlaczego, ale nikt nie pytał, chociaż sędzia polubowny i obaj sekundanci byli obecni i mogli zaspokoić ich ciekawość.

Gdy Robert wszedł, wśród obecnych zapanowało pewne zakłopotanie. Widziano, jak został odznaczony, a mimo tego nie chciano mu wybaczyć jego śmiałości. Na pozdrowienie odpowiadał sposobem, którego nie można było nazwać ani grzecznym ani ubliżającym. Usiadł, zamówił lampkę wina i zaczął czytać gazetę.

Po jakimś czasie przyszedł Platen i zajął miejsce obok niego.

— Pułkownik przyjdzie?

— Naturalnie — odpowiedział Platen. — Bardzo był zdziwiony rozkazem, który mu przyniosłem. Wyobrażam sobie, co się tutaj stanie.

— To nie jest trudne. Pułkownik Marszeft obejmie nasz pułk. Ponieważ sam należy do piechoty, to jest to dla niego wielkie wyróżnienie, a dla korpusu oficerskiego kara.

— A co zawierała reszta pism?

— Poczekamy, to się dowiemy.

Niebawem nadszedł pułkownik. Oczy wszystkich obecnych skierowały się na wchodzącego. Pułkownik, i to z piechoty? Co on ma tu doszukania? Dlaczego przybywa w świątecznym mundurze, z orderem na piersi?

Wszyscy wstali, by oddać honory starszemu rangą. Podpułkownik i majorzy podeszli do niego, uściskały ich ręce i rzekł:

— Dziękuję za powitanie, panowie! Sprowadza mnie do was sprawa służbowa, nie zaś chęć udziału w waszym śniadaniu. Jego ekscelencja, pan minister wojny przysłał mi przez porucznika Platena rozkaz, bym tutaj, przy was otworzył tę kopertę i przeczytał treść pisma.

Nastąpiło powszechne zdziwienie! Rozporządzenie ministra odczytane w kasynie? Nie rozkaz pułkowy? Tego jeszcze nie było. I ma im to przekazać pułkownik piechoty? Platen przyniósł mu to pismo?

Pułkownik wyciągnął kopertę, a z niej zapieczętowane, ponumerowane pisma.

— Proszę o uwagę, panowie. Pismo numer jeden!

Przeczytał parę krótkich wierszy: ustąpienie ich pułkownika z czynnej służby wojskowej, na skutek ran odniesionych w czasie jej wykonywania.

Obwieszczenie to wywołało istną sensację. Jeden drugiego pytał, czy pojedynek naprawdę się odbył i jaki był jego skutek.

— Numer drugi, panowie!

Rozmowa natychmiast ucichła. Ale to co usłyszano, było równie zadziwiające, jak i poprzednie. Porucznik Ravenow został zwolniony ze służby i to bez pensji. O prośbie o zwolnienie nie było mowy.

— Numer trzeci!

Ponownie zapanowała cisza. Porucznik Branden został pozbawiony adiutantury i wraz z porucznikiem Golzenem przeniesieni do pracy w terenie. Na ich twarzach pojawiła się złość. Z gwardii w teren, toż to formalna degradacja! Chciano im składać kondolencje, ale nikt się nie ośmielił. Spojrzenia wszystkich spoczęły na Robercie. Poznano, że to jego osoba przyczyniła się do tych zmian.

— Numer czwarty!

Czyli, że to jeszcze nie koniec? Podpułkownik, major i rotmistrz ze szwadronu Roberta zostali przeniesieni do wojsk liniowych, na własną prośbę, jak było powiedziane. W ten sposób osłodzono im pigułki, które mieli przełknąć.

Pismo numer pięć mianowało pułkownika Marfelda dowódcą pułku huzarów gwardii, czym sam pułkownik zdziwił się niezmiernie. Platen został mianowany adiutantem pułkownika i nareszcie... Roberta mianowano kapitanem gwardii z równoczesnym przekazaniem do sztabu generalnego.

Było to ogromne wyróżnianie. Pułkownik podszedł do Roberta, uścisnął mu rękę i rzekł:

— Panie kapitanie, cieszy mnie, że to ja mam okazję oznajmić panu tak radosną nowinę. Żal mi, że nie będę pana widział w szeregach naszego pułku, jestem jednak przekonany, że prędejkę zyskasz pan zaszczyty w sztabie, gdzie pana cenią, niż w szeregach, w których nie ceni się zasług. Zauważyć muszę, że jego ekscelencja oczekuje pana punktualnie o godzinie czwartej.

Zazdrość sięgnęła szczytu. Tylko Platen był wolny od niej. Porwał przyjaciela w ramiona i powiedział:

— Kto o tym wszystkim mógł pomyśleć, kiedy ze zwykłej litości pobiegłem za tobą! Patrz Robercie, jak dumni panowie gwardii gratulują Marfeldowi! Chodźmy, uważam, że otrzymałeś wspaniałe zadośćuczynienie. Nie mamy tu nic więcej do roboty. Muszę się tylko pożegnać z nowym dowódcą i poprosić o urlop. Muszę jechać do Moguncji..

— Tak? To blisko mego domu.

— Wzywa mnie wuj Wallner, chodzi bowiem o uregulowanie spraw spadkowych, muszę się stawić osobiście.

— Czy twój wuj, nie jest przypadkiem bankierem?

— Tak, przecież ci o tym mówiłem.

Pułkownik udzielił mu urlopu i przyjaciele wyszli. Robert zaprosił przyjaciela na wieczór. Nie miał okazji wspomnieć o pierścieniu.

Wiadomość o awansie Roberta wywołała w domu księcia ogólną radość. O wyznaczonym czasie pojechał do ministra wojny i przyjęty został z wielkim szacunkiem. Wyraziwszy swoją wdzięczność, czekał na odpowiedź. Minister rzekł:

— Polecano nam pana bardzo gorąco, otrzymałem odpis pańskich prac wykonanych dla króla. Nabrałem przekonania, że w sztabie będzie pan pożyteczny. Jednak muszę zastrzec, na przyszłość ma się pan wystrzegać podobnych awantur myśliwskich, po których ludzie stają się niezdolni do służby wojskowej.

Wyrzekł te słowa żartobliwie, a potem kontynuował: — Tymczasem jeszcze nie przedstawię pana, naszemu szefowi sztabu generalnego. Możliwe, że w krótkim czasie powierzę panu ważną, dyplomatyczną misję. Potrzeba człowieka, który miałby odwagę wojownika,

przebiegłość policjanta i zimną krew starca, a mimo to wyglądałby na niedoświadczonego młokosa i nieszkodliwego człowieka, tak aby nie ściągał na siebie niepotrzebnej uwagi. Pan spełnia te warunki, a mimo swego młodego wieku, pokazałeś, że możesz być niebezpiecznym przeciwnikiem. Chodzi mianowicie o dłuższą podróż, przygotuj się pan do niej. Daję panu tydzień wolnego, ale muszę znać pańskie miejsce pobytu, abym, jeśli zajdzie taka potrzeba mógł pana wezwać. Słowa te uszczęśliwiły Roberta, więc odpowiedział:

— Ekscelencjo, jestem za młody, aby być pewnym siebie w każdej sytuacji. Dołożę jednak wszelkich starań, aby sprostać zaufaniu jakie ekscelencja we mnie pokłada i wypełnić zadanie należycie.

— Pańska skromność jest dla pana zaszczytem. Proszę się ode mnie kłaniać księciu.

Robert wyszedł uszczęśliwiony. Postanowił pojechać do Kreuznach, aby przed swoją nieobecnością zobaczyć się z matką i rotmistrzem. Musiał się z nimi pożegnać.

W domu wiadomościami sprawił wszystkim wielką radość. Wieczorem przyszedł Platen i pozostał aż do północy. Ponieważ jutro miał jechać do Moguncji, to postanowili pojechać wspólnie.

Rankiem obaj przyjaciele siedzieli w wagonie i jechali w swoje rodzinne strony. Podczas rozmowy Platen ściągnął rękawiczki, a światło słońca padło na pierścień.

— Ach, co za pierścień! — rzekł Robert udając, że przedtem go nie zauważył. — To z pewnością stara rodzinna pamiątka?

— Pewnie, ale nie mojej rodziny, to podarunek od wuja.

— Tego bankiera?

— Tak. Uczyniłem mu kiedyś znaczną przysługę i dostałem za to nagrodę. Jest on wyjątkowo skąpy i pieniędzy nie dał by nigdy, dlatego dostałem pierścień, który wprawdzie jest kosztowny, ale jego nic nie kosztował. Chcesz mu się przyglądać?

— O tak, bardzo chętnie.

Platen podał mu pierścień, któremu Robert przyglądał się z wielką uwagą.

— To stara robota.

— Tak i nieeuropejska. Myślę, że meksykańska. Ale skąd wujaszek mógł to dostać, tego nie wiem. Jego rodzina nigdy bowiem nie utrzymywała żadnych kontaktów z Meksykiem ani nawet Hiszpanią.

— O, bardzo prosto bankier może wejść w posiadanie takich klejnotów. Ciekawi mnie, czy to rzeczywiście pamiątka rodzinna, czy też jakiś zastaw. Każdy ma swoje hobby, moim jest zainteresowanie starymi klejnotami.

— Mogę ci to dokładnie opowiedzieć. Pierścień rzeczywiście jest rodzinną pamiątką. Wuj posiada jeszcze dużo podobnych rzeczy, które jednak starannie ukrywa. Raz niespodziewanie wszedłem do jego pracowni i przyłapałem go na oglądaniu klejnotów. Były to kosztowne łańcuszki, diamenty, naramienniki i inne nadzwyczajne klejnoty obcej roboty. Bardzo się przestraszył, ja zaś zacząłem się śmiać, że udało mi się wkraść do jego sanktuarium. W tym bowiem pokoju wisi stary zegar ze Szwarzwaldu, pod którym znajduje się otwór, przymykany żelaznymi drzwiczkami. W tym otworze leżało dużo przeróżnych klejnotów.

— Dawno to było?

— Trzy lata temu.

— To może schował klejnoty w innym miejscu, co byłoby logiczne — zauważył Robert niby obojętnie.

— O nie. Zdaje się, że nie zna on innego miejsca, musiałem mu dać oficierskie słowo, że go nie zdradzę. Oczywiście ta uroczysta przysięga wydawała mi się ogromnie komiczna. Sądzę, że nie złamałem słowa, gdyż ta „wielka” tajemnica, tak samo dobrze przechowywana będzie u ciebie, jak i u mnie. Nie sądzą, żebyś miał ochotę dobrać się do schowka mego wuja.

Zaśmiał się, a Robert przez chwilę patrzył poważnie w okno i zapytał:

— A gdybym tak miał chęć włamania się do schowka?

— Głupstwo!

— Tak, by chociaż raz popatrzeć na klejnoty?

— Po co? Co ci z tego przyjdzie?

— Dużo albo nic. Sam nie wiesz, jak ta wiadomość jest dla mnie ważna.

— Wprawiasz mnie w zdumienie! Co może cię obchodzić, czy mój wujaszek posiada klejnoty, czy nie?

— Jesteśmy przyjaciółmi, musimy więc działać zgodnie z zasadami. Zaufałeś mi i zdradziłeś wielką tajemnicę wuja. Chcę ci również zaufać. Posłuchaj. Ojciec mój wyjechał do Meksyku i tam spotkał się ze swoim bratem. Ten zaś jakimś sposobem, o którym opowiem ci przy innej okazji, wszedł w posiadanie ogromnego majątku, skarbu Misteków, który właśnie składał się z meksykańskich ozdób i klejnotów...

— A do diabła, to rzeczywiście interesujące!

— Obaj mieszkali u pewnego hacjendero, którego córka jest narzeczoną mego stryja. W czasie wojny ojciec i stryj zaginęli. Stryj połowę majątku przeznaczył dla mnie, na naukę.

— Dziecko szczęścia!

— O tym stary hacjendero przypomniał sobie, gdy zaginęli — ciągnął dalej Robert. — Kiedy przez rok, nie było o nich żadnej wiadomości, wziął moją część skarbu i oddał Benito Juarezowi.

— Prezydentowi?

— Tak, wówczas był on sędzią najwyższym. Wtedy w Meksyku mieszkał jeszcze lord Lindsay, jako ambasador Anglii. To jemu chciał Arbellez, ten hacjendero, oddać owe kosztowne przedmioty, ale Juarez wyjaśnił, by dla większego bezpieczeństwa złożył je w jego ręce. Zabezpieczył przesyłkę, jednak nigdy do mnie nie dotarła. Juarez myślał z pewnością, że wszystko jest w porządku. Lindsay zaś został schwytany przez jakiegoś rozbójnika i długo przebywał w nieznanach okolicach. Dopiero kilka miesięcy temu został uwolniony i wczoraj, przypadkowo w czasie rozmowy zeszliśmy na tematy rodzinne.

— Dziwna sprawa!

— Dziwniejsza niż ci się wydaje. Hacjendero znał tylko moje nazwisko i tylko to, że znaleźć mnie można koło Moguncji, w leśniczówce kapitana Rodensteina. Dlatego Juarez wysłał skarb na adres pewnej firmy bankowej w Moguncji, z poleceniem odszukania mnie i wręczenia przesyłki.

Platen podskoczył.

— A do diabła...! Zdaje mi się, że mamy coś wspólnego!

— Jestem tego samego zdania. Przesyłka do Kreuznach nie dotarła. O jej zaginięciu też nie było żadnej wiadomości. Twój wuj jest bankierem w Moguncji, a ty na palcu nosisz meksykański pierścień, który pochodzi od niego. Mówisz, że wuj posiada jeszcze więcej podobnych kosztowności...

Platen zbladł. Żyły mu na skroniach nabrzmiały, można było poznać, że walczy ze swymi uczuciami. Wreszcie rzekł:

— Robercie! Jesteś straszliwym człowiekiem.

— Oczekuję twego przebaczenia albo wyznania!

— Wszak sam powiedziałeś, że jesteśmy przyjaciółmi. Sprawę tę musimy załatwić. Przede wszystkim powiem ci, że gdyby ktoś inny odezwał się do mnie w ten sposób, to walnąłbym go w twarz. Ty zaś jesteś moim przyjacielem i mówisz otwarcie, chociaż mogłeś ukryć przede mną swoje podejrzenia. Swoją drogą to dość śmiałe stwierdzenie, że mój wujaszek cię obrabował i że... że...

— Mów dalej!

— Na honor, ciężko mi coś powiedzieć, jednak tobie mogę to wyznać. Otóż mój wujaszek nie należy do kryształowych bankierów. Parę razy zauważyłem, że załatwia interesy, które by ktoś inny mógł określić jako nieczyste.

— Może wszedł posiadanie tych rzeczy dopiero z drugiej, albo trzeciej ręki. Mogę też się mylić i te klejnoty, które on posiada wcale nie są meksykańskie.

— Jak, to jest możliwe. Musimy się przekonać. Ty musisz odzyskać swoją własność. Chcę wiedzieć, czy mój krewny jest łotrem, czy człowiekiem uczciwym, to chyba rozumiała.

— Dobrze, dziękuję! Moim zamiarem nie było obrażenie cię, pragnę tylko móc obejrzeć te klejnoty. Dopiero potem będzie można wydać wyrok.

— Zgoda. Mam nawet pewien pomysł. Jutro, koło jedenastej mam odwiedzić wuja. Proponuję, abyś w tym czasie przyszedł powiedzmy po... drobny kredyt.

Przyjaciele omówili dalsze postępowanie i rozeszli się. Robert wiedziony jakimś przeczuciem, zamiast jechać od razu do Kreuznach, udał się do gospody. Gdy tylko wszedł do środka, serce aż podskoczyło mu do gardła. Był wielce zadowolony z tego, że w gospodzie panował półmrok.

Przy oddalonym od innych stoliku siedziało dwóch jegomościów. W jednym z nich rozpoznał swego śmiertelnego wroga, kapitana Landolę. Drugi wyglądał na obcego kupca.

Gdy opuścili gospodę, Robert udał się za nimi. Ze zdziwieniem zobaczył, że mężczyźni weszli do domu bankiera Wallnera. Postanowił wyjaśnić sprawę do końca. Po chwili zauważył, że trzech mężczyzn, dwaj wcześniej obserwowani i jeszcze jakiś obcy wyszli do ogrodu i udali się do letniego domku. Szybko przeskoczył ogrodzenie, podbiegł do domku i tam ukrył się pod oknem.

— Panie Wallner, to jest rosyjski emisariusz, Helbitow, który udaje kupca futer — powiedział Parkert. — Proszę mu wydać te papiery, które zostawiłem u pana wczoraj, a na przechowanie wziąć te.

Wallner podszedł do pięknego, drewnianego zegara, odsunął go i Robert zobaczył na ścianie ukryte drzwiczki. Bankier otworzył skrytkę, wyjął z niej jakiś plik i podał kupcowi. Ten zdjął z głowy kapelusz, odczepił podszewkę, a potem ukrył tam papiery. Po zabezpieczeniu skrytki mężczyźni szykowali się do wyjścia.

Robert szybko wybiegł z ogrodu i udał się do znajomego, by ten szybko jechał do Kreuznach i ostrzegł jego bliskich przed niepożądanym gościem, a na koniec udał się na pocztę.

Musiał długo dobijać się do drzwi, zanim w oknie pojawiło się światło.

— Czego tam? — spytał głos ze środka.

— Proszę otworzyć. Jestem kapitan Helmer i muszę nadać pilną depezę do Berlina.

— Proszę przyjść rano!

— Ma pan natychmiast otworzyć. To sprawa wagi państwowej.

— No cóż, jak tak...

Zszedł na dół, otworzył drzwi i wpuścił Roberta do środka. Ten podał mu napisany wcześniej tekst i kazał natychmiast nadać.

„Hrabia Bismarck, Berlin!

Rosyjskiego handlarza futer Helbitowa w jakimkolwiek hotelu bezzwłocznie aresztować. Tajny emisariusz. Papiery w podszewce jego kapelusza.

Robert Helmer”

— I mam tę depezę naprawdę wysłać? — zapytał telegrafista.

— Naturalnie, przecież po to ją nadaję.

— Ale panie, o tak późnej porze, do tak znamienitej osoby...

— To pana zupełnie nie obchodzi. Zwracam pańską uwagę, na obowiązek tajemnicy służbowej. Wie pan, jaka odpowiedzialność spoczywa na panu?

Zapłacił za telegram i wyszedł. Dopiero teraz mógł się udać do swojej gospody.

Na drugi dzień przed południem Platen przyszedł do swego wuja, do banku. Bankier zauważył, że jego bratanek zachowuje się zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Wtem wszedł służący i zapowiedział przybycie jakiegoś oficera.

— Oto jego bilet!

— Z pewnością chodzi o pożyczkę. Ci panowie zwykle potrzebują więcej niż posiadają.

— Czy to odnosi się także do mnie? — spytał porucznik.

— Na szczęście, nie. Jesteś dobrze zaopatrzony i nie potrzebujesz zaliczek. Chodzi tu o jakiegoś szlachcica, zrujnowanego...

Przerwał, wziął do rąk wizytówkę i obejrzał dokładnie. Na jego twarzy najpierw można było zauważyć skupienie, a potem rumieniec. Zdawało się, że utracił część swej odwagi gdy powiedział:

— Tym razem się pomyliłem! Jakiś mieszczanin, Robert Helmer, kapitan! Znasz go może?

— Znam i to bardzo dobrze. Jest z Kreuznach.

Cały czas bacznie obserwował wuja i spostrzegł na jego twarzy przerażenie. Po chwili bankier zapanował nad sobą i rzekł obojętnym tonem:

— Ciekaw jestem, czego chce. Wychodzisz? Spodziewałem się, że miło ci będzie przywitać się z kolegą. Niech wejdzie!

Ostatnie słowa skierowane były do służącego, który oddalił się, a po chwili do pokoju wszedł Robert w mundurze.

— Pan bankier Wallner?

— Do usług — i bacznie przyglądał się wchodzącemu. Robert wszedł poważny, jednak wkrótce twarz mu pojaśniała, skoro tylko zobaczył przyjaciela.

— Dzień dobry przyjacielu, ty tutaj?

— Dzień dobry. Spodziewam się, że chcesz pomówić z wujem sam na sam, więc nie chcę ci przeszkadzać, ale proszę cię, odwiedź mnie później.

— Chętnie, jeśli pan Wallner mi nie przeszkodzi.

— Nie mam do tego powodu — rzekł bankier, a zwracając się do bratanka dodał: — Nie widzę przyczyny, dla której miałbyś wychodzić. Pan kapitan przychodzi pewnie prosić o zaliczkę, której mu naturalnie udzielę, gdyż jest twoim przyjacielem.

Oblicze Platena poczerwieniało od gniewu i zakłopotania.

— Helmer nie ma potrzeby prosić o zaliczkę. Muszę stąd odejść nie z jego, ale raczej z twojej wuju przyczyny.

— Co to ma znaczyć? Żądam kategorycznie byś tu pozostał. Sądzę, że twoja obecność będzie konieczna.

Platen spojrział pytająco na Helmera a ten powiedział:

— Mnie jest obojętne, czy będziesz przy tym obecny, czy nie. Przychodzę prosić o pewną rzecz, która z całą pewnością nie jest zaliczką.

— Mów więc pan! — rzekł bankier, któremu widocznie lżej się zrobiło na sercu po tych słowach, gdyż nie musiał wydawać swych ukochanych pieniędzy.

— Czy mogę usiąść? — spytał grzecznie, choć stanowczo Robert. — Przychodzę prosić pana o udostępnienie mi pewnych akt.

Bankier uśmiechnął się, potrząsnął głową i powiedział:

— Pomylił się pan, nie jestem pisarzem ani innym skrybą.

— Wiem o tym — rzekł Robert chłodno. — Ponieważ nie chce pan zrozumieć, zmuszony jestem mówić z panem wyraźniej. Miał pan wczoraj gości?

— Gości? Nie, nie było mnie, wyjeżdżałem.

— Nie wierzę w to. Odwiedził pana nijaki kapitan Parkert.

Bankier aż poczerwieniał z przerażenia.

— Panie, — jęknął — o czym pan mówi?

— Ten Parkert przyniósł panu tajne depesze, o których wydanie proszę — mówił dalej Robert spokojnie.

Platen słuchał z wyteżoną uwagą. Tego się nie spodziewał, sądził, że Helmer zacznie od klejnotów, a ten mówi o czymś zupełnie innym. Wallner popatrzył na mówiącego wielkimi oczami i zawołał:

— Nie rozumiem! Nic nie wiem o żadnym Parkercie, ani też o depeszach.

— To sobie pan jeszcze przypomni — uśmiechnął się Robert. — Najpierw muszę panu powiedzieć, że ten Parkert nie dotrze do Nowej Rodrigandy, po wtóre, będzie pan łaskaw przyjąć do wiadomości, że nijaki handlarz futer Helbitow przebywa już obecnie pod kluczem.

Wtedy przerażony bankier poderwał się i rzekł:

— Powiedziałem już, że nie rozumiem pana.

— Dobrze, jak pan chce — rzekł Robert wstając. — Przybyłem tutaj jako przyjaciel Platena by pana oszczędzić, ale ponieważ pan tego nie chce, to zaraz zamiast mnie pojawi się tu policja.

— Pan mi grozi? Ja się niczego nie obawiam.

— Taki pan pewny. Będą szukali nie tylko w domu, ale i w ogrodzie.

— Niech szukają!

— W letnim domku, pod drewnianym zegarem.

— A do...

Wyglądał jakby go ktoś uderzył ogromną pałąką.

— Widzi pan, że wiem raczej wszystko — kontynuował Robert. — Papiery, które obecnie posiada pan, muszę oddać hrabiemu Bismarckowi. Zwróci mi je pan dobrowolnie, czy nie?

— Nic nie wiem o żadnych papierach — jęknął bankier.

— Dobrze, będą więc szukali, a w zegarze znajdą nie tylko papiery.

— A co jeszcze?

— Pewien zbiór klejnotów, które zostały skradzione, a których prawowity właściciel stoi przed panem. Dalej pan będzie zaprzeczał?

Wallner musiał się oprzeć o krzesło.

— Jestem zgubiony! — stękał.

— Jeszcze nie — zauważył Robert poważnie, ale łagodnie. — Nie ma takiego błędu, którego nie można ludziom przebaczyć, jeżeli czują żal i skruchę. Chociaż nie chciał mi pan wydać mojej własności, przebaczę panu, jeśli mi ją oddasz. A resztę też da się jakoś załagodzić. Pan Platen, jako bratanek człowieka, którego posądza się o zdradę stanu nie mógłby nadal pozostać w wojsku, właśnie ze względu na niego poszukam jakiegoś wykrętu.

— Zdrada stanu?! — zawołał zdumiony Platen.

— Naturalnie — odparł Robert. — Porozmawiaj ze swoim wujaszkiem, ja tymczasem przejdę do pokoju obok.

Wyszedł nie czekając na odpowiedź. Słyszał głosy, raz ciche, raz głośnie. Minęło sporo czasu aż drzwi się otwarły i Platen zaprosił go do środka. Widać było po nim, że przebył ciężką walkę. Wallner siedział na krześle jak rozbity i ciężko oddychał. Na widok Roberta wstał i rzekł jak nakręcony mechanizm:

— Panie kapitanie, już dawno otrzymałem przesyłkę z Meksyku. Mimo poszukiwań adresata, udało mi się go znaleźć dopiero dzisiaj; pan nim jest. Oddam panu przesyłkę nieuszkodzoną.

— Dziękuję! — powiedział Robert.

Po pewnym czasie Wallner mówił dalej:

— Nie tak dawno, pewien nieznajomy nazwiskiem Parkert, złożył u mnie w depozycie parę pism. Nie znam ich treści, wiem tylko tyle, że ma się o nie dopytywać nijaki Helbitow. Ponieważ pan mnie zapewnia, że treść tych pism może być dla mnie niebezpieczna, chętnie oddaję je w pańskie ręce i daję panu słowo, że podobnych rzeczy nigdy więcej w depozyt nie przyjmę. Będzie pan łaskaw udać się ze mną do letniego domku?

— Chętnie, panie Wallner.

Bankier szedł przodem, a za nim przyjaciele. W domku, ściągnąwszy ze ściany zegar powiedział:

— Proszę to zabrać, panie kapitanie.

Robert wyjął skrzynkę i dokumenty, oprócz tego plik innych papierów, które przyniósł Parkert.

— Czy ich treść naprawdę jest taka ważna? — spytał Platen.

— Nadzwyczaj! — odparł Robert, a gdy zobaczył, że Wallner się oddalił mówił dalej — Chodzi o koalicję jaka zawiązała się przeciw Prusom. Jedną z głównych osób w tej sprawie był ów kapitan Parkert, którego panowie gwardziści, tak chętnie widywali w swoim gronie! Przechwyliłem tajne depesze Parkerta. To właśnie była owa zasługa, o której mówiono i dzięki której dostałem Order Czerwonego Orła. Wczoraj wieczorem podsłuchiłem jak Parkert rozmawiał z twoim wujaszkiem. Dał się wciągnąć do tej sprawy, ponieważ obiecano mu tekę ministra skarbu, nowego królestwa Westfalii.

— Nieszczęsny!

— Nie, raczej łatwowierny. Jestem zmuszony wydać te papiery, uczynię jednak co tylko w mej mocy, by go uratować.

— Zrób to Robercie! Zasłużyłeś na nagrodę! Odbyłem z nim ciężką rozmowę, obiecał mi, że na przyszłość będzie ostrożniejszy. Zabierz swoją własność i pozwól mi, że za łaskę, jaką okazałeś memu krewnemu będę ci dozgonnie wdzięczny.

Wyszli z domku i udali się do pokoju Platena, gdzie Robert powiązał pisma w jeden pakiecik. Gdy tylko to zrobił zjawił się służący z banku

— Panie Platen, proszę szybko, ale jak najszybciej na górę, do pana Wallnera! — zawołał służący.

— Po co ten pośpiech?

— Po co? No... zdaje mi się... on... bardzo chory!

— Co mu się stało? Sprowadź lekarza.

— Lekarz tutaj nic nie pomoże! Wtedy Platen podskoczył.

— Lekarz nie pomoże? Co się takiego stało? Gdzie on jest?

— W swoim pokoju. Miałem mu oznajmić przybycie jednego pana, ale kiedy wszedłem, on leżał i... i...

— I co dalej?

— I był nieżywy!

— Niemożliwe! Przecież przed chwilą z nim rozmawiałem. Idę. Wyszedł, Robert pozostał. Po chwili Platen wrócił z pobladłą twarzą. Parę razy przeszedł po pokoju i rzekł:

— Masz rację Robercie, był łatwowierny. Potwierdza to nawet ten czyn. Nie wiedział, jak się stąd wymknąć, albo nie mógł przeżyć utraty nieprawnie nabytego dobra. Zszedł z tego świata w grzechu. Niech Bóg się zlituje nad jego biedną duszą!

Kwadrans później wracał Robert do domu. Wiózł ze sobą cały majątek i owe ważne papiery, które podnosiły jego zasługi.

Najpierw odwiedził matkę. Jak się zdziwiła pocziwa kobieta, kiedy otworzyła skrzynkę i ujrzała w niej błyszczące klejnoty. Łzy popłynęły z jej oczu, uścisnęła syna i zawołała:

— To może mieć ogromną wartość, ale wolałabym, by twój ojciec powrócił. Zrób z tymi klejnotami co chcesz, ja nie mogę na nie patrzeć.

Oddał jej pakiet z papierami, o których kapitan nie mógł się dowiedzieć, zaś skrzynkę ze skarbem zaniósł do niego. Opowiedział mu dzieje tej cennej przesyłki, a wreszcie pokazał zawartość.

— A do tysiąca bomb i kartaczy, teraz mi dopiero chłopczysko będzie nosa zadzierał! — mruknął Rodenstein. — Bogactwo z reguły czyni człowieka dumnym.

— Ale nie mnie, kochany ojczu chrzestny.

- No, no zobaczę co poczniesz z tymi rzeczami.
- Wszystko rozdám.
- Czyś ty zwariował?
- Nie, ale mimo to rozdám.
- Komu, hę?
- Cały ten kram otrzyma Róźyczka.
- Róźyczka? To znowu nie taki głupi pomysł. Ale dlaczego ona?
- Bo tylko ona jest na tyle dobra i piękna, by nosić takie skarby!

Przy tych słowach oczy jego błysnęły takim płomieniem, że nawet kapitan, który nie odznaczał się wielką bystrością, zauważył to i grożąc mu palcem rzekł:

— Ty, zdaje mi się, że ty jesteś zakochany, brachu! Nie rób głupstw! Jeżeli już naprawdę chcesz się stać nieszczęsnym potępińcem, to szukaj sobie jakiegoś innego potępienia, ale leśna Róźyczka nie jest dla ciebie. Miejsce, na którym ona rośnie jest dla ciebie zbyt wysokie.

— Kochany kapitanie, ja umiem się wspinać.

— Tak, — śmiał się stary — taki oficer może dojść wysoko. Wiem to po sobie, do kapitana i nadleśniczego. Dobrze, rób z tym kramem co chcesz.

Najbliższym pociągami wyruszył Robert, w towarzystwie Kurta z powrotem do Berlina. Przybyli późnym wieczorem, mimo tego Robert udał się wprost do pałacu Bismarcka.

Okna pałacu były jasno oświetlone, u ministra musieli być goście. Portier chciał zapytać oficera, czego tu szuka o tak późnej porze, ale ten tylko przebiegł obok i udał się wprost na górę. W przedpokoju zastąpił Robertowi drogę osobisty lokaj ministra.

— Pan w jakiej sprawie?

— Muszę mówić z ekscelencją!

— To niemożliwe, teraz są u niego goście.

— Ekscelencja na pewno mnie przyjmie.

Lokaj przyglądał się oficerowi z ironicznym uśmiechem, dlatego Robert wyciągnął swą wizytówkę i powiedział:

— Oto mój bilet, proszę mnie zaraz zapowiedzieć!

— Mocno żałuję, ale nie śmiem tego zrobić.

— Rozkazuję panu, by mnie zapowiedział! Zrozumiano!

To lokaja przeraziło, nie odważył się więcej oponować i zniknął w środku. Już po chwili wrócił i rzekł poważnie:

— Proszę za mną!

Zaprowadził go do komnaty, w której czekał już Bismarck, a gdy ujrzał Helmera rzekł:

— Dla pana zawsze mam czas. Znowu się nadzwyczajnie przysłużył ojczyźnie. Tego Rosjanina pojmano, a w jego kapeluszu znaleziono ważne papiery, zasługuje pan na wdzięczność. Ale jak pan odkrył tę tajemnicę.

— Zanim odpowiem na te pytania, pozwolę sobie wręczyć ekscelencji te oto papiery.

Wręczył kanclerzowi pakiet.

— Jestem zajęty i nie mam czasu na czytanie, ale nagłówki przecież muszę... a!

Otworzył pierwsze pismo i nie poprzestał na nagłówku, potem chwycił drugie.

— Proszę usiąść — zwrócił się Roberta.

Kanclerz właściwie nie czytał a pochłaniał treść pism, końce jego wąsów zdradzały natężoną uwagę. Gdy skończył zwrócił się do Roberta, z takim spojrzeniem, że młody oficer poczuł się zakłopotany.

— Panie Helmer, nie pojmuję, to wszystko i pan także wygląda na cud. Pan, młody, nieznany oficer, czyni odkrycia i wykrywa spiski, które ratują królestwo. Jak te dokumenty dostały się w pańskie ręce?

— Kapitan Parkert, który wymknął się z Berlina, dał je na przechowanie bankierowi Wallnerowi z Moguncji, a ten wydał mi je, gdy mu tylko powiedziałem, że ich treść jest gorsza od dynamitu.

— Znał ich treść?

Minister spojrział na Helmera badawczo, nic nie można było ukryć.

— Ekscelencjo, ten człowiek już nie żyje.

— Z własnej woli? — zapytał bystry hrabia.

— Tak jest.

— Proszę opowiedzieć mi wszystko, dokładnie.

Robert zaczął opowiadać o zaginionym skarbie i jak to szukając właśnie tych przedmiotów, wpadł na trop tajemnicy. Oszczędzał bankiera ile tylko mógł, a mimo to Bismarck powiedział:

— Oględność z jaką pan opowiada, także dobrze świadczy o panu. Może pan być wobec mnie szczerzy, nie zawiodę pana zaufania. Proszę mówić otwarcie.

Teraz nie mogło być mowy o zatajeniu czegokolwiek. Robert opowiedział wszystko jak było. Twarz Bismarcka miała dziwny wyraz, podał Robertowi rękę i rzekł:

— Panie Helmer, wielce pana cenię. Te słowa niech panu wystarczą za order. Na pańskiego przyjaciela Platena, nie padnie nawet najmniejszy cień. Pana zaś zapraszam na jutro, na godzinę dziesiątą. Pojedziemy wspólnie do króla, aby z pańskich ust usłyszał, jak to się panu udało po raz wtóry przysłużyć krajowi. Oczekuję pana punktualnie o dziesiątej.

Podał młodzieńcowi rękę i wyszedł. Robert wrócił do swoich, którzy z zainteresowaniem oglądali skarby ze skrzyneczki. Opowiedział, gdzie był i zakończył z komicznie poważną miną urzędnika:

— To chodzi o wielkiej wagi tajemnice państwowe, nie mogę ich wyjawić. Może kiedyś będzie mi wolno to uczynić.

— O patrzcie, jaki z niego dyplomata — śmiał się książę. — Ale co poczniesz z tymi skarbami?

— O to samo pytał mnie kapitan — odrzekł śmiejąc się. — Powiedziałem, że najlepiej zrobię, jak podaruję je naszej Różyczce.

Wszyscy się zaśmiali, Różyczka zarumieniła, a jej matka spytała:

— A co na to powiedział poczciwy kapitan?

— Powiedział, żebym nie marzył o rodzynekach, bo one nie są dla mnie i nie jestem do tego, abym Różyczce cokolwiek darował.

— On widocznie był zdania, że takiego skarbu nie należy rozdawać, tylko uważać, aby nie zniknął albo nie został wydany na próżno.

Kiedy wrócił do pokoju usłyszał lekkie pukanie, do środka weszła Różyczka pytając:

— Robercie, czy naprawdę chciałeś mi podarować ten skarb?

— Tak, Różyczko.

— To schowaj go dobrze, bo za jakiś czas będę go mogła przyjąć.

— Żadna inna, tylko ty go otrzymasz.

Przy tych słowach ich usta złączyły się w namiętym pocałunku. Różyczka szepnęła:

— Kapitan Rodenstein jest starym burczymuchą! Uroczyście ci powiadam, że tylko ty zasługujesz na to, aby mi cokolwiek darować. Nieprawdaż mój kochany?

I szybko wybiegła z pokoju.

W HARARZE

Na Wyżynie Abisyńskiej, która wznosi się na zachodnim brzegu Zatoki Adeńskiej, a łączy Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim, znajduje się kraina zwana Hararem. Częściowo należy do sławnego Timbaktu, a częściowo do wprost baśniowego Eldorado. Najślawniejsi podróżnicy próbowali zbadać ten zakątek, jednak bez rezultatu. Jedyne pewien oficer królewskiej marynarki brytyjskiej, Richard Barton miał to szczęście, że w ogóle stamtąd wrócił. Inni, którzy dotarli do Hararu, nic powiedzieć nie mogli, bo drogi powrotnej już nie mieli.

Na wniosek rządu Wielkiej Brytanii, a zwłaszcza na skutek wieloletnich starań lorda Wilberforce'a, doszło do porozumienia między poszczególnymi państwami. Na jego mocy zakazano handlu niewolnikami. Okręty wojenne wszystkich krajów miały nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek zatrzymywać statki podejrzane o przewożenie niewolników. Nieszczęśników miano uwalniać, bez względu na to kim byli, a załogę, począwszy od chłopca okrętowego do kapitana wieszać bez sądu.

Mimo to niewolnictwo ciągle istniało, a były kraje gdzie handel niewolnikami kwitł nadal. Jeszcze w połowie dziewiętnastego wieku, każdy kto zwiedzał Konstantynopol, mógł przekonać się naocznie, że w mieście tym sprzedawano na targach ludzi wszelkich ras i narodowości.

Ten nielegalny interes najbardziej rozwijał się w okolicach Nilu, w miejscowościach położonych nad Morzem Czerwonym i na wschodnich wybrzeżach Afryki.

Do Hararu, leżącego w głębi lądu można dotrzeć jedynie przez kraj Nomadów somalijskich. Somalijczycy to lud dumny, wojowniczy, żyjący w ciągłych zatargach ze swymi sąsiadami. Dlatego podróż przez ich kraj jest wyjątkowo niebezpieczna. Z tej właśnie przyczyny, tylko bardzo niewielu udało się zbiec z Hararu i dotrzeć na wybrzeże.

Właśnie przez tę krainę szła karawana. Obok ciężko objuczonych wielbłądów szli ludzie czarni jak heban. Każdy z nich posiadał broń: starą, niespotykaną już w cywilizowanych stronach, flintę o długiej, perskiej lufie, maczugę z twardego drzewa, łuk i kołczan z zatrutymi strzałami. Oprócz tego każdy z jeźdźców miał za pasem zatknięty nóż.

Wielbłądy były powiązane ze sobą znanym sposobem: ogon pierwszego zaczepiony był za uzdę drugiego i tak dalej. Jeden z wielbłądów dźwigał na grzbiecie lektykę. Była ona z każdej strony zasłonięta przewiewnymi firankami. Z całą pewnością w lektyce przebywała kobieta, której nikt niepowołany nie miał prawa oglądać. Obok na mocnym, białym mule jechał mężczyzna, prawdopodobnie dowódca karawany. Ubrany był w długi płaszcz beduiński, na głowie miał turban, a broń taką samą jak cała eskorta, tylko rękojeść noża, a także kurek i spust we flincie były srebrne. Oстрыm i przenikliwym wzrokiem lustrował całą okolicę. W pewnej chwili zatrzymał muła.

— Halef! — zawołał. — Czy widzisz ten wąwóz?

— Widzę — odparł zapytany pokornym tonem.

— Tam będziemy dziś nocować. Byłeś już ze mną w Hararze kilka razy. Czy pamiętasz drogę?

— Pamiętam, emirze.

— To dobrze. Od wąwozu niedaleko do Elaoda, a stamtąd tylko godzina jazdy do rezydencji sułtana. Jedź szybciej i zamelduj, że ja przybędę jutro rano.

Helef posłuchał, odwiązał wielbłąda, następnie wskazał na lektykę i zapytał bardzo cicho:

— Czy mam powiedzieć sułtanowi, co przywozimy?

— Powiedz, że wieziemy wspaniale chińskie jedwabie, miedź, ołów, broń, cukier i papier. Powiedz, że chcemy to wszystko zamienić na tytoń, kość słoniową i szafran. Ale o niewolnicy nie mów ani słowa.

— Czy mam zabrać ze sobą haracz?

— Nie. Sułtan nigdy nie ma dość daniny. Jeżeli teraz pošlę mu cokolwiek, później zażąda nowych podarunków. No, jedź już!

Helef wykonał polecenie, a karawana skierowała się w stronę wąwozu. Gdy jeźdźcy zsiadli z wielbłądów, słońce skryło się za horyzontem. W tych stronach zachód słońca przychodzi już około szóstej wieczorem, godzinie, nakazanej przez Mahometa na wieczorną modlitwę.

Wszyscy Beduini, w mniejszym lub większym stopniu zajmują się rozbojem, jednak równocześnie są tak religijni, że za największy grzech poczytują sobie opuszczenie jakiegokolwiek modlitwy. Dlatego też członkowie karawany natychmiast rozpoczęli modły. Obrządek ten wymaga przede wszystkim umycia rąk. Ponieważ nie mieli wody, posługiwali się piaskiem, przepuszczając go przez palce, jakby to była woda. Ukończywszy modlitwę, zdjęli z wielbłądów ładunek, a także lektykę, po czym usiedli, by wypocząć po długiej i uciążliwej podróży.

Kilku z nich zdjęło lektykę, ale osoba znajdująca się w środku, nawet nie wychyliła się zza firanek.

Emir wziął kilka daktyli, nalał do skórzanego kubka trochę wody, podszedł do lektyki i uchylając zasłonę zapytał:

— Chcesz jeść i pić?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, ale kobieta przyjęła owoce i wodę.

— Allah jest wielki, obdarzył mnie złą pamięcią — mruknął emir. — Ciągłe zapominam, że nie rozumiesz naszego języka.

Na znak, jaki uczynił kilku ludzi podniosło się z ziemi, by objąć wartę. Niewolnica w każdej chwili mogła uciec, a także wróg, którego w tych okolicach nie brakowało mógł zniecka napaść na karawanę. Wkrótce cały obóz pogrzyżył się w głębokim śnie.

Halef tymczasem przybył do miejscowości, o której była mowa i nie zatrzymując się pośpieszył w kierunku Hararu.

Bramy miasta zamykano zaraz po zachodzie słońca. Później nikt nie mógł bez zezwolenia sułtana ani wchodzić do środka, ani też wychodzić. Halef długo musiał kołatać do bramy, zanim pojawił się strażnik.

— Kto tam? — zapytał zza drzwi.

— Sługa sułtana Ahmeda Ben Abubekra.

— Jak się nazywasz?

— Imię moje brzmi: Hadzi Halef Ben Mehemmed Ibn Hulam.

— Do jakiego szczepu należysz?

— Jestem wolnym Somalijczykiem.

Mieszkańcy Hararau gardzą Arabami i szczepem Somalijczyków, dlatego też strażnik powiedział:

— Człowieka z Somalii nie wolno mi wpuszczać. Byłbym za to surowo ukarany, nie mogę z twego powodu zakłócać spokoju sułtana.

— Z pewnością będziesz ukarany, ale wtedy, gdy nie zameldujesz mego przybycia. Dodaj jeszcze, że domagam się wpuszczenia i jestem posłańcem emira Arafata.

Słowa te zastanowiły strażnika. Wiedział, że emir Arafat jest przywódcą karawan handlowych, z których sułtan ciągnie wielkie zyski. Dlatego powiedział:

— Arafat? Spróbuję.

Halef dopiero teraz zsiadł z konia. Strażnik pozostawił przy bramie drugiego strażnika, a sam udał się do pałacu sułtana.

Pałac, to nie jest zbyt szczęśliwe określenie. Sławna, a raczej osławiona stolica, była niewielkim miasteczkiem otoczonym murem. Domy wyglądały jak murowane szopy, a „pałac” sułtana przypominał stodołę. Obok stała druga stodoła, z kamienia. Przez całą dobę dobiegał z niej dźwięk kajdan. Było to państwowe więzienie. Do jego głębokich piwnic nigdy nie

docierało światło dnia. Wtrąceni tam więźniowie cierpieli straszliwe męki. Sułtan nie dawał im ani jedzenia, ani picia. A jeżeli nawet jakiś przyjaciel lub krewny przyniósł trochę wody i zimnej gęstej papki z mąki kukurydzianej, to i tak więźniowie umierali z wycieńczenia.

Tronem potężnego monarchy, pana życia i śmierci tysięcy poddanych, była skromna, drewniana ława. Sułtan siadywał na niej zgodnie ze wschodnim zwyczajem, z podwiniętymi nogami. Albo pogrążony w bezmyślności albo też udzielał audiencji, podczas których każdy interesant był śmiertelnie przestraszony, wystarczył bowiem najmniejszy drobiazg, by sułtan popadł w złość i skazał go na ciężkie tortury lub śmierć.

Obecnie sułtan także siedział na swym tronie. Na ścianie za nim wisiały stare, nie używane obecnie flinty, szable i żelazne kajdany, dowody jego nieograniczonej władzy.

Przed sułtanem siedział wezyr w otoczeniu mahometan uczonych w piśmie. Z tyłu, na ziemi, widać było wynędzniałe postacie zakute w kajdany. Sułtan lubił wokół tronu mieć niewolników. Uważał, że uświetniają jego potęgę.

Z boku stał jeden z takich jeńców, ręce i nogi miał skute łańcuchami. Był wysokim i chudym mężczyzną, ale każdy, nawet niezbyt bystry obserwator mógł zauważyć, że to starszy mężczyzna. Ubrany, a raczej odziany był w postrzępioną koszulę. Z całej jego postawy emanowała rozpacz, która pochyliła go do ziemi. Oczy pozbawione blasku i zapadnięte policzki wskazywały, że jest bardzo głodny, a do tego głęboko nieszczęśliwy.

Zdawało się, że musiał coś powiedzieć, gdyż oczy wszystkich skierowane były właśnie na niego, nawet ponury i groźny jak u kota wzrok sułtana, spoczywał na nim.

— Psie! — krzyknął na starca. — Kłamiesz nikczemnie. Jak to możliwe, aby jakiś chrześcijański władca był potężniejszy od wyznawców proroka? Kim są wszyscy twoi królowie wobec mnie, sułtana z Hararu?

Oczy jeńca zabłyśły i odparł:

— Nie byłem królem, tylko jednym z najdostojniejszych obywateli mego kraju. Mimo to czułem się po tysiackroć szczęśliwszy i bogatszy od ciebie.

Sułtan wyciągnął ręce i rozłożył wszystkie palce. W tej samej chwili wysunęła się z kąta jakaś postać, podeszła do jeńca i ciężką, bambusową laską wymierzyła mu dziesięć uderzeń. Bity nawet nie drgnął. Miało się wrażenie, że jest przyzwyczajony do takiego traktowania i że ciosów już nie czuje.

— Czy odwołasz, to co nałgałeś? — zapytał sułtan.

— Nie.

Władca rozkazał, aby wymierzono mu piętnaście kijów. Gdy i to nie poskutkowało, zagroził:

— Pokażę ci, jaką moc posiadam. Jesteś chrześcijańskim psem. Kazałem ci czcić proroka, ale dotychczas nie raczyłeś zastosować się do mego rozkazu. Dziś rozkazuję po raz ostatni. Czy w końcu będziesz posłuszny, ty nędzny robaku?

— Nigdy! — odpowiedział. — Zabrałeś mi wolność, możesz pozbawić i życia, ale wiary mojej ci nie oddam. Tu kończy się twoja moc!

Sułtan zacisnął pięści.

— Każę cię wrzucić do najgłębszego lochu!

— Uczynź to! Chcę umrzeć, tęsknię do śmierci. Skończą się moje męki, nareszcie znajdę spokój i ciszę.

— Stanie się, wedle twego życzenia. Wtrąćcie go do najgorszej nory! Kat chwycił starca i wyprowadził na dziedziniec. Tam przyłączyło się do niego jeszcze kilku ludzi i zawlekli jeńca do więzienia. Gdy otworzono drzwi, uderzyły ich nieprawdopodobne wyziewy. Z wewnątrz słychać było pobrzękiwanie łańcuchów i straszne jęki. Nie było światła, więc starzec nie mógł nic dostrzec. Zaprowadzono go do jakiegoś kąta. Kat przy pomocy swych towarzyszy uniósł wielki kamień. Popchnąwszy biedaka z całej siły, rzekł ze śmiechem:

— Tu twoje miejsce, chrześcijański psie. W ciągu dwóch dni zostaniesz pożarty przez szczury.

Starzec, wpadając w głęboką norę uderzył twarzą o ścianę i skaleczył się. Nie miał jednak czasu myśleć o tym, bo gdy ledwie zasunięto kamień, poczuł, że jakieś zwierzęta zaczynają obgryzać jego nogi.

— Na Boga, a więc naprawdę mam zostać pożarty żywcem! — zawołał przerażony.

Były to wygłodzone szczury. Zaczął się bronić. Chwytał je w ręce i dusił, ale setki ukąszeń sprawiały straszne cierpienia. Loch miał przeszło dwie stopy szerokości oraz cztery głębokości. Jak mógł najwyżej, oparł się plecami o jedną ścianę, nogami zaś o drugą. Pod naporem jego ciała oderwał się od muru kamień i spadł na dno lochu. Rozległy się przeraźliwe kwiki i piski.

— Dzięki Bogu, znalazłem na nie posób, mam jakąś broń! Zsunął się nieco niżej, chwycił kamień i zaczął walić po dnie. Thukł tak długo, nie zważając na ukąszenia, aż ostatni szczur przestał się poruszać.

Naraz ręka jego trafiła na jakiś kulisty, pusty wewnątrz przedmiot. Gdy uświadomił sobie, że była to ludzka czaszka, krzyknął z przerażenia.

— Taki los czeka i mnie. Boże, co ja takiego uczyniłem, że gotujesz mi tak straszną śmierć. Niegdyś hrabia de Rodriganda opływający w szczęście, dostatek i zaszczyty, a teraz pożywienie dla plugastwa! Niechaj będą przeklęci ci łotrowie: Korteja i Landola. Panie zapłać im za to! Oby piekło ich było cięższe niż wszystkich innych!

W tym momencie przestraszył się, gdyż nagle zawtórował mu jakiś głos, dochodzący z góry.

— Tak, Landola ma być przeklęty aż do dziesiątego pokolenia! Było to powiedziane tak rozpaczliwym tonem, że starca przejął dreszcz.

— Kto tam? — zapytał. — Kto mówi w moim ojczystym języku?

— Najpierw ty powiedz kim jesteś i po co zrobiłeś dziurę w murze mego więzienia — zabrzmiało z góry.

— Jestem Hiszpanem, a pochodzą z Meksyku. Nazywam się Ferdynand de Rodriganda.

— *Santa Madonna!* Ferdynand, brat hrabiego Emanuela?!

— *O Dios!* Mówisz o moim hracie Emanuela? Znasz go, skąd?

— Oczywiście. Albo raczej znałem, gdyż już dawno umarł.

— Umarł? To niemożliwe!

— Dlaczego? Aha, już sobie przypominam. Przecież... Ale nie, to niemożliwe, abyś był hrabią Ferdynandem. On umarł przed wielu laty.

— Przysięgam na niebo i ziemię. Nie umarłem, tylko zostałem uznany za zmarłego. Landola, przy pomocy Korteja porwał mnie, a potem tutaj, w Hararze sprzedał do niewoli.

— To, co senior opowiada, brzmi jak jakaś bajka. Ale gdy się nad tym głębiej zastanowić... Przecież hrabia Emanuel również... Ale o tym później. Postaram się zejść do pana.

— Nie, tu pełno szczurów, zmiażdżyłem je kamieniami.

— Czyli, że jesteśmy w podobnej sytuacji. Ja tu jestem od wczoraj. Pełno tu było szczurów, ale nożem, który znalazłem między kamieniami pozabijałem to plugastwo. Może uda mi się z pańską pomocą odwalić następny kamień, a potem przez ten otwór dostanę się do pana. Pomoże mi pan?

— Chętnie. Muszę się tylko trochę podciągnąć.

Hrabia wdrapał się po ścianie na górę. Wspólnym wysiłkiem udało się więźniom poszerzyć dziurę. Była tak niewielka, że człowiek z trudem, mógł się przez nią precyzyjnie.

— Zejdź, senior. Już wystarczy. A jeżeli znajdą nas razem?

— Nie znajdą. Oni przecież zamierzają zamorzyć nas na śmierć, jeśli oczywiście wcześniej nie zjedzą nas szczury. Zaręczam więc, że nikt nie będzie tutaj zaglądał. A gdyby przypadkiem ktoś wszedł, jeden z nas wymknie się przez dziurę.

Hrabia zsunął się w dół, a współwięzień za nim. Loch był tak wąski, że niemal dotykali się twarzami, ale to im nie przeszkadzało, przeciwnie. Hrabia czuł się szczęśliwy, że ma przy sobie życzliwego człowieka, który właśnie ujął go za rękę i rzekł:

— Ach, drogi hrabio, proszę pozwolić uścisnąć swą dłoń. Co za radość, że po latach upokorzeń spotykam rodaka! Ja także pochodzę z Manresy, jestem prostym człowiekiem, mój ojciec był fryzjerem.

— Z Manresy? To blisko Rodrigandy, jeśli dobrze pamiętam?

— Tak. Juan Alimpo, kasztelana pańskiego brata jest moim wujem. O panie, mam ci tyle do powiedzenia. Chciałbym wiedzieć, kiedy opuścił pan Meksyk?

— Już bardzo dawno. Nie mogę dokładnie określić czasu, ale przypuszczam, że gniję w tej niewoli mniej więcej od dwunastu lat.

— Czyli, że nie wie pan, iż pański brat także został uznany za zmarłego?

— Nie. Kiedy to się stało?

— Przed osiemnastu laty

— Powiadasz pan, że uznano go za zmarłego? A może on naprawdę zmarł? Gdy się zastanawiam nad tym co mnie się przydarzyło, nabieram przekonania, że na tym padole łożą żyją ludzie, którym bardzo zależy na tym, aby zginął i on, i ja.

— Bez wątpienia, to święta prawda. Ale jak się pan znalazł tutaj?

— Nie mówmy na razie o tym. Przede wszystkim chciałbym usłyszeć, jakie masz wiadomości o moich bliskich, mojej ojczyźnie i w jaki sposób dostałeś się tutaj ?

— Co się tyczy rodziny hrabiego, to wiadomo mi, że pański brat, został uznany za zmarłego, a dziedzictwo objął hrabia Alfonso.

— Co! — zawołał hrabia. — To niemożliwe!

Przypomniał sobie, co przeżył. Stanął mu przed oczami ów haniebny pojedynek, w którym Alfonso taką podłą odegrał rolę, słowa Marii Hermoyes o tym, że Alfonso nie jest prawym potomkiem Rodrigandów. Stały mu przed oczami owe straszne chwile, kiedy zdrętwiały leżał na katafalku, a Alfonso przelewał obok łyż obłudnika, ale kiedy był pewny, że nikt go nie widzi miał wielce zadowoloną i cyniczną minę. Przypomniał sobie jak Kartejo z Landolą, w koszu przenieśli go do kajuty na jakimś okręcie i wszystko co wtedy mówili.

Przyszedł mu na myśl testament, który sporządził w obecności Marii Hermoyes, a potem schował w środkowej szufladzie swego biurka. Czyżby nikt go nie odnalazł? Przecież Alfonso został wydziedziczony. Jak to się stało, że jednak został hrabią de Rodriganda? Może testament sfalszowano, a może po prostu zaginął?

— Alfonso — powtórzył — jest hrabią? Jak rządzi?

— Och, jak prawdziwy tyran. Wszyscy poddani zdążyli go już znienawidzić. Boją się go jak ognia, opowiadają o nim dziwne rzeczy. Nie wiem, czy mogę to powtarzać.

— Tak i proszę, jeszcze byś był zupełnie szczerzy.

— Ludzie gadają, że hrabia Alfonso wcale nie należy do rodu Rodrigandów.

— Skąd te przypuszczenia?

— Trudno określić. Ale sam byłem świadkiem pewnych sytuacji, które potwierdzały te podejrzenia i chyba właśnie dlatego znalazłem się tutaj. Napadnięto mnie.

— Mów, opowiadaj, byle szybko — ponaglał hrabia.

Mendoza nie od razu spełnił prośbę starając się uporządkować wspomnienia. Wreszcie zaczął opisywać zdarzenia, których widownią był zamek Rodrigandów. Opowiadał o pewnym niemieckim doktorze Sternale, o chorobie hrabiego Emanuela, o szaleństwie hrabianki, jej wyzdrowieniu i ślubie, który zawarła z owym lekarzem w jakiejś niemieckiej miejscowości.

— Kiedyś, zupełnie przez przypadek podsłuchałem rozmowę mego wuja, który jest dominikaninem, z Gasparinem Kortejo. Było to jeszcze wtedy, gdy pracowałem jako ogrodnik u hrabiego Rodriganda. Byłem zmęczony, więc położyłem się wśród krzaków i zasnąłem. Nie

wiem jak długo spałem, ale gdy się zbudziłem, oni już tam byli a do mnie dotarły słowa Korteja:

— Za dużo sobie pozwalasz, pobożny ojcze! Skąd te pomysły, aby o coś podejrzewać hrabiego? Jeżeli masz cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie, to zwróć się proszę do samego hrabiego, nie do mnie!

Na to mój wujaszek odparł tonem łagodnym, lecz stanowczym:

— Jestem sługą kościoła i jako taki, mam obowiązek przestrzegać ludzi. Hrabia Alfonso powinien być zadowolony, że na razie występuję jako kapłan, którego bolą niesprawiedliwości, jakie znoszą jego poddani. Mógłbym przeciw niemu wyciągnąć inną broń! Mógłbym zostać jego oskarżycielem!

— Oskarżycielem? Sądzę, że ojciec zwariował.

— No cóż, nie odznaczam się wprawdzie pańską roztropnością, wiem jednak, że w tej sprawie muszę się zwrócić nie do hrabiego, ale właśnie do pana, gdyż pan kieruje tymi sprawami. Nitki tej sprawy są tylko w pańskich rękach i to mnie właśnie uprawnia do wystąpienia z oskarżeniem nie tylko hrabiego.

Kortejo milczał przez chwilę, jakby się zląkł, a potem rzekł:

— Gada ksiądz głupstwa! To jakieś szaleństwo.

— O nie senior, ja dobrze wiem co mówię.

— Ciężko to będzie udowodnić, bardzo ciężko!

— Przeciwnie! Uważa się pan za roztropnego i mądrego, sądzisz, że postępujesz ostrożnie, ale prawda wyjdzie w końcu na jaw.

— Niech ksiądz nie plecie głupstw! Potrafię księdza nauczyć grzeczności! — powiedział Kortejo w wielkim gniewie.

Ksiądz jednak odparł spokojnie:

— Muszę panu przypomnieć dwie rzeczy: najpierw gospodę w Barcelonie, gdzie zamieniono dzieci, a po wtóre...

Tutaj Kortejo przerwał:

— Ten klecha oszalał, naprawdę!

Ale wuj spokojnie ciągnął:

— Chcę jeszcze przypomnieć panu okręt kapitana Landoli, na którym uprowadzono pewnego człowieka z Vera Cruz. Wie pan, kim był ten człowiek?

Kortejo przez jakiś czas stał oniemiały, potem dodał ze złością:

— Ty nie jesteś kapłanem, tylko diabłem wcielonym, wracaj skąd przyszedłeś!

W tej chwili huknął strzał, ale kula chybiła, Bóg ochronił kapłana. Wuj zawołał gniewnie:

— Gasparino Kortejo, ostrzegam cię, to ty pójdziesz do piekła.

Z tymi słowami zniknął w krzakach, Kortejo stał jakiś czas bez ruchu, jakby ogłuszony i mruczał do siebie:

— Odpokutujesz za to, ty diabelny klecho! Skąd on to wszystko wie. Brakuje tylko, aby ktoś nas podsłuchiwał!

Przestraszyłem się i zsunąłem w najgłębszy kącik mego ukrycia, on jednak wszedł i znalazł mnie. Poznał mnie i zapytał groźnie:

— Człowieku, co tu robisz?

— Spałem — odpowiedziałem spokojnie.

Nie bałem się go, byłem od niego o wiele silniejszy.

— Słyszałeś o czym mówiliśmy?

— Naturalnie — uważałem bowiem, że lepiej będzie by widział, jakiego ma we mnie przeciwnika.

— Wszystko?

— Wszystko.

— Ten klecha zwariował, gadał same bzdury. Nikt nie może wiedzieć o tym, masz zachować milczenie.

— Zgoda.

— Wynagrodzę cię za to, od dziś masz stałą pracę. Co to będzie, dowiesz się jutro. Ale biada ci, jeśli piśniesz bodaj słówko.

Wyszedł, a ja awansowałem na drugiego zamkowego ogrodnika. Dobrze mi się wiodło, mimo tego dokładnie wiedziałem, że Kortejo odnosił się do mnie z wielką rezerwą. Obawiał się mnie. Mój wuj zniknął jeszcze tej samej nocy. Kortejo dowiedział się od kogoś, że byliśmy krewniakami, gdyż pewnego razu zapytał:

— Jak się nazywasz, ale dokładnie?

— Bernardo Mendosa — odparłem.

— Z Manresy? A czy ów dominikanin, także się tak nie nazywa? On także pochodził z Manresy?

— Jest moim wujem.

— Od dawna go nie widziałem, nie wiesz, gdzie może przebywać?

— Nic o nim nie wiem.

— Spodziewam się, że mówisz prawdę — groził. — Jeśli umiesz milczeć, to będziemy żyli w zgodzie.

Mimo to cały czas żywił do mnie podejrzenia. Pewnego razu wezwał mnie i kazał udać się do Barcelony. Tam miał w porcie cumować statek, który z dalekich krajów przywiózł egzotyczne rośliny na sprzedaż. Miałem je obejrzeć i sprawdzić cenę. Nigdy więcej nie wróciłem do Rodrigandy.

Przerwał, myśl o następnych zdarzeniach wstrząsnęła nim.

— Wykonałem polecenie — kontynuował po chwili. — Kapitana okrętu nie znałem jeszcze, był nim Henryk Landola. Nie miał żadnych roślin, co mi oznajmił z fałszywym uśmiechem na ustach, a kiedy chciałem zejść na brzeg, złapano mnie, związano i wrzucono na dno statku. Proszę sobie wyobrazić moją rozpacz, kiedy po kołysaniu i szumie wody poznałem, iż płyniemy. Dopiero gdy byliśmy na pełnym morzu, mogłem wyjść na pokład i zaczerpnąć powietrza. Zaprowadzono mnie do kapitana, do samego Landoli. Kpiąc w żywe oczy, oświadczył, że pewnym ludziom bardzo zależy na moim zniknięciu, dlatego mam zostać marynarzem i ślepo służyć rozkazów, inaczej zginę. Wkrótce zorientowałem się, że Landola jest piratem, a na dodatek handlarzem niewolników. I ja miałem mu pomagać w tym procederze! Tego nie mogłem robić, więc opierałem się. Ponownie wtrącono mnie do ładowni. Przymierałem głodem, otrzymywałem bity. Ponieważ mimo to nie kwapiłem się do udziału w ich zbrodniczym procederze, Landola pewnego dnia oświadczył, że wymyślił dla mnie karę, zamierzał sprzedać mnie jako niewolnika. Płynęliśmy wtedy obok wschodniego wybrzeża Afryki. Koło Garadu zarzucił kotwicę i zszedł na ląd. Wkrótce sprzedał mnie.

Ten, który mnie kupił był handlarzem niewolników. Zostałem zakuty w kajdany i tak musiałem iść, z całą grupą podobnych nieszczęśników w głąb kraju. Tam sprzedał mnie komuś innemu. Wędrowałem z rak do rąk. Ostatnim moim panem był okrutny kacyk murzyński. Nikt nie zdoła opisać tego, co wycierpiałem. Musiałem pracować za trzech. Maltretowano mnie i morzono głodem. Mimo tych strasznych warunków i niezdrowej okolicy wytrzymałem. Wreszcie mój pan umarł, a jego spadkobierca sprzedał mnie pewnemu mieszkańcowi Hararu, a ten z kolei podarował mnie w prezencie sułtanowi.

— Jak długo tu jesteś?

— Od jakichś czternastu dni.

— To dlaczego cię nigdzie nie zauważyłem? Pracowałem przecież przez ostatnie trzy tygodnie na plantacjach kawy. Za co wtrącono cię do więzienia?

— Ledwie tu przybyłem kazano mi przyjąć ich wiarę.

— Przypadł nam w udziale ten sam los.

— Katowano mnie, ale bezskutecznie, zostałem wtrącono do lochu. To wszystko co mogę powiedzieć. Myślałem nad tym, czy nie można się stąd jakoś wyrwać, ale niestety. Nasze spotkanie jednak uważam za dobrą wróżbę. Bóg chce, aby pan odkrył tajemnice rodzinne. Ja jestem prostym człowiekiem, ale może panu uda się wymyślić jakiś sposób, byśmy przy wspólnych siłach uciekli z tego kraju. A w jaki sposób pan się tutaj dostał, panie hrabio?

Umilkł, czekając na odpowiedź, jednak stary hrabia pograżył się w rozmyślaniach. Opowieść tego człowieka, była czymś w rodzaju klucza do rozwiązania całej zagadki. Czy to nie Opatrzność czuwała nad nim? Złożył ręce do modlitwy i padł na kolana, wreszcie spytał ogrodnika:

— Czy wiesz może, albo się domyślasz, skąd twój wuj mógł wiedzieć o podmienieniu dziecka?

— Nie, nigdy potem wuja nie widziałem.

Szanowni Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że ów dominikanin spowiadał w jaskini rozbójników umierającego żebraka, a także w więzieniu w Barcelonie umierającego sternika, ale hrabia nie miał o tym pojęcia, dlatego pytał dalej:

— Na co umarł mój brat, Emanuel?

— Jeśli naprawdę umarł, to miał bardzo smutny koniec! Z początku ośleplł, potem dostał pomieszania zmysłów...

— Straszne! Przeczuwam, że padł ofiarą tych samych intryg co ja. Nie miał dobrego lekarza?

— Różnie o tym mówiono.

— Opowiadaj, ale wszystko i dokładnie.

— Dobrze, o ile pamiętam. Słyszałem, że hrabia Emanuel oprócz ślepoty cierpiał na jakieś kamienie. Kortejo i siostra Klarysa sprowadzili lekarzy, aby go poddać operacji. Chociaż cieszyli się dobrą opinią, to hrabianka Róża nie miała do nich zaufania. W Paryżu poznała jakiegoś lekarza o wielkiej renomie i wezwała go do Rodrigandy. Ten stwierdził, że jego hiszpańscy koledzy operacją zabiliby hrabiego. W zamku doszło do wielkiej awantury między Różą a Alfonsem, który przybył z Meksyku, zwyciężyła Róża. Niemiec wyleczył hrabiego. Z operował też oczy hrabiego, ale nadeszło nieszczęście, hrabia doznał pomieszania zmysłów i uważał, że jest Juanem Alimpo. Ten lekarz, stwierdził, że podano mu truciznę.

Hrabia Ferdynand złapał się za głowę:

— Ze mną też tak postąpiono, aby wywołać letarg. Teraz znam już cel, jaki przyświecał tym łotrom. Boże pomóż mi odzyskać wolność, bym mógł pomścić rodzinę i zniszczyć tych nikczemników!

— Ale powiedz Bernardo, nie można było mego brata uleczyć z tego obłąkania?

— Sternau by go wyleczył, ale pewnej nocy hrabia zniknął. Na dzień leśnej rozpadliny znaleziono roztrzaskane zwłoki. Doktor Sternau stwierdził, że to nie hrabia Emanuel, z pewnością odkryłby całą prawdę, ale pewnego dnia zniknął. Róża oszalała, podobnie jak ojciec. Zwłoki hrabiego pochowano, a Różę oddano do klasztoru pod opiekę Klarysy. Mój wuj, ten dominikanin dowiedział się wszystkiego od Alimpo, wyśledził, że Sternau jest uwięziony w Barcelonie i pomógł mu w ucieczce. Ten porwał hrabiankę z klasztoru i uciekli do Niemiec. Tam, jak już wspominałem wyleczył hrabiankę i pobrali się.

Panie hrabio, nam nadziei też nikt nie odebrał. Bóg jest miłosierny, na pewno nam pomoże, ale my też musimy coś zrobić. Musimy działać.

— Masz rację — rzekł hrabia podnosząc się z klęczek. — Musimy pomyśleć, w jaki sposób się stąd wydostać.

Rozważywszy wszystkie możliwości ucieczki, doszli do przekonania, że będzie ona możliwa jedynie z lochu Bernarda.

— Czy nie moglibyśmy zaraz przystąpić do działania? — spytał Bernardo.

— Niestety, dziś jest już za późno. Rano odkryto by naszą ucieczkę i zaraz rozpoczęto pościg. Wtedy bylibyśmy zgubieni!

— Ale już teraz możemy spróbować, czy uda nam się poruszyć kamień zamykający otwór mojej celi.

— Tak masz słuszość. Jeżeli nam się to uda, będziemy przynajmniej spokojni, że w każdej chwili możemy próbować ucieczki. Jeżeli zaś nie, będziemy szukali innej drogi.

— Przejdźmy więc do mojej celi. Idę pierwszy.

Zaczął wdrapywać się po murze, hrabia poszedł za jego przykładem. Bez trudu udało im się dotrzeć do drugiego lochu, który miał taką samą szerokość i głębokość, co nora hrabiego. Półtora metra nad ziemią w murze widniał korytarz. Aby się tam dostać, musieli wspiąć się na ścianę. Gdy znaleźli się w korytarzu, bez specjalnego wysiłku, po kilku krokach stał się trochę szerszy, doszli do kamiennej płyty, zamykającej drogę do wolności.

— No, teraz się okaże, czy damy radę — powiedział Bernardo. Było sporo miejsca, więc mogli stanąć obok siebie, mocno oprzeć się nogami o ziemię i z całych sił starać się poruszyć płytę. Z początku szło ciężko, ale po kolejnym pchnięciu płyta przesunęła się w bok i powstał nieduży otwór, przez który mogli ujrzeć piękne, rozgwieżdżone niebo.

— Chwała niech będzie Najwyższemu! — szepnął hrabia. — Jakże cudowne jest to świeże powietrze w porównaniu z ohydny smrodem na dole! Mam wrażenie, jakby gwiazdy uśmiechały się do nas i błogosławiły nasz plan. Czy umiesz z gwiazd poznać, która jest godzina?

— Tak. Jest już po północy.

— Czyli, na ucieczkę jest za późno. Jak cicho i spokojnie dokoła! Harar pogrążony jest w głębokim śnie. Przed domem hadzi stoją jeszcze worki pełne daktyli, dzisiaj je dostał. Poznaję je.

— Worki z daktylami? — zapytał Bernardo. — Gdybym mógł choć kilka zabrać. Przez cały dzień nic nie jadłem.

Hrabia wychylił głowę przez otwór i uważnie się rozejrzał.

— Właściwie wychodząc stąd popełnimy wielką nieostrożność — rzekł. — Musimy jednak pamiętać o tym, że jutro czeka nas wielki wysiłek. Co do mnie, to pragnienie mam większe niż głód, a wiem, że pod dachem wisi skórzana torba napełniona wodą. Bernardo, ryzykujemy?

— A dlaczego nie? Kto nas teraz zobaczy?

— Zgoda! Podnieśmy kamień i wydostaniemy się na zewnątrz.

— Na wszelki wypadek wezmę nóż.

Zszedł na dół. Wkrótce wrócił, trzymając nóż w zębach. Znowu oparli się o kamień i odsunęli go na bok. Kiedy wyszli, przypadli do ziemi i zaczęli się czołgać w kierunku domu, pod którego dachem stały worki z daktylami. Nad nimi wisiał worek z wodą, o którym mówił hrabia. Teraz hrabia zbliżył się, chcąc ugasić pragnienie, ale towarzyszący mu współwięzień powstrzymał go:

— Nie teraz, senior, później! Ten wór jest nam bardziej potrzebny niż hadziemu. Proponuję byśmy go raczej zabrali. Czy ma pan w swej koszuli kieszeń, bo chodzi o to, byśmy zabrali parę daktyli... Aha, tu wisi sznur, będzie nam pomocny.

— O świcie wykryją kradzież.

— I co z tego? — Bernardo zarzucił sobie na plecy worek pełen daktyli. — Przecież nas nikt nie będzie podejrzewał, nawet nie pomyśla, że mogliśmy się wydostać z lochu.

Po tych słowach pobiegł szybko do lochu. Hrabia chcąc nie chcąc, uczynił to samo i porwał worek z wodą.

Najpierw spuścili na dół swe zdobycze, potem zeszli sami. Zaspokoiли głód i pragnienie, po czym znowu wrócili na górę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Mogli tam siedzieć, póki miasto spało. Gdy usłyszeli dochodzący z dali gwar umieścili płytę na właściwym miejscu i zsunęli się do lochu.

— Czy zostaniemy razem, senior? — zapytał Bernardo.

— Nie. Po co igrac z losem. Być może, zechcą zobaczyć któregoś z nas. Wracam do mojej celi. Na wszelki wypadek wstawmy też kamienie, w otwór między naszymi lochami.

NIEWOLNICA

Podczas gdy Halef czekał pod bramą miejską, strażnik udał się do sułtana, aby go zameldować. Wszedł do środka w chwili, w której odprowadzano do więzienia hrabiego Rodrigandę. Przystąpił próg sali. Sułtan wciąż jeszcze siedział na ławie. Twarz władcy była ponura, gniew jaki wywołał krnąbrny niewolnik nie minęła jeszcze. Kto go znał wiedział, że w takiej chwili niebezpiecznie było się do niego zbliżać. Zmierzył strażnika ostrym wzrokiem i zapytał:

— Czego chcesz o tak późnej porze?

Zapytany padł na ziemię, po czym uniósł nieco głowę i odrzekł:

— Przed bramą stoi goniec i domaga się aby go wpuszczono.

— Kto go przysłał?

— Emir Arafat.

— Arafat? Nareszcie wrócił. Długo kazał na siebie czekać! Kim jest goniec, którego przysłał?

— Somalijczyk.

Sułtan aż zatrząsł się z gniewu.

— Somalijczyk? I śmiesz psie niepokoić mnie, z powodu jakiegoś Somalijczyka?! Niech Allah będzie dla ciebie litościwy. Zbliź się!

Strażnik przyczołgał się do ławy, aż głowa jego dotknęła stóp sułtana.

— Uklęknij! — rozkazał sułtan.

Biedak już wiedział, co go czeka. Władca Hararu miał bowiem zwyczaj ostrym nożem zadawać uderzenia w kark tym, którzy wzbudzili jego gniew. Jeżeli cios trafił w szyję, ofiara umierała natychmiast.

Jeżeli był mniej celny, trafiony uchodził wprawdzie z życiem, ale rana była dotkliwa i bolesna, po której najczęściej pozostawało się ze sztywnym karkiem. W Hararze i okolicy spotykało się wielu okaleczonych ludzi. Była to pamiątka po gniewie władcy, który życie poddanych cenił mniej niż muchy.

Strażnik klęknął, zamknął oczy i nadstawił kark. Sułtan wyciągnął nóż, zamierzył się i uderzył. Cios był bardzo silny, strumień krwi trysnął z rany, strażnik runął na ziemię.

— Taki los musi spotkać wszystkich, którzy są nieposłuszni! — zawołał sułtan, potem zapytał kata, który wrócił z więzienia: — Czy w dobrym miejscu umieściłeś jeńca?

— Tak panie — odparł kat i padł plackiem przed władcą. — Wepchnąłem go do najgorszego lochu. Będzie miał straszną przeprawę ze szczurami, a ucieczka jest niemożliwa.

— Doskonale! Jesteś posłusznym sługą, więc nagroda cię nie minie. Zajmiesz miejsce strażnika. Urząd twój rozpoczyna się od tej chwili. Idź przed bramę i powiedz temu przekłętemu Somalijczykowi, by go Allah potępił. Niechaj wraca do swego pana i zamelduje, iż oczekuję jego podarków w dwie godziny po nastaniu świtu. Teraz nie może wejść do miasta żaden mieszkaniec Hararu, a co dopiero Somalijczyk.

— Czy mam emira wpuścić natychmiast, gdy się zbliży?

— Nie. Pomyślałby, że nie mogę się go doczekać. Niech przez całą godzinę stoi pod bramą. I tak okazuję temu psu łaskę, że mu w ogóle pozwalam wejść do miasta.

Halef był przekonany, że sułtan przyjmie go zaraz, toteż zdziwił się niezmiernie, gdy nowo mianowany strażnik powiedział do niego:

— Wróć do swego pana i przekaż mu, że nasz władca nie chce cię widzieć.

— Allah jest wielki! A to dlaczego?

— Bo pogardza waszym szczepem. Strażnik, który spytał, czy może cię wpuścić, poniósł za to śmierć. Jestem jego następcą.

— Powiadasz, że mam wrócić do swego pana? Powiadasz, że sułtan pogardza szczepem Somalii?! — pieniał się Halef. — A czy wiesz o tym, że ja nie mam żadnego pana?! My, Somalijczycy jesteśmy ludźmi wolnymi, a wy nikczemnymi parobkami i niewolnikami!

Życie wasze należy do tyrana. Zabiera je, gdy mu na to przyjdzie ochota! Powiada, że nami pogardza. A mimo to kupuje nasze towary!

Wsiadł na wielbłąda i odjechał.

Wkrótce miasto pogrążyło się we śnie. Spali wszyscy z wyjątkiem naszych dwóch jeńców i rodziny zabitego strażnika.

Następnego ranka, w dwie godziny po nastaniu świtu, do nowego strażnika przybiegł sługa sułtana.

— Czy karawana już jest? — zapytał.

— Jeszcze nie.

— Nasz pan cię wzywa.

Strażnik zbladł ze strachu. Musiał jednak słuchać rozkazu. Sułtan siedział już na swym drewnianym tronie. Strażnik padł plackiem, by wysłuchać słów władcy. Obok sułtana stało kilku możnych.

— Czy emir Arafat przybył z podarunkami?

— Jeszcze nie, panie.

— Dlaczego ten pies zwleka? Czy nie powiedziałaś jego słudze, że oczekuję go w dwie godziny po wschodzie słońca.

— Nie, nie starczyło mi czasu — wymamrotał przerażony strażnik, drżąc przy tym na całym ciele.

— Dlaczego, ty psie! Ty psi synu? — ryknął tyran.

— On zbyt szybko odjechał.

— Więc przez ciebie nam czekać? Allach jest wielki i sprawiedliwy. Co człowiek daje, to otrzymuje z powrotem. Jako kat pozbawiłeś życia wielu ludzi, teraz zaś sam rozstaniesz się ze swoim. Chodź tutaj!

Powtórzyła się scena z poprzedniego wieczora. Po kilku chwilach strażnik leżał na ziemi z przebitą szyją. Wyznaczony na jego miejsce następca pospieszył ku bramie.

Sułtan był wściekły, ale chciał jak najszybciej zobaczyć jakie podarki ma dla niego emir Arafat.

Emir przybył dopiero w południe. Sułtan nie kazał mu czekać przed bramą, lecz wydał rozkaz wpuszczenia go natychmiast i wprowadzenia do pałacu. Arafat zjawił się wkrótce. Towarzyszyło mu pięć osób, które eskortowały wielbłąda objuczonego podarunkami dla sułtana. Przed salą audiencyjną musieli odłożyć broń i zdjąć obuwie.

Władca przyjął ich obcesowo.

— Dlaczego nie padacie na kolana? — zawołał.

— Padamy na kolana tylko przed Allachem — odpowiedział dumnie emir.

— Dlaczego przybywasz tak późno?

Pytał tak niegrzecznym tonem, że emir odparł z gniewem:

— Bo mi się tak podobało.

— Powinieneś postępować według mej woli, a nie swojej. Czy wiesz, że przez twoje postępowanie zabiłem dwóch strażników?

— To nie moja wina. Przyjechałem jako kupiec, a nie awanturnik i nie po to, abyś mnie bezkarnie obrażał.

— Usta masz zuchwałe. Czy cię obraziłem?

— Kto poniżej posłańca, ten dotyka również jego pana. Powiedz sułtanie, czy chcesz przyjąć podarki i ubić ze mną interes? Jeżeli nie, to odjeżdżam.

— Co masz dla mnie tym razem?

— Jedwabie i chusty, miedź, ołów, żelazo, proch, papier i cukier.

- A czego żądasz w zamian?
- Kości słoniowej, tytoniu, kawy, szafranu, masła, miodu i gumy.
- Zobaczę. Pokażcie podarki!

Wyłożono je przed sułtanem. Ten, gdy zobaczył dwa rewolwery, to aż oczy mu się rozjaśniły.

— Ta broń jest pożyteczna — rzekł. — Wiem jak się z nią obchodzić i wiem, że z braku amunicji staje się bezużyteczna. Był tu raz jeden Anglik, który mi ofiarował pistolet. Nauczył mnie, jak się z nim obchodzić. Zaledwie odjechał, wyczerpały się naboje i pistolet jest zabawką.

— Mam dużo nabojów — zachwalał emir swój towar. — Mogę ci sprzedać wszystkie.

— Co? Mam to kupować? Darujesz mi broń, a naboje każesz kupować? Czy nie wiesz, że naboje należą do rewolweru?

— Wcale nie. Musiałem w Adenie zapłacić za nie masę pieniędzy. Mam jeszcze inne naboje do dwóch pięknych strzelb, które mogę sprzedać. Takich strzelb jeszcze tu nie było. Są to amerykańskie dwururki.

— Przynieś je! — rozkazał sułtan.

— Przyniosę razem z innymi towarami, jeśli mi tylko powiesz, że jesteś zadowolony z podarków i rozpoczniemy pertraktacje.

Sułtan jeszcze raz obrzucił dary chciwym spojrzeniem.

— Jestem najpotężniejszym władcą wszystkich krajów. Wielki sułtan nie zasługuje na tak marny haracz, ale Allah jest litościwy, więc i ja chcę być łaskawy. Przynieś, co masz. Najpierw ja poczynię zakupy, później niechaj moi ludzie kupują.

— Idę, ale mylisz się twierdząc, że nie mam nic godnego ciebie. Mam coś, czego nie posiada żaden książę, żaden sułtan.

— Co takiego?

— Niewolnicę.

— Wszystkie kobiety, czy to matki, czy córki, należą do mnie i mogę wśród nich wybierać wedle upodobania.

— Masz rację. Ale takiej dziewczyny, jaką teraz przywiozłem, nie ma w całym Hararze.

— Czy to Nubijka?

— Nie.

— Abisynka?

— Także nie. Należy do białej rasy — oznajmił emir dobitnie.

Sułtan aż zakłaskał z radości.

— Na Allacha! To Turczynka!

— Turczynka kosztowałaby najwyżej pięćset talarów, ta zaś jest warta tyle samo, ale tysięcy.

Sułtan zerwał się z ławy i zawołał.

— Jest białą chrześcijanką, niewierną?

Trzeba pamiętać, że w tych stronach europejską niewolnicę uważano za skarb najcenniejszy, trudny do opłacenia.

— Tak — potwierdził emir. — To chrześcijańska branka.

— Czy jest bardzo biała?

— Jak kość słoniowa.

— Piękna?

— Żadne hurysy nie mogą się z nią równać.

— Niska?

— Przeciwnie, wysoka i zgrabna jak palma, która rodzi złote owoce. Widać było, że zainteresowanie sułtana rośnie z każdą chwilą.

— Opisz ją! — rozkazał. — Jakie ma ręce?

— Drobne i delikatne. Paznokcie jej błyszczą jak liście róży.

— A usta?

— Wargi ma jak granaty, zęby lśnią wśród nich jak perły. Kto ją całuje, temu grozi niebezpieczeństwo zapomnienia o życiu, o świecie, o samym sobie.

— Na Allacha, całowałeś ją? — zaniepokoił się sułtan, że niewolnica mogła wcześniej należeć do haremu innego.

Emir z trudem ukrył uśmiech zadowolenia. Już wiedział, że będzie mógł swój towar wycenić bardzo wysoko.

— Mylisz się. Jeszcze żaden mężczyzna nie całował tej dziewczyny.

— Czy jesteś tego pewien?

— Tak. Trudno całować, gdy nie można się porozumieć.

— O Allachu, czyżby była głuchoniema?

— Skądże! Jej mowa brzmi jak śpiew słowika, ale nie jest w stanie zrozumieć nawet słowa.

— Co to za język?

— Nie wiem, nigdy przedtem go nie słyszałem. Wiem jak mówią Arabowie, Somalijscy, mieszkańcy Hararau, Hindusi, Malajczycy, Turcy, Francuzi i Persowie; ten język jednak jest zupełnie inny.

— Skąd wzięłaś tę dziewczynę?

— Spotkałem na Cejlonie Chińczyka, handlarza młodymi kobietami. Dałem za nią dużo pieniędzy, bo gdy tylko ją zobaczyłem, to od razu pomyślałem o tobie.

— Idź i sprowadź niewolnicę wraz z resztą towaru, byle szybko!

Emir wyszedł ze swymi ludźmi.

Wiadomość o przybyciu karawany spowodowała, że mieszkańcy Hararu wyszli z domów, ale plac przed pałacem był pusty. Wszyscy wiedzieli, że mogą rozpocząć zakupy dopiero wtedy, gdy skończy je sułtan.

Po niedługim czasie cała karawana przekroczyła bramę miasta. Minawszy uliczki, zatrzymano się na placu przed pałacem. Zdjęto pakunki ze zwierząt, tylko wielbłąd z lektyką wciąż dźwigał swój ciężar. Rozpostarto dywany i rozłożono na nich towary. Zjawił się sułtan. Był zupełnie sam, gdyż zakupów zawsze dokonywał bez asysty.

— Gdzie niewolnica? — zapytał od razu.

— Tam, w lektyce.

— Chcę ją zobaczyć.

Handlarz pokręcił głową.

— Najpierw martwy towar; później żywy.

— Jestem władcą w Hararze! Chcę ją widzieć! — zawołał rozgniewany.

— A ja jestem władcą moich rzeczy! — Arafat nie dał się zbić z tropu. — Tylko ten, kto kupi dużo towaru, będzie mógł zobaczyć niewolnicę. Jeśli się do tego nie dostosujesz, odjadę.

— A jeżeli cię zatrzymam?

— Mnie, w jaki sposób? Może weźmiesz mnie do niewoli?!

— Tak, właśnie to zrobię.

— Tysiące Somalijszyków i Arabów przyjdą, by mnie uwolnić.

— Znajdą tylko twego trupa. Otwórz lektykę!

— Później.

— Dowiodę ci, że jestem tu władcą!

Zrobił kilka kroków w stronę lektyki. Emir zagroził mu drogę.

— Wiem, że jesteś potężniejszy ode mnie — powiedział spokojnie. — Nie mogę cię uderzyć, ale mam prawo rozporządzać moją własnością. Jeżeli otworzysz lektykę i spojrzysz na niewolnicę, strzelę jej prosto w głowę.

Wyciągnął pistolet i położył palec na spuście. Sułtan zrozumiał, że to nie przelewki.

— No, dobrze. — mruknął — Ale ostrzegam cię, żebyś nie wystawiał mojej ciekawości na nową próbę, bo srodze tego pożałujesz. Pokaż rzeczy!

Towary oglądał nieuważnie, decydował się szybko i targował mało. Ożywił się dopiero na widok dwururek z dużym zapasem amunicji. Cena była wysoka, ale mimo wszystko zdecydował się. Nie musiał jednak wypłacać od razu całej kwoty, ponieważ emir miał w zamian otrzymać towary. Wyrównanie różnicy odłożono na później. Kupiec był bardzo zadowolony. Osiągnął sumę o wiele wyższą, gdy tylko sułtan zaczął ponownie nalegać, aby mu pokazano dziewczynę. Chciał jednak aby ceremonia odbyła się wewnątrz pałacu. Gdy sułtan klasnął w dłonie natychmiast zjawiała się służba. Poleciał zabrać zakupione towary, a czterech pachotków zdjęło lektykę z wielbłąda i zaniósło ją do sali przyjęć. Gdy został sam z emirem zawołał:

— Teraz otwieraj!

Emir odsunął firanki, a sułtan ujrzał kobietę, ubraną w białe, zwiewne szaty; twarz miała zasłoniętą podwójnym welonem. Rozkazał emirowi, by go zdjął. Tak białej, delikatnej i pięknej twarzy nie widział nigdy w życiu! Zerwał się na równe nogi i zawołał rozkazującym tonem:

— Niech wyjdzie z lektyki!

Emir dał znak niewolnicy. Gdy go nie zrozumiała czy też zrozumieć nie chciała, ujął ją za rękę i wyprowadził. Stała teraz przed nimi wysoka i smukła, drżąca ze strachu, a jednak wyniosła jak księżniczka. Przeźroczysta suknia dawała poznać całą jej postać. Przez delikatne oczka przeświecało olśniewająco białe ciało.

Sułtan poczuł, że dłużej nie może nad sobą panować. Wypłacił emirowi za niewolnicę pięć tysięcy talarów. Gdy ten oddalił się, złożony głęboki ukłon, sułtan ujął dziewczynę za rękę i przeprowadził ją przez kilka komnat, jeżeli tak można nazwać izby jego siedziby. Kiedy doszli do zaryglowanych drzwi otworzył je i znaleźli się w obszernym pokoju, który zamiast okna miał niewielki, wąski otwór, przepuszczający bardzo mało światła. Na wszystkich ścianach wisiała kosztowna broń i bogata odzież; trzy obstawione były skrzyniami i pakami. Z sufitu zwisała wielka lampa oliwna. Był to skarbiec sułtana. Pod czwartą ścianą stała obita perskim dywanem otomana, jakby przeznaczona dla piękności tak szczególnej jak biała niewolnica. Gestem ręki poleciał jej, by usiadła. Usłuchała. Zaczął mówić do niej w różnych znanych sobie językach. Nie rozumiała jednak ani słowa. Tylko patrzyła na sułtana i od czasu do czasu kiwała głową.

— Co robić? Co robić? — denerwował się sułtan. Wreszcie wpadł na pomysł. Jest przecież chrześcijanką. Chrześcijaninem jest również niewolnik, którego wczoraj kazał wtrącić do lochu. Twierdzi, że był księciem. Z pewnością więc mówi wszystkimi językami niewiernych.

— Zrobię go moim tłumaczem.

Podszedł do skrzyń i zaczął je otwierać. Chciał olśnić dziewczynę swym bogactwem. Ujrzała stosy złota i srebra, monet i drogich kamieni. Wystarczył rzut oka, aby przekonać się, że nagromadzono tu skarby milionowej wartości. Kiedy ona przyglądała się im w milczeniu, sułtan sycił się jej urodą.

Po pewnym czasie wyszedł i osobiście przyniósł dziewczynie posiłek. Postanowił ukryć ją w skarbcu, aby uniknąć swarów i scen zazdrości ze strony swych nałożnic. Kiedy zjadła, zamknął skrzynie i oddalił się. Chciał jak najszybciej sprowadzić tu chrześcijańskiego niewolnika.

Don Fernando rozmyślał w lochu o planowanej na wieczór ucieczce. Był już u kresu wytrzymałości. Wskutek ciasnoty nie mógł położyć się, a nawet usiąść w miarę wygodnie. W dodatku wstrętem napawały go ścierwa szczurów zalegające ziemię. Byłe do wieczora! — pocieszał się. Jak strasznie muszą się czuć jeńcy, skazani na przebywanie w takich norach do śmierci, bez promyka nadziei, wiary, pociechy!

Było chyba południe, gdy usłyszał, że ktoś odsuwa kamień zamykający wejście do celi.

— Czy ty jesteś tym starym niewolnikiem chrześcijańskim? — zapytał jakiś głos.

— Tak — odparł.

— Sułtan chce z tobą mówić. Czy szczury nie uszkodziły cię na tyle, że możesz chodzić?

— Spróbuję.

— Spuszczę ci drabinę.

Był to właściwie pień drzewa, po którym hrabia wydostał się na górę.

Znalazł się w wielkiej kamiennej celi, w której siedziało około dwudziestu skutych łańcuchami więźniów. Mocne drzwi zamykano od zewnątrz na rygiel. Stąd nie mogło być nawet mowy o ucieczce. Dziękował Bogu, że pozwolił mu spotkać Bernarda. Tylko z jego lochu można się było wydostać na wolność.

W świetle dnia zobaczył, jak strasznie pogryzły go szczury. Ciało miał pokryte ranami, koszulę całą w strzępach. Zaprowadzono go do sali przyjęć. Sułtan zadziwił go pytaniem:

— Czy wiesz, iloma językami mówią niewierni?

— Języków tych jest bardzo wiele.

— Czy znasz je?

— Najgłówniejsze. Wykształcony chrześcijanin posługuje się kilkoma, nie tylko ojczystym.

— Słuchaj więc, co ci powiem. Kupiłem białą niewolnicę. Mówi językiem nikomu tutaj nie znanym. Zaprowadzę cię do niej. Jeśli uda ci się z nią porozmawiać, zostaniesz tłumaczem. Spadnie na ciebie moja łaska i nie zgnijesz. Będziesz ją uczył mojego języka, aby mogła ze mną rozmawiać. Nie wolno ci jednak widzieć jej twarzy i źle mówić o mnie.

— Będę posłuszny — rzekł hrabia, składając ukłon.

Tysiące myśli przemknęło mu przez głowę. Niewolnica i do tego chrześcijanka? Azjatka czy Europejka? Jakim językiem mówi? Będzie się musiał rozstać z Bernardem. Może lepiej udawać, że nie rozumie języka niewolnicy? A może pomogą sobie wzajemnie?

— Chodź ze mną — rozkazał sułtan.

Gdy doszli do skarbcza, władca odryglował drzwi i wszedł do komnaty, by zasłonić twarz niewolnicy.

Dopiero wtedy wpuścił hrabiego do środka. Ten gdy wszedł obejrzał badawczo pomieszczenie. Od razu zorientował się, że w pakach i skrzyniach ukryte są skarby. Niewolnica leżała na otomanie, twarz miała zasłoniętą podwójnym welonem, przez który mogła patrzeć, sama nie będąc widziana. Gdy hrabia wszedł do środka, odwróciła w jego kierunku głowę i aż drgnęła.

— Mów z nią, chcę wiedzieć, czy znasz jej mowę — polecił sułtan.

Hrabia Ferdynand zbliżył się do kanapy. Z okna padło nieco światła na jego twarz. Kobieta znów drgnęła. Sułtan zauważył to, ale tłumaczył sobie, że była zaskoczona odwiedzinami obcego i w dodatku białego mężczyzny.

— *Quelle est la langue, laquelle vous parlez, mademoiselle?* — zapytał hrabia po francusku.

Uniosła głowę na dźwięk tych słów, ale nie odpowiedziała. Sądząc, że nie rozumie, zwrócił się do niej po angielsku:

— *Do you speak English perhaps, miss?*

— *Benito sea Dios!* — odparła wreszcie po hiszpańsku. — Rozumiem po angielsku i po francusku, ale mówmy po hiszpańsku.

Hrabia Rodriganda zdumiał się. Przeżycia nauczyły go jednak panowania nad sobą, zapytał więc obojętnym tonem:

— Na Boga, pani jest Hiszpanką? Proszę zachować spokój. Nie wolno nam niczym się zdradzić. Musimy być bardzo ostrożni.

— Dobrze, choć przyjdzie mi to z trudem. Ale czy to możliwe, czy mnie oczy nie mylą? Co za radość, co za szczęście, jeżeli się nie mylę!

— Co ma pani ma na myśli, seniorko?

— Jestem Meksykanką...

Teraz hrabia ledwo ukrył zdumienie. Przemógł się jednak i powiedział obojętnym tonem:

— Meksykanką! Seniorito, musimy uważać, bo ten tyran nie spuszcza z nas oczu. Ja również pochodzę z Meksyku!

— *Santa Madonna!* A więc się nie pomyliłam. Proszę mi powiedzieć, czy zna senior hacjendę del Erina?

— Bardzo dobrze, znam również poczciwego Arbelleza, jak miałbym nie znać mego najlepszego zarządcy?

— O Boże, a więc to prawda. Twarz pana wydaje mi się znajoma, głos również. Czy senior jest naszym ukochanym panem, hrabią Ferdynandem de Rodriganda?

Starzec panował nad sobą z wielkim wysiłkiem. Mimo to głos jego zadrżał.

— Zna mnie seniorita? Kim jesteś?

— Nazywam się Emma. Jestem córką Pedra Arbelleza.

Nastąpiła długa pauza. Przez ich serca przeszła fala uczuć. To cud, że się spotkali. Hrabia nie mógł rozpoznać rysów twarzy Emmy, usłyszał tylko, że głos jej się załamał przy ostatnich słowach. Płakała. I hrabia nie potrafiłby zapewne opanować cisnących się do oczu łez, gdyby sułtan nie przerwał brutalnie.

— Jak słyszę, rozumiesz jej mowę. Jaki to język?

— Pochodzi z kraju, którego tutaj nikt nie zna.

— Jak się nazywa ten kraj?

— Meksyk.

— Nigdy o nim nie słyszałem. Musi to być jakiś mały kraj.

— Przeciwnie, to bardzo duży kraj.

— Czy panuje tam sułtan?

— Nie. Tylko potężny król, który sprawuje rządy nad milionami mieszkańców.

Sułtan uśmiechnął się z powątpiewaniem. Nie słyszał nigdy o takim państwie i dlatego słowa hrabiego uznał za kłamstwo.

— Co powiedziała niewolnica? — zapytał.

— Że się cieszy, iż właśnie ty ją kupiłeś.

Twarz sułtana rozpogodziła się.

— Jakiego jest rodu?

— Jej ojciec był jednym z najdostojniejszych ludzi w swym kraju.

— Tego się domyśliłem. To bardzo piękna kobieta. Piękniejsza od kwiatu i jaśniejsza od słońca. W jaki sposób wpadła w ręce emira?

— O tym jeszcze nie mówiliśmy. Czy mam ją zapytać?

— Zapytaj! Powtórzysz mi później.

Hrabia zwrócił się do Emmy pozornie spokojny:

— A więc to ty, droga Emmo! Boże, w jakim stanie mnie spotykasz! Ale zostawmy to. Sułtan chce wiedzieć jak się tutaj dostałaś. Muszę mu odpowiedzieć.

— Jak się dostałam? Przecież nawet nie wiem, gdzie jestem.

— Kraj ten zwie się Harar, tak samo nazywa się miasto, w którym jesteśmy. Przed nami stoi sułtan, władca tego kraju. Ale odpowiedz najpierw na moje pytanie.

— Chińscy piraci porwali mnie na Cejlon. Tam zostałam sprzedana człowiekowi, który przywiózł mnie tutaj.

— W jaki sposób znalazłaś się w rękach Chińczyków?

— Płynęłam na tratwie po morzu przez wiele dni. Wreszcie zabrał mnie holenderski statek. Koło Jawy napadli na niego chińscy handlarze niewolnikami.

— Na tratwie? Jak się dostałaś na morze? Czy w pobliżu Meksyku?

— Nie, byliśmy wszyscy na odległej wyspie.

— Wszyscy? O kim mówisz, Emmo?

— No, wszyscy. Senior Sternau, Mariano, obaj bracia Helmerowie, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Karia, siostra Misteki.

— To dla mnie same zagadki. A największa to Sternau. Kim jest ten człowiek?

— Nie zna go hrabia? Ach, radość z naszego spotkania odebrała mi pamięć. Zapomniałam, że nic panu o tym wszystkim, co zaszło, nie wiadomo. Senior Sternau wyjechał z domu, aby odszukać pana, hrabio, i kapitana Landolę.

— Na Boga, więc to ten sam człowiek, o którym wczoraj opowiadał Bernardo! To lekarz, a moja bratanica Róża jest jego żoną, czy to prawda?

— Tak.

— Operował mego brata i przywrócił mu wzrok?

— Tak. Ale skąd pan wie o tym wszystkim, hrabio?

— Dowiesz się później. Patrz, sułtan się niecierpliwi. Jak dawno opuściłaś Meksyk?

— Około osiemnaście lat temu.

Córka hacjendera zmieniła się niewiele w ciągu tych kilkunastu lat. Tu, w Hararze, gdzie ludzie, a zwłaszcza kobiety, starzeją się niezwykle szybko, Emma mogła uchodzić za dwudziestoletnią dziewczynę.

Odpowiedź wywarła na hrabim ogromne wrażenie. Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

— Osiemnaście lat? Gdzie byłaś przez ten cały czas?

— Na wyspie.

— Na jakiej wyspie, Emmo?

— Zapominam ciągle, że pan o tym wszystkim nie ma pojęcia. Landola wziął nas w Guaymas do niewoli i wywiózł na bezludną wyspę. Tam właśnie żyliśmy przez te lata aż do chwili...

W tym momencie sułtan przerwał. Znudziło go w przysłuchiwanie się rozmowie.

— Nie zapominaj, że tu jestem. Co ci powiedziała dziewczyna?

— Kiedy pewnego dnia spacerowała po morskim wybrzeżu, schwytał ją i wziął do niewoli jakiś chiński pirat.

— I sprzedał ją później na Cejlonie emirowi?

— Tak.

— A więc to prawda. Czy jest kobietą czy dziewczyną?

— Dziewicą.

— Czy mówiła coś o mnie? Hrabia skłonił się nisko i rzekł:

— Jestem twym posłusznym sługą i przede wszystkim myślę o tobie, sułtanie. Dlatego skierowałem jej oczy na ciebie i prosiłem, by mi powiedziała, co jej serce czuje na twój widok.

Twarz władcy wyrażała błogie zadowolenie, a także zaciekawienie. Poglądził się po brodzie i spytał łagodnym tonem:

— Co ci odpowiedziała?

— Że jesteś pierwszym w ogóle mężczyzną, na którego zwróciła uwagę.

— Ale dlaczego?

— Albowiem twarz twoja pełna jest dostojeństwa i powagi kalifa, oczy zaś siły rozumu, a chód twój dumny. Oto jej słowa.

— Jestem z ciebie zadowolony, tak samo jak i z niej. Sądzisz więc, że odda mi serce i nie będę zmuszony zdobywać go siłą?

— Mężczyzna nigdy nie powinien zdobywać siłą miłości kobiety. Powinien być dla niej pobłażliwy i łagodny, a wtedy miłość zakwitnie sama jak roślina pod wpływem promieni słońca.

— Niewolniku masz słuszość. Okażę jej wiele łaskawości.

— Czy wiesz, o władco, że miłość najpierw powinna się przyoblec w słowa, zanim przerodzi się w czyn? Niewolnica tęskni za chwilą, kiedy będzie mogła pomówić z tobą w twoim ojczyzm języku. Chce powiedzieć ci sama, co czuje do ciebie.

— Niechaj życzeniu temu stanie się zadość. Mianuję cię jej nauczycielem. Kiedy będzie mogła mówić ze mną?

— To zależy od tego, kiedy rozpocznę naukę i ile godzin dziennie jej poświęcimy.

— Ta dziewczyna zawładnęła całym moim sercem. Nie mogę doczekać się kiedy mi sama powie, że chce zostać moją żoną. Dlatego rozkazuję ci przystąpić do nauki już od dzisiaj.

— Będę posłuszny, o panie!

— Czy trzy godziny dziennie wystarczą, niewolniku?

— Jeżeli będę mówił z nią trzy godziny dziennie, za tydzień niewolnica powie ci, że doznasz szczęścia. Ale kobiety takie jak ona nie przywykły do widoku mężczyzn nieodzianych. W takim stroju jak mój...

— Zaraz dostaniesz inną odzież, znacznie lepszą, i nie powrócisz już do lochu. Otrzymasz też, ile chcesz mięsa ryżu i wody.

— Dzięki ci, o panie.

— Nie mam czasu asystować przy nauczaniu. Wyznaczę eunucha, który będzie was strzegł. Chodź ze mną niewolniku!

— Czy mogę powiedzieć jej, co łaska twoja postanowiła?

— Powiedz.

Hrabia zwrócił się do Emmy:

— Niestety, muszę teraz odejść. Wkrótce pomówimy dłużej. Sułtan kazał mi uczyć cię jego języka. Będziemy spędzali razem trzy godziny dziennie. Musimy być cierpliwi. I jeszcze jedno: jest szansa uratowania się. Miałem zamiar uciec stąd dzisiaj wieczorem. Może plan ten jeszcze się powiedzie.

Kiedy wyszli z komnaty, sułtan polecił pierwszemu napotkanemu służącemu, by zdjął łańcuchy z nóg więźnia, dał mu porządną przyodziwek i pożywną strawę. Gdy hrabia przebrał się i posilił, sułtan wezwał go do siebie, a potem zaprowadził do skarbcza i zamknął za nim drzwi. Hrabia zastał Emmę na tym samym miejscu, naprzeciw niej siedział czarny eunuch. Murzyn wiedział, że starzec jest niewolnikiem; podniósł się na jego widok i rzekł wyniośle:

— Masz być jej nauczycielem?

— Tak — przytaknął hrabia.

— Ale pozostanie pod welonem.

— Oczywiście.

— Nie masz prawa jej dotknąć.

— Ani mi to w głowie.

— I nie masz prawa mówić z nią nic złego o nas.

— Skąd będziesz wiedział, czy mówię coś dobrego czy złego? Nie rozumiesz przecież naszego języka.

— Wyczytam to z twojej miny.

Murzyn nie był taki głupi na jakiego wyglądał. Rozłożył obok niewolnicy koc i zwrócił się do hrabiego.

— Oto twoje miejsce. Tak rozkazał sułtan. Siadaj i zaczynaj!

— Czy lekcja ma trwać trzy godziny? — zapytał hrabia.

— Tak..

— Jak to określisz?

— Za pomocą tego oto zegara.

Z fałdów swego ubrania wyciągnął klepsydrę. Hrabia rozpoczął:

— Droga Emmo, możemy teraz mówić z sobą przez trzy godziny.' Murzyn nas nie rozumie i nikt nam nie będzie przeszkadzał. Musimy tylko pozorować lekcję. Dlatego od czasu do czasu wymienię jakiś wyraz w ich języku i będziesz go musiała powtórzyć. A teraz do rzeczy. Żyliście wszyscy razem przez osiemnaście lat na bezludnej wyspie?

— Tak. Gdy nas na nią wysadzono, była bezludna i pusta. Udało nam się jednak ją zalesić. Cały nasz wysiłek szedł w tym kierunku, by zdobyć drewno na budowę łódki bądź tratwy.

— Ale co było wcześniej?

Emma zaczęła opowiadać. To, czego się dowiedział przejęło hrabiego do głębi i wyjaśniło mu wiele spraw. Dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, jakim łotrem był Kortejo, upewnił się, że Alfonso nie jest jego bratankiem i wierzył, że to Mariano jest owym zamienionym chłopcem. Całą siłą woli opanowywał się, aby zachować całkowicie obojętną twarz. W pewnej chwili przerwał Emmie i powiedział kilka zdań w narzeczu sułtana. Wy tłumaczywszy ich znaczenie, kazał dziewczynie nauczyć ich na pamięć. Było to coś w rodzaju „Jesteś wielkim władcą, jesteś rozkoszą kobiet, widok twój napełnia radością mą duszę, bądź litościwy, a pokocha cię me serce”.

Emma doszła w swej opowieści do chwili, w której wylądowali na wyspie.

— Gdzie ona leży? — zapytał hrabia.

— Nie mieliśmy pojęcia. Dopiero po upływie wielu lat udało się Sternauowi z obserwacji gwiazd i innych znaków, ustalić, że jesteśmy na czterdziestym stopniu szerokości geograficznej, o jakieś sto dwadzieścia dwa stopnie na zachód od południka Ferro i o sto trzysta pięć stopni na południe od wyspy Stero, a do Wyspy Wielkanocnej — piętnaście stopni na południe i trzysta pięć na wschód i że moglibyśmy dotrzeć do niej, gdybyśmy mieli dosyć drzewa do zbudowania tratwy.

— Co za tragedia! Ratunek był tak blisko, a jednocześnie tak daleko!

— A zresztą, gdybyśmy nawet mieli budulec, brakowało nam narzędzi do jego obróbki. Dopiero z biegiem czasu udało się nam tak wyostrzyć odłamki raf koralowych, że mogły zastępować siekiery i noże. Obcinaliśmy dolne gałęzie krzaków, które rosły na wyspie, i w ten sposób wyhodowaliśmy drzewa.

— A czym się żywiliście?

— Najpierw korzeniami, owocami i jajami. Odkryliśmy również rodzaj muszli, których zawartość przypominała ostrygi. Później zaczęliśmy wyrabiać sieci i wędkę, do połowu ryb. Nauczyliśmy się robić strzały i wiązać łuki, aby strzelać do ptactwa. Poznaliśmy na wyspie pewien rodzaj królików; stały się naszym przysmakiem.

— Przysmakiem? Przypuszczam, że Landola nie zostawił wam krzesiwa.

— Och, ogień zdobyliśmy bardzo szybko. Sternau zwiedził sporo krajów, których ludność krzesłała go z dwóch kawałków drewna.

— A jak było z ubraniem?

— Zniszczyły się jeszcze na statku; odzież mężczyzn przegniła niemal zupełnie. Nauczyliśmy się więc wyprawiać i zszywać skórki królicze. Mieszkania mieliśmy bardzo prymitywne: lepianki z otworami zamiast okien. Kawalerowie jadaliby małżeństw.

— U małżeństw? Ach, rozumiem — uśmiechnął się po chwili. — Niedźwiedzie Serce wziął za żonę Karię, córkę Misteków. Indianie zawierają małżeństwa bez żadnych ceremonii. A to drugie małżeństwo?

Milczała przez chwilę. Gdyby hrabia mógł dojrzeć jej twarz pod welonem, zauważyłby, że się zaczerwieniła.

— Ach, panie hrabio — odezwała się wreszcie — Niech pan uświadomi sobie nasze położenie! Byliśmy samotni i zdani tylko na siebie. A kochaliśmy się tak bardzo, ja i Antoni. Postanowiliśmy zostać mężem i żoną. Reszta towarzyszy niedoli aprobowała naszą decyzję. Wierzyliśmy, że gdy tylko odzyskamy wolność ksiądz pobłogosławi nasz związek.... Czy ja go jeszcze zobaczę, a innych? Jakże się musieli przerazić, kiedy nie wróciłam!

— O straszna to była chwila, bardzo straszna!... Udało nam się wreszcie wyhodować wysokie drzewo, z którego mogliśmy zbudować statek. Kosztowało nas to wiele trudu. Zaopatrzyliśmy go w ster i maszt, a ze skór królików uszyliśmy żagle. Był gotów do odplynięcia. Pewnej nocy obudziło mnie wycie. Zerwała się ogromna burza. Pomyślałam o zapasach żywności, które znajdowały się na tratwie i chciałam sprawdzić czy jest dobrze przymocowana. Antonio napracował się w ciągu dnia i nie chciałam go budzić, sama poszłam na brzeg. Widzę jak tratwa ulatuje to w tę i ową stronę, miotana gniewnymi falami. Lina była z

króliczych skórek, mogła łatwo się urwać. Na tratwie leżała druga taka sama. Miałam wrócić obudzić tamtych? Tymczasem statek mógł się zerwać. Rzuciłam się na tratwę, aby zabrać drugą linę, ale zaledwie stanęłam na nim, ogromna fala porwała tratwę i... mnie. Po chwili płynęłam pędzona gwałtownym pędem po burzliwym morzu, straciłam świadomość.

Słyszałam jak we śnie, morze szumiące, słyszałam gromy, widziałam błyskawice. Kiedy przyszłam do siebie świeciło już słońce, deszcz ustał, morze się uspokoiło. Żywność była nienaruszona. Jak ta łupina była w stanie przetrwać orkan, doprawdy nie wiem. Naokoło mnie była tylko woda! Płakałam i modliłam się dopóki nie nadeszła noc, potem zapadłam w głęboki sen. Straciłam poczucie czasu. Nagle pomyślałam o sterze i żaglach. Wiatr pędził mnie w kierunku wschodnim, zaczęłam żeglować na zachód. Teraz wiem, że powinnam uczynić odwrotnie. Z całych sił naciągnęłam żagle. Dniem stałam przy sterze, a nocą przywiązywałam się do niego. Tak minęło piętnaście dni i nocy.

Szesnastego dnia ujrzałam statek, mą tratwę spostrzeżono także. Odbiła łódź, wzięto mnie na pokład. Był to okręt holenderski płynął do Batawii. Dowiedziałam się od kapitana, że znajdujemy się między Karolinami i wyspami Pelewskimi. Sądził, że burza musiała pędzić tratwę z nadzwyczajną szybkością na zachód. Kapitan kazał okrętowemu krawcowi uszyć dla mnie suknię i pocieszał mnie, że w Batawii znajdę z pewnością pomoc. Kiedy później przepływaliśmy koło Sunda, napadł nas jeden z chińskich korsarzy. Zwyciężył i pozabijał całą załogę, mnie jedną oszczędził. Resztę hrabio już pan zna. Sprzedano mnie na Cejlonie i dostałam się tutaj. Czas mamy ograniczony, dlatego też opowiedziałam wszystko bardzo krótko. Kiedyś opowiem dokładniej.

Hrabia przytaknął.

— Dziecko, Bóg nas nie opuści.

— Oby! Raczej umrę, niż dam się dotknąć temu sułtanowi.

— Nie umrzesz, ani nie będziesz jego. Tej nocy uciekamy.

— Naprawdę? — zapytała.

— Tak. Umówiłem się z dawnym ogrodnikiem Rodrigandów, który razem ze mną siedział w podziemiu, że uciekamy wieczorem.

— Ale jak to uczynicie?

— Powiedziałbym ci, ale patrz, eunuch obraca klepsydrę już po raz drugi. Nasz piasek niedługo się wysypie.

— A ja nie słyszałam nic o pańskich losach.

— Później znajdzie się czas na to. Mamy jeszcze tylko parę minut. Musimy go wykorzystać na powtórzenie słów, które się nauczyłaś. Dzisiaj wieczorem przyjdziemy po ciebie. Gdyby była jakaś przeszkoda, to przyjdę jutro na dalszą lekcję.

Powtórzył z nią tych parę zwrotów, na które eunuch z zadowoleniem przytakiwał głową. Ledwie godzina trzecia minęła, podniósł się ciężko i rzekł tonem rozkazu:

— Czas minął. Chodź za mną!

Hrabia posłuchał. Nie doszli jednak do drzwi, kiedy się otwarły i wszedł sułtan.

— Allah, ale jesteście punktualni! — rzekł zadowolony, a zwracając się do eunucha zapytał: — Słyszałeś wszystko?

— Wszystko o panie — odparł.

— Mówił dobre, czyste rzeczy?

— Tylko dobre, bardzo dobre.

Sułtan kiwnął głową radośnie, a zwracając się do Emmy spytał:

— Powiedz mi otwarcie, za kogo mnie uważasz?

Hrabia kiwnął głową, a ona odpowiedziała formułą pierwszą:

— Jesteś wielkim księciem.

Sułtan pokiwał głową, uśmiechając się bardzo uprzejmie i zapytał:

— Umie więcej?

- Zapytaj ją czy uważa cię za przyjemnego.
- Jak sądzisz, czy kobieta może mi się opierać?
- Jesteś rozkoszą kobiet — brzmiała odpowiedź z pod welonu.
- Zapytaj ją czy czuję tę rozkosz! — ciągnął dalej hrabia.
- Czy jestem także twoją rozkoszą?
- Twój widok pokrzepia moją duszę!

Widać było po sułtanie, że był zachwycony wynikiem. Poklepał niewolnika po ramionach, pokiwał z uznaniem głową i rzekł:

— Jesteś najlepszym nauczycielem, jakiego widziałem! Ta niewolnica stanie się jeszcze dzisiaj moją żoną, ty zaś będziesz wynagrodzony, nie jako niewolnik, tylko jako swat!

— Panie, nie tak szybko! — prosił hrabia. — Pomyśl tylko, że jej serce myśli jeszcze o rodzinie i że dopiero dzisiaj stała się twoją własnością. Bądź cierpliwy jeszcze parę dni i daj jej trochę spokoju. Im bardziej będziesz bardziej uprzejmy, tym łatwiej zdobędziesz jej serce.

Sułtan zwrócił się do Emmy i zapytał:

- Prawda to, że tego ode mnie pragniesz?
- Bądź łaskawszym, a serce moje kochać cię będzie. — brzmiał ostatni wyuczony zwrot.
- Ona mnie kocha, ona chce mnie kochać! — zawołał sułtan. — Uczynię to o co mnie prosi. Ty zaś będziesz mieszkał w moim drugim pałacu, którego nie śmiesz opuszczać, zawsze masz być pod ręką.

Don Ferdynand otrzymał izbę z matą, która służyła mu za krzesło i łożo. Sułtan przysłał swojemu słudze fajkę i tytoń. Hrabia jednak ciągle myślał o ucieczce.

Przed zapadnięciem nocy przyprowadzono najlepsze wielbłądy i wpędzono do stajni. Hrabia zbliżył się do poganiacza i zapytał:

- Dlaczego te zwierzęta nie pozostały na pastwisku?
- Sułtan jedzie juro przed obiadem ze swoją najstarszą żoną do jej rodzica, gdzie ona pozostanie jakiś czas. Mam mieć przygotowane dwa siodła, lektykę i inne niezbędne w podróży rzeczy.

Hrabiemu jakby ktoś coś podarował. Przygotowana do podróży karawana. Wspaniale.

- Może ci dopomóc? — zapytał don Ferdynand.
 - Dobrze. Jestem zmęczony i chętnie bym pospał — odpowiedział poganiacz.
- Nic nie mogło się tak podobać hrabiemu jak to. Nakarmił i napił wielbłądy, a kiedy poganiacz oddalił się, obiecał przez całą noc czuwać przy wielbłądach.

Tymczasem Bernardo siedział w swojej jamie i czekał na wieczór. Kiedy wedle jego obliczeń miał już nadejść, wspiął się po ścianie, zrzucił kamień i zawołał w stronę nory hrabiego:

— Don Ferdynandzie! Łaskawy panie!... Mój Boże, co to? — mruzczał pełen trwogi. — Czy może coś się stało? Może wyciągnięto go z jamy? Może mu się stało coś złego? Zejdę do niego.

Daremnie szukał. Smutek i obawa napełniały jego serce; wrócił do swojej jamy. Nagle usłyszał nad sobą szmer. Ktoś krzątał się koło kamienia. Kat czy hrabia? Postanowił nie ruszać się.

Wtem zapukano do płyty z zewnątrz i znajomy głos zapytał:

- Bernardo, jesteś tam?
- Tak, senior.
- Pomóż usunąć ten głaz, sam jeden jestem za słaby. Bernardo wyteżył siły, pod naporem jego ciała płyta wreszcie ruszyła.

Bernardo wyszedł na powierzchnię.

— *O Dios*. Byłem w pańskiej jamie, nie zastałem. Co się z panem działo?

Hrabia powiedział mu krótko całe zajście.

Przywalili kamieniem jamę i poczołgali się w stronę pałacu. U bramy stała straż. Udało im się podkraść aż do strażnika. Potem hrabia szybko wstał, chwycił strażnika za gardło i zdusił

tak silnie, że mu zaparło dech w śmiertelnej trwodze. W jednej chwili był zakneblowany i związany. Odniesiono go do stajni, do wielbłądów.

Teraz droga do domu stała otworem.

Prześlizgnęli się przez wejście do sali audiencyjnej, gdzie hrabia zdjął ze ściany nóż, aby na wszelki wypadek mieć jakąś broń. Kiedy odchylił matę, tworzącą najbliższe drzwi, znalazł sypialnię pustą i nic nie zdradzało bytności sułtana, zauważył jednak jasny pas światła.

— Co to? — szepnął ogrodnik.

— A, to on jeszcze nie śpi, jest przy niewolnicy, która znajduje się tam, w skarbcu. Byłem dzisiaj tam trzy godziny, znam rozkład i sędzę, że wszystko się uda.

Przez uchylone drzwi ujrzeli to, co się działo wewnątrz. Na poduszce siedziała Emma, a w pewnym oddaleniu stał sułtan zapatrzony w nią. Siedziała przed nim jak bogini miłości. Bernardo spytał hrabiego:

— Mój Boże, to niewolnica? Masz pan słuszność, że nie możemy jej zostawić tutaj, musimy ją ratować! Naprzód senior!

— Sułtan jest odwrócony tyłem do nas, chodzi o to, by Emma nie zdradziła nas. Pójdę naprzód i dam jej znak.

Odsunął drzwi i wszedł. Emma zobaczyła go, ale uprzedzona patrzyła prosto na sułtana.

Teraz do dzieła! Dwa szybkie kroki i hrabia chwycił sułtana za gardło. W tej chwili Bernardo chwycił kawałek szmaty, ścisnął go w dłoni i zatkał nim usta sułtana. Hrabia szybko związał sułtana, Emma zaś zeskoczyła z poduszek i zawołała:

— Nareszcie. Już prawie straciłam nadzieję!

Hrabia nie odpowiedział ani słowa, przymknął mocno drzwi, aby promyczek światła nie przedarł się przez nie i spojrzał na sułtana. Ten oglądał całą scenę wzrokiem, w którym odbijała się wściekłość. Ferdynand de Rodriganda rzekł do niego półgłosem:

— Tak więc leżysz spętany, bez jakiegokolwiek pomocy! Teraz my, niewolnicy jesteśmy potężniejsi niż ty. Moglibyśmy cię zabić, ale darujemy ci życie. Bierzymy sobie to, co innym zrabowałeś, wolność. Ale zapamiętaj: jeśli się ruszysz ten nóż przeszyje ci serce.

Teraz obrócił się do Emmy i rzekł:

— Zwykłem dotrzymywać słowa, o ile jest to możliwym. Nie umiesz siedzieć po męsku na wielbłądzie, prawda Emmo? Dlatego przygotowałem ci lektykę. Będziesz musiała włożyć szaty męskie, my także potrzebujemy nowego odzienia, aby uchodzić za zacnych podróżników. Tu mamy pełen wybór.

Poszukał koniecznych rzeczy, potem pociągnął od jednej ściany do drugiej sznur, zawiesił na nim dywany i tym sposobem zrobił parawan, za którym mogła się przebrać Emma.

Wszystko to zajęło im zaledwie dziesięć minut i mogli udać się w drogę.

— A teraz potrzeba nam jeszcze broni! — rzekł hrabia.

— Wiem jakiej, emir przywiózł parę rewolwerów i dwie dubeltówki. Wszystko jest w tej szafie. A teraz poszukajmy pieniędzy. Przydadzą się nam.

— Wiem gdzie leżą. Pokazał mi dzisiaj swoje skarby — rzekła Emma.

— Znakomicie. Będzie nam to potrzebne, bo może wynajmiemy, albo kupimy jakiś statek.

Znaleźli srebro, złoto i drogocenne klejnoty. Zabrali tylko tyle, ile według nich było konieczne.

Spakowali to na wielbłądy, a potem mężczyźni zajęli się usuwaniem śladów. Była już blisko północ, kiedy mieli wyruszyć.

— O czym teraz może myśleć nasz dobry sułtan Hararu — rzekł hrabia. — Z pewnością kipi żądzą zemsty. W jego oczach jesteśmy najgorszymi drabami i biada nam, jeśli nas dopędzi... Nie sędzę jednak, aby mu się to udało, gdyż mamy jego najlepsze wielbłądy, a wieczorem będziemy już poza granicami jego państwa i władzy. Wprawdzie mogą nas wydać, ale my sobie znajdziemy opiekę. Mam myśl! Weźmiemy sobie z tutejszego więzienia przewodnika. Wdzięczność jego nie będzie znać granic... Czasu nam wystarczy. Chodź Bernardo.

— To bardzo niebezpieczne, panie hrabio!

— O nie, dopóki sułtan śpi, żaden człek nie zjawi się na pałacowym placu. Jesteśmy bezpieczni!

Wraz z ogrodnikiem udali się do więzienia.

Drzwi wejściowe nie miały zamka, tylko dwa rygle, które hrabia odsunął. Kiedy otwarli drzwi, więźniowie obudzili się i zadzwonili łańcuchami.

— Stań na straży, Bernardo!

Hrabia wszedł do środka, gdzie panowała głęboka cisza. Usłyszano, że ktoś wchodzi, mogło to oznajmiać dla któregoś z nich śmierć albo życie.

— Jest tu jaki wolny Somalijczyk?

— Tak — odezwały się dwa głosy.

— Aż dwóch? Z jakiego jesteście szczepu?

— Z plemienia Zareb. Ojciec i syn.

— Dobrze, chodźcie. Posłuszeństwo przyniesie wam wolność. Wyjął śruby i zwolnił łańcuchy.

— Chodźcie za mną! Dlaczego was uwięziono? — spytał hrabia.

— Byliśmy ludźmi spokojnymi, ale sułtan kazał nas złapać, gdyż jeden z naszego plemienia ukradł mu konia.

— Jak długo siedzieliście tutaj?

— Dwa lata. Tęsknimy za naszymi. Kim jesteś panie, że nas o to pytasz tajemniczo?

— Jesteście wolnymi Somalijczykami i dlatego wam ufam. Myśmy obaj też byli więźniami, ale przechytrzyliśmy sułtana i zamierzamy uciec. Chcemy szybko dotrzeć do morza i potrzeba nam przewodnika. Jeśli szczęście nam dopisze, na brzegu hojnie was opłacimy. Czy nie zechce, któryś z was być naszym przewodnikiem? Odpowiadajcie szybko, nie mamy bowiem czasu.

— Panie, weź nas obu! — prosili.

— Dobrze! Przysięgnijcie, że będziecie nas ochraniać przed swoimi ludźmi i przed nieprzyjaciółmi!

— Przysięgamy!

— Na Allacha i proroka?

— Na Allacha, proroka i wszystkich świętych kalifów! Ale masz ty wielbłądy?

— Dla was jeszcze nie, ale za miastem będą. Ubranie i broń dostaniecie. Chodźcie ze mną, i bądźcie ostrożni.

Udali się do stajni. Hrabia wrócił do Emmy. Miała już włosy związane na głowie, a na nich zakrecony, na wzór turbanu, indyjski szal, tak, że uważać ją można było za młodego Turka.

Wyszukał broń dla Somalijczyków, a potem wszedł do gabinetu sułtana po klucze od bram miasta.

Harar ma właściwie pięć bram. Na każdym kluczu znajdowała się blaszka z numerem bramy. Nie mogli się więc pomylić.

— Tu macie ubranie, broń, proch i ołów — rzekł hrabia. — Szybko, bo nie mamy już chwili do stracenia.

— Panie — rzekł starszy Somalijczyk — nie znamy cię, ale życie nasze należy do ciebie. Znamy wszystkie drogi i zaprowadzimy was nad morze, nie potrzebujecie się nikogo obawiać. Nie potrzebujesz nas też wynagradzać, gdyż dajesz nam wolność, która warta jest więcej jak srebro i złoto.

— Mowa twoja jest mową wdzięcznego człowieka. Ja wam naturalnie nie zapłacę, ale dam wam podarunek taki wielki, na jaki zasłużycie.

Tu są wielbłądy, trzy dla nas a czwarty na pakunki. Jedziemy do bramy prowadzącej do Gafra. Wy obaj idziecie bokiem i udajecie naszych służących. Ja przy bramie udam samego sułtana. Tu jest klucz. Ty otworzysz bramę i zamkniesz ją potem z drugiej strony. To wszystko, a teraz naprzód!

Wsiadli na wielbłądy, obaj Somalijscy szli z tyłu. Kiedy dotarli do bramy, strażnik spał. Somalijszyk otwierał bramę i dopiero ten szmer obudził go. Przybył szybko ze swoją laską, oznaką swojej godności, a że nie miał czasu zaświecić lampy, nie mógł rozpoznać jeźdźców.

— Kto tam? — zawołał. — Stój! Bez pozwolenia sułtana nikt nie ma prawa otwierać bramy!

— Jak śmiesz psie! — zawołał hrabia, udając głos jego władcy. — Czyż nie wiesz, że chcę jechać do ojca mojej żony? Albo nie znasz może swojego pana? Juro będziesz lizać proch przede mną, synu szakala!

Biedny człowiek upadł pełen strachu na ziemię. Nie odważył się powiedzieć ani słowa. Uciekinierzy wyszli zamykając za sobą bramę.

Po drugiej stronie miasta paliły się ognie strażnicze karawany handlowej emira. Hrabia jechał przodem, potem kazał przystanąć i zeskoczył z wielbłąda.

— Chodźcie. Tam są wielbłądy emira. Zabierzemy parę, a do tego kilka siodeł.

Obaj więźniowie byli Nomadami, a więc urodzonymi rabusiami. Mieli przy sobie broń i byli pewni swej wygranej. Kiedy wszyscy trzech przybyli na pastwisko, okazało się, że żadnego strażnika nie było widać.

— Gdzie oni mogą być? — zapytał hrabia.

— Z pewnością poszli do karawany. Tym sposobem ułatwili nam sprawę.

Nie minęło pół godziny, a Somalijscy mieli już dwa tęgie wielbłądy. I tak nowa karawana ruszyła w drogę. Kiedy Emma wczoraj ujrzała miasto nie myślała pewnie, że dzisiaj opuści je przebrana za wolnego beduina.

NIEMIECKI HANDLOWIEC

Może w tydzień później od opisanych zdarzeń, przez cieśninę Babel–Mandeb płynął statek. Byli bardzo okazały, a na maszcie powiewała niemiecka bandera. Ale i bez — tej flagi było można poznać, że to statek kupiecki, chociaż na pokładzie stały cztery armaty, nadające statkowi wojowniczego wyglądu.

Działa świadczyły o tym, że bezpieczeństwo na tych wodach nie było zbyt wielkie. Szczególnie kapitan, mający stosunki handlowe z wybrzeżem musi uważać na uzbrojenie statku. Styka się z ludźmi, którym nigdy nie można całkowicie ufać i którzy w każdej chwili mogą podstępem zdobyć statek i zatrzymać towar.

Słońce piekło. Wiał wprawdzie leciuchny wietrzyk, ale gorąco było mimo to ogromne. Załoga rozłożyła się pod żaglami, a sternik przypiął ster liną i siedział w cieniu rozwieszonych dywanu.

Kapitanowi także dokuczało gorąco. Wyszedł na pokład, rzucił dokoła okiem, potem popatrzył na horyzont i poszedł do sternika.

Ten chciał wstać, ale kapitan usiadł obok.

— Diabelnie gorąco! — rzekł krótko.

— Prawda! — przytaknął sternik.

— Północ mi się podoba, ale cóż kiedy armator posyła na te wody. Ciekaw jestem czy zrobimy naprawdę takie złote interesy jak on sobie wyobraża.

— Tłumacz sądzi, że tak!

— Ale mnie to właśnie złości, że tutaj potrzeba tłumacza. Gdyby się nauczyć tego diabelnego języka, to nie narażałby się człek na liczne oszustwa. Ale patrz, tam ktoś nadpływa.

Sternik ujął lunetę, popatrzył długo i uważnie; nareszcie rzekł:

— Tego jeszcze nie widziałem. Popatrz sam, kapitanie! Kapitan wziął lunetę. Szybko odgadł, co to być może i rzekł z pogardliwym uśmiechem:

— To musi być arabski statek. Za godziną dopędzimy go.

Oba statki zbliżały się do siebie, aż w końcu na handlowcu widać było gołym okiem, że obcy statek miał tylko jeden maszt i dziwnie uformowane żagle. Na pokładzie jego stali mężczyźni w turbanach, bacznie się im przyglądając.

— Wypalić? — zapytał sternik.

Sternik przystąpił do działa i dał mężczyźnie w arabskim stroju znak. Ten wstał i udał się w stronę steru. Tam przyłożył rękę do oczu, rzucił okiem na drugi statek i zapytał kapitana:

— Co chcesz się dowiedzieć?

— Co to za statek.

— Sam ci to mogę powiedzieć: to okręt strażniczy emira Zejli. Wszyscy mężowie tam są uzbrojeni.

— Do czego takie okręty służą?

— Zwyczajnie dla handlu i przewozu, jak inne statki i tylko z ważnych przyczyn zapełnia sieje wojownikami. Musiało się zdarzyć coś ważnego w Zejli.

— Musimy się tego dowiedzieć, gdyż właśnie tam płyniemy. Będziesz wszystko dokładnie tłumaczył.

Teraz oba okręty zbliżyły się na tyle, że można się było widzieć. Właśnie miał sternik dać znak armatnim wystrzałem, kiedy z pokładu arabskiej łupiny zagrzmiała salwa, to ona wezwała naszego handlowca do zatrzymania się.

Kapitan roześmiał się.

— Słyszysz? — zawołał do sternika. — Ten karzełek daje nam rozkazy! Nie strzelaj. Posłuchajmy go, jestem bardzo ciekaw, czego od nas chce. Stanać chłopcy!

Handlowiec przystanął obróciwszy się bokiem ku obcemu statkowi. Kapitan stanął na podwyższeniu i usłyszał jak z uzbrojonej barki zadano pytanie:

— Jak się nazywa ten okręt?

— ”Syrena”! — tłumaczył odpowiedź kapitana wynajęty Arab.

— Skąd płynie?

— Z Kilonii, z Niemiec.

— Musi być to kraina mała, biedna, gdyż jej nie znam — zauważył dumnie dowódca barki.

— Co wieziecie?

— Towar handlowy.

— A ludzi macie, może niewolników?

— Nie.

— Pójdę na wasz okręt i zobaczę czy mówicie prawdę.

— Kim jesteś?

— Kapitanem sułtana Zejli.

— W Zejli jest emir a nie sułtan. Nie jestem obowiązany słuchać ani jego, ani jego sług.

— Czyli, że nie chcesz pozwolić na przeszukanie okrętu?

— Tak, nie masz do tego prawa. Gdybym ja chciał dostać się na twój statek, to realizacja zamiaru, byłaby bardziej prawdopodobna.

— Nie uczyniłbyś tego, bo ja jestem wojownikiem. Ja cię zmuszę, byś wpuścił moich ludzi na twój statek. Ja im rozkażę strzelać w twój statek, jeśli mnie nie posłuchasz!

Europejczycy wybuchnęli śmiechem..

— Kule twoje nie są w stanie nam zaszkodzić.

— Allah jest wielki. Wszystko może się stać. Ty mi się wydajesz podejrzany. Masz zdaje się pod pokładem niewolników. Ja przywiążę twój statek liną do mojego i zaciągnę do Zejli. Tam emir każe cię przeszukać.

Kapitan miał wyjątkowy humor: pozwolił więc na przywiązania liny i wejście na pokład trójki ludzi. Zachowywali się jak u siebie w domu. Arab napiął żagle i zwrócił się ku południowi. Wiatr sprzyjał, okręt ruszył naciągając mocno linę. Po paru minutach statek kupiecki ruszył, a ponieważ był szybszy od małego „holownika”, to musiał się z nim zderzyć. Kapitan zwrócił się przez tłumacza do trzech Arabów.

— Zawołajcie na swoich, aby prędzej żeglowali bo ich zatopię.

Pokiwali głowami, nie odważyli się jednak zwrócić uwagi swemu dowódcy, aż ten sam spostrzegł, co się święci i zawołał:

— Wolniej draby! Czy nie widzicie, że się zderzymy!

— Pędź prędzej, ty błaznie! — zawołał kapitan. — Nie bierz statku na linę za sobą, jeśli jest mocniejszy od ciebie!

Jeszcze parę chwil i musiałyby nastąpić zderzenie. Wtedy chwycił kapitan za ster, aby choć trochę zmienić kurs.

— Nie chciałbym na nich natrzeć, ale dać maleńką nauczkę nie zaszkodzi. Hola chłopcy, uważać!

Burta niemieckiego statku otarła się mocno o barkę i zdarła mu cały zasób lin, resztę pochwyliły ręce niemieckich majtków. Po chwili wyprzedzili „holownik”, a lina ciągnęła go, obróciwszy tyłem.

Na pokładzie niemieckim zagrzmiała salwa śmiechu, na arabskim wycie. Żagle porwały się na szmaty. Statek znajdował się w niebezpiecznym położeniu. Dowódca kłął i rozkazał strzelać z flint, zamiast przeciąć linę, którą był uwiązany.

Wtedy przystąpił do kapitana jeden z trzech Arabów i kazał tłumaczowi powiedzieć:

— Rozkazuję ci zatrzymać się i naprawić nasz statek! — równocześnie wyciągając nóż i grożąc nim:

— Jeśli mnie natychmiast nie posłuchasz, to cię ukarzę. Jesteś muzułmaninem?

— Nie, chrześcijaninem.

— To masz mnie słuchać, psie!

— A psie, powiadasz? To masz odpowiedź!

Zamachnął się i wymierzył Arabowi silny policzek, po którym ten upadł. Pozostali wyciągnęli swoje noże i chcieli się rzucić na kapitana, ale natrafili na godnego przeciwnika. Miał on pięść prawdziwie żeglarską, twardą i szeroką. Dwoma ciosami powalił ich.

— Chłopcy przywiążcie tych drabów do masztów! — rozkazał — My ich teraz nauczymy nazywać nas psami!

Chętnie wykonali rozkaz. Zabrali Arabom broń i związali ich tak mocno, że nie mogli się ruszać. Tymczasem położenie statku arabskiego było nie do pozazdroszczenia. Nabierał już wody.

— Stańcie łajdaki! — krzyczał dowódca. — Wszak widzicie, że musimy zginąć, jeśli nas nie posłuchacie?

— Wszystko mi jedno, czy się utopicie czy nie. — odparł kapitan. — Chwytajcie za swoją linę, jeśli się chcecie uratować!

— Nie śmiem uciąć liny, gdyż ona jest własnością emira.

— To napijcie się za emira wody, dopóki nie pękniecie.

— My sami możemy odpiąć linę — zauważył sternik.

— Ani mi to w głowie. Dam im nauczkę i nie ruszę za nich ręką. Nigdy jeszcze nie byłem w tych stronach, ale słyszałem bardzo dużo o arogancji tych ludzi. Te draby, sługusy małych, nędznych potentatów i urzędników myślą Bóg wie co o sobie. Każdy innowierca to dla nich pies. Nie rozumiem ani ich mowy, ani zwyczajów. Niechaj się nauczą moich zwyczajów. Nauczę ich respektu dla naszej flagi.

— Ależ my płyniemy do Zejli i jeśli spotkamy się z emirem to zemści się na nas.

— Niechaj spróbuje!

W tej chwili zabrzmiał krzyk. Arabski statek tak mocno się nachylił w bok, że groził zatonięciem.

— Czy jesteście naprawdę tacy ograniczeni? Pozbądźcie się liny! — zawołał kapitan.

Ale oni byli tak bardzo przerażeni, że nie słuchali, tylko wskakiwali do wody i płynęli w stronę handlowca.

— Rzućcie im linę, aby mogli dostać się na pokład! — rozkazał kapitan. — Rozpoczęli awanturę, niech ją grają do końca. Mają się zebrać na przodzie pokładu, a wy skierujcie na nich działa.

Gdy udało się zabrać wszystkich, arabski kapitan przystąpił do niemieckiego i zapytał:

— Jesteś dowódcą tego okrętu?

— Tak.

— To jesteś moim więźniem. Gdy dopłyniemy do Zejli, każę cię ukarać.

Kapitan spojrział na Araba z ironią i odparł:

— Nie bądź śmieszny! Pozwoliłem ci na jedną głupotę i widzisz co z tego wyszło. Co prawda płynę do Zejli, ale czy wiesz co to są prawa narodów?

— Nie potrzebuję ich znać. Znam koran i prawa proroka!

— A ja nie muszę znać ani koranu, ani twojego proroka. Prawa narodów uznają wszyscy żeglarze. Ten okręt należy do mnie. Jestem panem życia i śmierci. Rozumiesz? Wszelki opór karzę bardzo surowo.

— Masz odwagę mi to mówić? — zapytał Arab dumnie. — Wiesz, że mój kuzyn jest emirem?

— Co z tego? Na moim okręcie ja jestem królem, cesarzem i sułtanem. Twój emir nic mnie nie obchodzi. Płynę wprawdzie do Zejli, ale broni mnie moja bandera i nie zniosę tego, aby mnie traktowano jak wroga.

— Zdasz nam rachunek, ale najpierw wyratujesz nasz statek.

— Jesteś niepoprawny, pokażę ci więc, że robię co mi się podoba. Może dałoby się twój okręt uratować, ale ja powiadam, że mój statek znajduje się w niebezpieczeństwie, dlatego, że jestem z twoim związany. Muszę bronić się przed szkodą.

Chwycił za topór i przeciął linę, arabski statek pozostawiony został sam sobie. Wtedy Arab wpadł w gniewny i zawołał:

— Co robisz psie? Topisz mój okręt, a do tego związałeś moich trzech wojowników! Gdybym wziął ze sobą moją strzelbę, to bym cię zastrzelił jak psa, ale nóż mój pokażę ci, kto tutaj jest panem!

Wyciągnął zza pasa nóż, w tej chwili jednak uderzyła go straszliwa pięść i upadł na pokład. Ujrzeni to inni i chcieli uwolnić swego dowódcę, ale tłumacz zawołał do nich:

— Na proroka, stójcie, bo was zastrzelą! Ten mąż jest panem okrętu, co rozkaże to się stać musi. Życie wasze jest w jego rękach!

Dopiero teraz pojęli swoje położenie i zaprzestali oporu. Dowódca ich został związany i umieszczony pod podkładem. Im zaś odebrano wszelką broń i również zepchano na dno.

— Odważasz się na rzeczy, których emir ci nie wybaczy — rzekł tłumacz.

— Mylisz się, ja zażądam od niego obrachunku, gdyż jego słudzy działali przeciw prawom i obrazili mnie.

— Ale nawet jeśli ciebie nie może ukarać, to i tak poniesiesz szkodę. Emir zakaże ci handlować.

— Jeśli to uczyni, to wiem, co mam zrobić.

Aby być pewnym swoich więźniów postawił jednego z majtków na straży i oczekiwał na rozwój wypadków.

Zejła nie ma portu i okręty, które tam zawijają muszą przebyć trudną drogę między skałami. Tak więc i oni musieli spędzić noc na morzu, by rankiem dopłynąć do miasta. Pozdrowili je wystrzałami działowymi i stanęli na kotwicy. Zejła, która liczy blisko cztery tysiące mieszkańców, składa się może z tuzina wielkich, kamiennych domów, biało tynkowanych i kilkuset chat sporządzonych z lichego materiału.

Mury miasta, z kawałków koralu i namułu, pozapadały się już w wielu miejscach. Od strony morza nie sprawia imponującego widoku. Mimo to panuje nad portami całego wybrzeża, jest punktem zbornym licznych karawan, które przybywają z wnętrza Afryki, albo stąd wybierają się w głąb kraju.

Z pokładu ujrano mnóstwo ludzi, wielbłądów i koni, rozłożonych w pobliżu miasta. Były to handlowe karawany i kapitan miał nadzieję na znaczny zysk.

Skoro opuszczono kotwicę, przypłynęło czółno, z którego wysiadł Arab, usiłujący nadać sobie wyniosłą postawę. Był to naczelnik portu. Pragnął zobaczyć papiery okrętowe, aby je przedłożyć emirowi, gdyż od niego zależało pozwolenie na cumowanie. Zapytał również skąd przybywają i czy nie spotkali okrętu z pojmanymi niewolnikami. Kapitan pominął milczeniem ostatnie pytanie, a naczelnik portu widocznie zadowolony i oddalił się. Dopiero po kilku godzinach wrócił i oznajmił, że emir pozwolił im handlować, ale ma za to otrzymać jakiś podarunek.

— Emir da wam paru żołnierzy do ochrony. Macie ich opłacić i wyżywić.

— Nie potrzebujemy żołnierzy, gdybyśmy byli w niebezpieczeństwie nie byłiby w stanie nas ochronić.

— Żołnierze ci są bardzo waleczni — ciągnął naczelnik.

— Nie sędzę. Są raczej bardzo lekkomyślni i przynieśliby nam więcej szkody niż pożytku.

— Skąd ich znasz, wszak mówiłeś, że nie byłeś tutaj nigdy?

— Wkrótce się dowiesz. Dam znać o tym emirowi i udowodnię, że umiem się sam bronić.

Naczelnika portu ugoszczono, dano mu podarek, który widocznie sprawił mu przyjemność i wrócił do miasta.

Kapitan kazał wyprowadzić jeńców.

— Przybyliśmy do Zejli, zwracam ci wolność pod warunkiem, że pójdziesz do emira i opowiesz mu, co się stało. Niechaj sam przybędzie na pokład, niech pomówi ze mną, co do losu twoich towarzyszy. Powiedz mu, że jestem człowiekiem zgodnym i gotów jestem porozumieć się z nim. Musi jednak sam przybyć, gdyż z pośrednikami nie mówię. Jeżeli się nie zgodzimy, to zabiorę więźniów i ukarzę.

Arab nie odpowiedział ani słowa, wsiadł do łodzi i odpłynął w stronę miasta.

Po jego odejściu tłumacz rzekł:

— Gra jest niebezpieczna. Emir jest potężny. Będzie cię traktował jak wroga.

— Niech spróbuje!

Kapitan rozkazał załozce uzbroić się. Z dala było widać dom emira i kapitan postanowił wziąć go na cel. Nie wiedział czy w Zejli są takie działa. Widzieli tylko jedno, które stało na brzegu. Obok nich cumowało tylko parę statków, których nie trzeba się było obawiać.

Minęło sporo czasu, zanim ujrzano od strony pomocnej gromadę uzbrojonych ludzi.

Rozdzielili się na czółna i odbili od przystani. Nie było wątpliwości, że spieszyli z wizytą na statek. Było ich blisko trzydziestu uzbrojonych we flinty i piki. W pierwszej łodzi siedział widocznie ich przewodnik, reszta płynęła za nim.

Kiedy łódź zbliżyła się, dowódca wstał i powiedział:

— Czy ty jesteś mężem, który więzi naszych towarzyszy?

— Tak — odpowiedział kapitan przez tłumacza.

— Wypuść ich zaraz!

— Kim jesteś?

— Jestem generałem tutejszych wojsk.

— W takim razie nie będę z tobą gadał. Mówię tylko z emirem.

— To zejdziesz do naszej łodzi, zawiozę cię do niego.

— Niechaj przyjdzie do mnie, jeśli chce odzyskać swoich ludzi.

— Jeśli z nami nie pójdziesz, albo naszych ludzi nie wydasz, wejdziemy na twój okręt i zabierzemy ich. Ty jednak będziesz naszym jeńcem, a twój statek naszym łupem. Tak rozkazał emir.

— Już raz powiedziałem, że rozmówię się tylko z nim, a przed napadem potrafię się obronić.

Arab dalej groził, a w końcu skinął na swoje łodzie i rozpoczął z żołnierzami naradę. Miał pewną obawę przed okrętem. Bał się również emira, którego rozkazu nie mógł wykonać.

Nareszcie dał znak i przybliżył się z łodziami.

— Oddasz nam więźniów czy nie? — zawołał. Odpowiedzi nie było.

— W takim razie zabierzemy ich sami. Wystrzelajcie tych niewiernych!

Strzelby zwróciły się na pokład i zagrzmiała salwa. Kule uderzyły o maszty, liny, ale nie trafiły nikogo. Padło też parę dzid, które zaczepiły się w olinowanie.

— Mamy im odpowiedzieć? — zapytał sternik.

— Tak — przytaknął kapitan. — Ale nie strzelajcie jeszcze do tych drabów. Dajcie parę kul w budynek emira. To on rozpoczął całą awanturę.

Sternik przystąpił do jednego z dział, mierzył długo i starannie, potem wypalił. Prawie w tym samym momencie, kiedy zagrzmiał strzał, z domu poleciały kawały muru. Strzał był celny.

Arabowie w łodziach krzyknęli i strzelali jeszcze zawzięciej.

— Dobrze było! — zawołał kapitan. — Dalej, dalej tak! Sternik wymierzył jeszcze parę razy i każdy strzał był celny. Mur rozpadał się pod ciosami, a za czwartym strzałem widać było wielką dziurę. W mieście dało się zauważyć panikę.

Wtem otwarła się brama, w niej ukazał się mężczyzna, skinął ręką i na ten znak łodzie zawróciły.

— Czy nie posłać by im kuli na drogę? — zapytał sternik.

— Nie, ich oszczędzimy tymczasem. Ale widzisz ten budynek tam, na prawo. To z pewnością meczet. Jeśli uderzymy na ich świętość, to się przestraszą i prędzej wyrażą zgodę. Trafisz?

— Pewnie! Cel szeroki i wielki.

Uśmiechając się z zadowolenia nabijał sternik armatę. Pierwszy strzał trafił, drugi także, przy trzecim zapadł się dach budynku. Głośne biadolenie rozległo się zza murów, a wkrótce znowu otworzyła się brama. Ujrzano mężczyznę, który na znak pokoju powiewał białym obrusem, a potem ukazała się lektyka, niesiona w stronę brzegu. Wyszedł z niej człowiek, wsiadł do łodzi i kazał płynąć naprzód. Zatrzymano się przed okrętem, który zaprzestał strzelać, a mężczyzna zapytał:

— Dlaczego strzelacie do domu Allacha i mego?

— Dlaczego strzelacie do nas? — zapytał kapitan.

— Gdyż jesteście niewiernymi burzycielami i nie chcecie mnie słuchać!

— Kim jesteś, że żądasz od nas posłuszeństwa?

— Jestem władcą tego miasta, którego słuchać muszą wszyscy.

— Jeżeli jesteś emirem to chodź tutaj, chcę z tobą pomówić!

— Zejdź do mnie, jestem ważniejszy niż ty!

— Jeśli nie przybędziesz do mnie to kule moje pokażą, kto jest ważniejszy!

Emir naradzał się chwilę ze swoimi i odpowiedział:

— Przychodzisz jak nieprzyjaciel, nie mogę ci ufać!

— Daję słowo, że nie stanie ci się nic złego!

— I że opuszczę okręt kiedy mi się spodoba?

— Tak, masz dwie minuty do namysłu, po upływie tego czasu strzelam na nowo.

Emir naradzał się znowu. Sternik zaś wymierzył jedno działo w dom władcy. Dwie minuty minęły, a Arab ciągle się wahał.

— Ognia! — zakomenderował kapitan.

Huknął strzał, mur się rozpadł i to rozstrzygnęło. Emir rzekł:

— Stój, idę! Ale biorę swoich ludzi, aby mnie bronili!

— Moje słowo jest twoją obroną. Tylko ty możesz wejść na statek. Emir pod wpływem przymusu postąpił jak mu kazano, wszedł na pokład, chmurnym okiem obejrzał załogę, a kiedy ujrzał tylko czterestu ludzi, zapytał:

— To twoi ludzie i z nimi ważysz się stawiać mi opór?

— Widziałeś i przekonałeś się, że mogę się na to ważyć.

Słowa te były wypowiedziane wprawdzie z przesadą, ale odniosły skutek. Emir kazał zaprowadzić się na tył pokładu. Usiadł na dywanie, naprzeciw niego kapitan, na prawo stanął sternik, na lewo tłumacz. Przyglądali się sobie się badawczo. Po chwili rozpoczęła się rozmowa.

— Przybyłem rozliczyć się z tobą. Siedzisz przede mną jak grzesznik i złoczyńca, musisz ponieść zasłużoną karę.

— Mylisz się — odparł kapitan. — To ja pociągnę cię do odpowiedzialności i dlatego cię wezwałem. Przybyłeś i to jest najlepszym dowodem, że nie ja jestem złoczyńcą. O karze nie ma mowy, gdyż nie jesteś mężem, którego mógłbym uznać za swego sędziego. Ale chętnie cię wysłucham, masz może jakieś uwagi?

— Jest ich dużo. Nie pozwoliłeś przeszukać swego statku, wzięłeś do niewoli moich ludzi. Przez ciebie utonął mój okręt. Zamiast prośby o przebaczenie i zapłaty, strzelałeś w meczet i w mój dom. Kara twoja będzie bardzo wielka!

— Mylisz się ponownie. Prawo do przeszukania drugiego okrętu ma tylko okręt wojenny państw prawnie uznanych. Żaden żeglarz nie jest taki głupi, aby tę twoją łupinę uważał za okręt wojenny? Nie miał nawet bandery.

— Dowódca jednak powiedział ci, że statek należy do mnie i że działa w moim imieniu.

— To mnie nic nie obchodzi, nie jestem twoim poddanym. Wziąłem tych ludzi do niewoli, gdyż nazwali mnie psem. Gdybyś i ty to uczynił, postąpię tak samo. Twój majtkowie sami są winni temu, że okręt zatonął. Uważałem cię za mądrego człowieka i sądziłem, że nie rozpoczniesz walki z kimś, komu nie będziesz miał siły sprostać. Kazałeś ostrzelać mój statek. Miałem prawo do obrony. Jeszcze nie popłynęła krew ludzka, ale powiadam ci, że nie ruszę się stąd, dopóki nie dostanę satysfakcji.

Emir zmiarkował, że rzecz całkiem inny przyjęła obrót. Chciał coś powiedzieć, ale Europejczyk kontynuował:

— Nie mam ani chęci ani czasu na zbędne dysputy. Ukarzesz swoich ludzi, którzy mnie obrazili. Pozwolisz mieszkańcom Zejli i wszystkim, którzy w mieście i w pobliżu mieszkają odwiedzić mój statek i pohandlować ze mną. Ponadto dasz mi pisemne przeprosiny za obelgi jakich doznałem. Teraz odchodzę i zostawiam mojego sternika, z którym możesz się układać. Z warunków moich nie zrezygnuję. Nie wypełnisz ich w godzinę, to będę dalej bombardować twoje miasto. Zrównam go z ziemią. Prócz tego zwrócę moje działa na twoje okręty. Zdaje ci się że jesteś wielkim panem. W moim kraju byle pisarczyk więcej wie niż ty. U nas przyjmuje się obcych z szacunkiem, nawet gdyby stali niżej od nas. Pragniemy bowiem by nas uważano za ludzi grzecznych i gościnnych, wy zaś przyjmujecie nas bronią i obelgami. Wiesz czego żądam i spodziewam się, że wykonasz wszystko. Ja nie żartuję — i odszedł do swojej kajuty.

Minęła godzina. Wyszedł na pokład i usłyszał od sternika, że emir zgadza się na wszystko, z wyjątkiem pisemnych przeprosin.

— Strzelajcie w stronę jego domu! — rozkazał kapitan.

Emir spojrział na ogromne spustoszenie.

— Czekaj, uczynię co pragniesz!

— Dobrze! — rzekł kapitan. — Masz przy sobie papiery, które przekazał ci naczelnik portu? Oddaj mi je.

Tak się stało.

— Cło zapłać, ale nic więcej. Podarunków nie otrzymasz. Zaraz ci przyniosę papier, na którym wypiszesz przeprosiny.

— Napiszę je w moim domu — wtrącił Arab chytrze.

— Nie, napiszesz je tutaj i teraz. Jeśli się okażesz uczciwym człowiekiem, to żaden z twych przełożonych nie zobaczy tego pisma. W przeciwnym razie dowie się każdy. Jeńców wydam ci dopiero przed drogą powrotną, zostają jako zakładnicy.

Emir widział, że sternik czeka przy nabitym dziale. Musiał zgodzić się.

— Uczynię wszystko, ale powinieneś pozwolić na przeszukanie statku, wtedy by się to stało.

— Tym samym byłbym cię uznał za mego pana. Wiesz przecież, że to hańba pozwolić na przeszukiwanie okrętu.

— Chodziło o niewolników i to nie moich a sułtana z Hararu. Dwóch chrześcijan i młodą, piękną chrześcijankę.

Wygadał się, kapitan zwrócił na to uwagę. Biali chrześcijanie, a więc Europejczycy! Ciekawa historia. Wypytywał o ich pochodzenie. Emir pomału opowiedział całą historię. Dodał, że sułtan, władca Hararu jest bardzo potężny, dlatego muszą czynić co każe. Emir spodziewał się, że zbiegów z pewnością złapią.

Zaintrygowało to kapitana, zapytał więc:

— Czy wiesz z jakiego kraju pochodzą?

— Tak, nazywają go Espania.

— A niewolnica?

— Tego sułtan nie wie, mówiła tym samym językiem co pozostali. Związali sułtana i zrabowali jego skarbiec. Uciekli na wielbłądach z dwoma Somalijczykami. Służba dopiero rano znalazła sułtana.

— A co on wtedy zrobił?

— Wysłał pościg, wielu wojowników w różne strony. Najwięcej na wybrzeże, do Berbery, gdzie ewentualnie mogli dostać jakiś statek. Sam przybył do mnie, a ja muszę go słuchać.

— Czy zabrane skarby przedstawiają dużą wartość?

— Ogromną, można za nie kupić cały kraj.

— Uciekli może na statku?

— Nie. Na najlepszych wielbłądach dotarli do wybrzeża szybciej niż pościg, jednak tam ślad się po nich urwał. Wysłałem na poszukiwanie prawie całą moją flotę. Znajdziemy ich z pewnością.

Kapitan zadumał się. Przed oczyma jego duszy pojawiły się postacie nieznanym zbiegów. Musieli to być ludzie odważni, ale bardzo nieszczęśliwi. Tym bardziej, że wpadli w ręce osławionego sułtana Hararu. Musi podjąć próbę uratowania ich. Zapytał niby obojętnym tonem:

— Może wpadliście na ich ślad? Oblicze emira przybrało złośliwy wyraz.

— Złapaliśmy jednego z Somalijczyków, którzy towarzyszyli zbiegom. Chociaż bronił się jak diabeł i zranił nawet kilku moich wojowników, mimo to schwytali go. Dotychczas nie odpowiedział jednak ani słowa.

— Może nie wie o zbiegach?

— Niemożliwe! Sułtan poznał w nim młodszego Somalijczyka... i wielbłąda poznał. Będzie jednak mówił, inaczej zginie.

— Jak zamierzacie złapać zbiegów, wasi żołnierze są do niczego? Czy macie taki okręt, który by pędził tak szybko, jak mój?

Emir namyślił się. W duchu przyznał kapitanowi rację.

— Sułtan obiecał mi nagrodę, dwadzieścia wielbłądów, obładowanych kawą! Może podejmiesz się tej sprawy, a nagroda cię nie minie.

— Nie potrzebuję nagrody, jestem bogaty. Ale jakbym sobie tak, dla zabawy poszukał ich?

— Uczynić to uczynić! — zawołał Arab.

— Muszę jednak zostać tutaj, by sprzedać towar.

— O, to się stanie w kilku godzinach! Ja sam mam duże potrzeby nie mówiąc o mieszkańcach Zejli, a i sułtan Harraru kupiłby coś.

— Sądzę że on teraz bardzo zbiedniał, gdyż zabrano mu skarb.

— Ma przy sobie dużo srebra, którego nie zabrali Hiszpanie. A poza tym mieszkańcy Hararu oddali mu wszystkie pieniądze. Karawany zapłacą ci słoniową kością i masłem. W Zejli płacimy obecnie perłami. Kiedy rozkażę, że tylko dzisiaj wolno u ciebie kupować, to rozkupią ci cały zapas.

Kapitan pomyślał sobie: dobry interes! Kość słoniowa tutaj jest tania, a w Niemczech droga.

— A sułtan zgodzi się na to?

— Tak. Musisz tylko z nim sam pomówić! Polecę mu ciebie — zamyślił się i po chwili dodał — Ale czy ty także nie jesteś chrześcijaninem? Mieszkacie może w jednym kraju?

— Nie, między nami leży wielkie państwo i niekoniecznie się lubimy... Hiszpanów nie ma za co lubić.

— A jeśli tak, to jestem spokojny. Zaraz do sułtana...

— Tak, ale najpierw podpiszesz przeprosiny.

— Może mi darujesz na razie?

— Nie, chyba później i to jeśli będę z ciebie zadowolony.

— Zgoda! Jestem twoim przyjacielem! Jak się nazywasz?

— Wagner.

— Trudno to wymówić, ale to nie zmienia naszej przyjaźni. Czy me pojedziesz ze mną do Zejli pomówić z sułtanem Hararu?

— A będę mógł bezpiecznie wrócić?

— Przysięgam na Allacha, na brodę proroka i na świętych kalifów, że wrócisz jako wolny człowiek. Zabiję każdego, kto cię obraził!

Kapitan wydał sternikowi niezbędne rozkazy i wszedł do swojej kajuty. Przebrał się i poobwieszał rozmałą bronią, chciał bowiem zrobić wrażenie znamienitego meża. Wziął arabski słownik i kartkując go mrucał:

— Kto zrozumie tę mowę! Co właściwie znaczy, ja”? Aha, mamy „ja” znaczy „ana”. A co Jestem”, tego nie znajdę, ale tutaj mam „eida” znaczy „także”. A „chrześcijanin” nazywa się „nassrani”. Gdy więc powiem: „ana eida nassrani — ja także jestem chrześcijaninem”, to Somalijczyk pomyśli, chcę jego i innych ocalić. Będzie żywił nadzieję. Aha, „nadzieja” to „amel”. Jeśli będzie można, uratuję go, a to może stać się tylko w nocy. Hm! Tu stoi „nossf el leel” znaczy „północ”. Dobrze. Zapiszę to wszystko, chociaż to niezmiernie trudne.

Wziął kartkę papieru i zapisał na niej z prawa na lewo: „*ana neida nassrani — mel — nossf el leel*”.

— Tak — mruknął zadowolony. — To po naszemu znaczy: „Także jestem chrześcijaninem, miej nadzieję, przybędę o pomocy!”. Jeśli mi się uda wetknąć to biedakowi, to z pewnością zrozumie. Wagner, Wagner, gdyby twoja stara wiedziała, że się wplątałaś w taką awanturę celem wyzwolenia pięknej niewolnicy! No, ma się to serce, głowa też ujdzie i parę zdrowych pięści, chyba wystarczy.

Skręcił karteczkę, schował i wyszedł do czekającego emira.

Kazał napisany akt przeczytać i przetłumaczyć, a ponieważ mu się podobał, to sternik schował go, po czym rzekł do kapitana stroskanym tonem:

— Wdajesz się w awanturę. A jeśli cię wezmą w niewolę?

— Tego nie uczynią z pewnością. Emir dał słowo, a Mahometanin nigdy nie łamie przysięgi.

— Kiedy przyjdiesz?

— Sądę, że za dwie godziny.

— Dobrze! Jeśli za dwie godziny nie wrócisz, bombarduję miasto.

— Właśnie chciałem ci to powiedzieć. Orszaku nie biorę, chociaż na wschodzie mówią: im większy orszak, tym znaczniejszy pan. Ale ci durnie mogliby sądzić, że się ich obawiam. Wezmę tylko tłumacza.

Cała trójka wsiadła do łodzi. Żołnierze arabscy zdziwili się, kiedy ujrzeli nieprzyjaciela bez jakiegokolwiek obstawy między sobą. Nie mówili nic i udali się ku miastu.

Do pałacu udali się pieszo. Wszędzie stali ludzie, przyglądając się cudzoziemcowi chmurnym wzrokiem. Poznali, że był tym, który zrujnował ich meczet; życzyli mu za to piekła.

Kiedy przybyli do pałacu emir kazał przynieść fajki i kawę.

— Kiedy będę mógł pomówić z sułtanem?

— Skoro odpoczniemy i kiedy on będzie miał na to ochotę — odpowiedział przez tłumacza.

— Aha, kiedy mu się spodoba, to niech mu się spodoba zaraz, bo potem mógłbyś tego żałować. Moi ludzie, jeśli szybko nie wrócę zaczną strzelać.

To poskutkowało. Emir podskoczył, jakby kule były już tutaj.

— W twoim kraju ludzie są odważni i stanowczy. Bądź cierpliwy. Pójdę do sułtana i opowiem o tobie.

Poszedł, a kapitan rozmawiał z tłumaczem.

— Czy wiesz, że znajdujesz się w jaskini lwa?

— Nie bardzo jakoś srogi ten lew.

— Ale sułtan Hararu to tygrys!

— Dobrze, za parę minut będę miał ładną menażerię: emir lew, sułtan tygrys, a ty zając.

— Chodź, sułtan chce ciebie widzieć — rzekł wchodzący emir. Weszli do wielkiej komnaty. Tylna jej część była podwyższona i pokryta drogimi dywanami. Na nich siedział sułtan, paląc fajkę na długim cybuchu. Rzucił badawcze spojrzenie na kapitana i zawrócił się do tłumacza:

— Ukłęknij niewolniku, kiedy mówię z tobą!

Przyzwyczajony był w Hararze, że jego poddani mówili z nim leżąc.

Tłumacz posłuchał i uklęknął. Wagner nie rozumiał arabskich słów, ale zobaczył co robi służący i zaraz go zapytał:

— Dlaczego uklęknąłeś?

— Sułtan tak rozkazał.

— A kto jest twoim panem?

— Ty.

— To kogo masz słuchać?

— Ciebie.

— Rozkazuję ci byś wstał.

— Sułtan każe mnie zabić!

— Pierwej palnę mu w łeb. Wstań! My będziemy mówili siedząc, ty zaś stojąc, to wystarczy.

Tłumacz wstał, ale cofnął się parę kroków. Sułtan spojrział roziskrzonym wzrokiem, chwycił ręką za pas, w którym miał broń i zapytał:

— Psie, dlaczego wstajesz?

— Mój pan mi rozkazał.

— Niewierny?

— Tak.

— Ukłęknij natychmiast, gdyż kula moja rozwali ci w łeb!

Tłumacz spoglądał drżąc na Europejczyka.

— Co on powiedział? — spytał kapitan.

— Chce mnie zastrzelić.

— To powiedz mu, że ja jego prędzej zabiję.

Przy słowach tych wyciągnął rewolwer i zwrócił go w stronę sułtana. Ten zbladł, nie wiedzieć czy z gniewu czy może z obawy.

— Co chce uczynić niewierny?

— Zanim wyciągniesz swój pistolet trafi cię jego kula.

Sułtan aż poczerwieniał ze złości. Tak nie przemawiał do niego jeszcze żaden człowiek. Po krótkiej pauzie kazał zapytać:

— Dlaczego opierasz się temu, aby uklęknął przede mną?

— Ponieważ jest moim sługą a nie twoim.

— A wiesz ty kim ja jestem?

— Miano mnie zaprowadzić przed sułtana Hararu.

— Tak, a więc popatrz, ja nim jestem.

Słowa te wymówione były takim tonem, jakby mówiący oczekiwał, że Europejczyk z podziwu i pokory padnie na kolana. Ten jednak odpowiedział bardzo spokojnie:

— A wiesz kim ja jestem?

— Oznajmiono mi, że jesteś dowódcą okrętu, który miał odwagę ostrzeliwać nasze miasto.

— A więc popatrz na mnie, ja nim jestem.

Sułtan popatrzył na kapitana z pewnym podziwem. Tak odważnego męża, który mu do tego odpowiadał, nigdy jeszcze nie spotkał.

— Ty jesteś żeglarzem, ale ja sułtanem wielkiego państwa! — rzekł, chcąc zuchwalcowi wytłumaczyć, kogo ma przed sobą.

— Twoje państwo nie jest wielkie — rzekł kapitan obojętnie. — Mówiłem ze sławniejszymi mężami niż ty, panie niewolników. Zakazuję mojemu słudze klęknąć przed tobą. Musi to respektować.

Usiadł całkiem wygodnie obok sułtana i położył swoje dwa rewolwery przed sobą. Było powiedziane wystarczająco.

Emir dotychczas stał obok niego. On nigdy nie odważył się bez zaproszenia usiąść blisko tyrana. Teraz czuł się rozzuchwalony przykładem Wagnera.

Sułtanowi zdziwienie odebrało mowę. Nie wiedział, jak się ma zachować. Wagner imponował mu. Człowiek, który bombarduje miasto jest w stanie zastrzelić sąsiada. Odsunął się od niego i rzekł:

— Gdybyś żył w Hararze, kazałbym cię zasztyletować.

— A ty w naszym państwie, już dawno byś postradał mowę — rzekł Wagner. — U nas panom niemiłym ludowi, ucina się głowy.

Sułtan otworzył usta, wytrzeszczył oczy, jakby już stał na stopniach gilotyny.

— Byłeś przy tym? — zapytał mimo woli.

— Nie, nie jestem katem. Ale ty palisz, a ja nie zwykłem odmawiać sobie przyjemności. Niech mi podadzą fajkę.

Tłumacz nigdy jeszcze nie pośredniczył w takiej zabawie. Obawiał się o siebie, ale odwaga kapitana dodała mu siły i tłumaczył jego wypowiedzi dosłownie.

Emir był jak we śnie. Dawniej nie wyobrażał sobie, aby niewierny zachowywał się w ten sposób wobec władcy Zejli. Klasnął w dłonie i rozkazał słudze przynieść fajki.

Kiedy przygotowano fajkę Wagnera, ten pyknął parę razy i rzekł do sułtana:

— Teraz możesz zaczynać. Pomówmy o naszej sprawie!

— Emir podał mi twoją prośbę...

— Moją prośbę? — zapytał Wagner z udanym zdziwieniem. — Nie wypowiedziałem żadnej prośby, sądziłem raczej, że usłyszę twoje pragnienia.

Tego sułtan nie oczekiwał. Czuł się poniżony. Zrodziła się w nim obawa połączona z szacunkiem. Sądził w skrytości ducha, że taki mąż jest stworzony do zadań nadludzkich, dlatego rzekł łagodnie:

— Tak, mam życzenie.

Opowiedział co zaszło w Hararze i o próbie złapania uciekinierów. Był wściekły i szykował zbiegom katusze. Gdy skończył, zapytał:

— Uważasz, że możliwe jest ich złapanie?

— Pewnie.

— Wykorzystując złapanego Somalijczyka?

— Nie, to dzielnym człęk, który raczej zginie, niż zdradzi. Może na przykład uciec.

— Nie uda mu się.

— Dlaczego? Może mieć pomocników. Czy nie ma w mieście Somalijczyków? Albo obieca, że zaprowadzi was na ślad zbiegów, a potem ucieknie? Może też przygotować zasadzkę. Czyż Hiszpanie nie zabrali ci twoich skarbów? Potrafią najać ludzi, aby cię napaść.

Sułtan zadumał się, a potem rzekł:

— O tym nie myślałem. Jesteś roztropnym człowiekiem. Sądziłem, że uczyniłem już wszystko.

— A mimo to nie uczyniłeś rzeczy najważniejszej. Mówisz, że ucieczka może się udać, kiedy zbiegowie spotkają na brzegu jakiś statek, który ich zabierze. Dlaczego więc sam nie zabrałeś ich na taki okręt?

Sułtan wybałuszył oczy.

— Oszalałeś! Ja, od którego uciekli, którego skarby ukradli, któremu zabrali najpiękniejszą niewolnicę, ja sam miałem im pomagać w ucieczce?

— Kto mówi o pomocy? Czy ty oszalałeś? Źle mnie zrozumiałeś. Ja byłem zaraz po ich ucieczce wysłał statek, który płynąłby blisko brzegu, gdyby przyszli prosząc o przyjęcie, to bym ich przyjął i już miał w swej mocy.

Wtedy sułtan, tracąc zwyczajną zimną krew i zawołał:

— *Allah il Allah!* Masz rację! Jesteś roztropniejszy od nas!

— Ale teraz już na to za późno. Wysłali młodego Somalijczyka jako posła. Nie wrócił, więc widzą, że został schwytany i będą bardzo ostrożni. Poza tym na pewno spostrzegli wasze okręty. Nie zbliżą się do żadnego z nich.

— Znowu masz słuszość — rzekł sułtan rozdrażniony. — Daj nam dobrą radę, opłacę jątrzydziestu naładowanymi wielbłędami.

— Dam ci radę jeśli dotrzymasz słowa. Okręt, na którym ich szukasz musi być obcy, o ile możliwości europejski. Do takiego będą mieć zaufanie.

— Znakomita rada. Ale gdzie znajdę taki okręt?

— On ci da — rzekł emir z zadowoleniem.

— Naprawdę? — zapytał tyran.

— Uczynię to, ale stawiam swoje warunki. Nie traćmy czasu. Mój ładunek musi być sprzedany do wieczora.

— Postaram się o to — rzekł emir. — Dałem ci to słowo.

— Ja sam kupię od ciebie za tyle, ile złota i srebra mam przy sobie — zawołał sułtan. — Co za towar masz ze sobą? Kapitan wyliczył.

— Dobrze, kupimy dużo. Jakie są twoje warunki?

— Nie wezmę nagrody za złapanie zbiegów. Niech otrzyma ją mój przyjaciel, emir. Daj pisemną obietnicę na to.

Emir chciał uścisnąć kapitana, ale sułtan nie mógł pojąć takiej bezinteresowności. Dlatego zapytał:

— Czy mnie słuch nie myli? Powiedziałeś, że nic nie chcesz?

— Nic. Jeden poluje chętnie, drugi gra. Moją namiętnością jest polowanie, a nagrodą sama możliwość złapania zbiegów. A teraz ostatni warunek. Muszę zobaczyć schwytanego Somalijczyka, który musi być podobnym do ojca. Mam dobry wzrok i daleko widzę, więc gdy go zobaczę to poznam.

— Allah jest wielki, a twoja mądrość ogromna! — zawołał sułtan.

— Ogdadłeś, są bardzo podobni. Ja cię sam zaprowadzę do niego. — Najpierw napisz zobowiązanie.

— Uczynię to. Przynieście pergamin, atrament, wosk i pióro.

— Zaczekaj jeszcze. Skąd bierzesz kawę?

— Z Hararu.

— Jak długo to trwa?

— Pół miesiąca.

— Dobrze, więc pisz: Ja, Ahmed ben sułtan Abubekr, emir i sułtan państwa Hararu obiecuję na Allacha i proroka, emirowi miasta Zejli Hatschih Schamurkay ben Ali Saleh, w pół miesiąca po oddaniu mu przez kapitana Wagnera moich zbiegów, dać trzydzieści ładunków dobrej kawy wraz z wielbłędami.

Podpisał się pełnym imieniem i przybił na wosku swoją pieczęć.

— Jesteś zadowolony? — zapytał Wagnera.

— Tak — a zwracając się do emira rzekł — Powiedziałem ci, że otrzymasz to pismo później niż ja. Abyś jednak wiedział, że mówię prawdę, oddaję ci je zaraz.

Emir aż krzyknął:

— Tak, dajesz mi poznać, że jesteś człowiekiem szlachetnym. Jesteś moim przyjacielem. Jesteś dobrodziejem. Powiedz co mam czynić, aby chwalili twoje imię i twoją dobroć?

— Nie pragnę nic więcej, jak dotrzymania obietnicy sprzedaży.

— Oczywiście. Zaraz wydam rozkaz, że wolno u ciebie kupować tylko do wieczora.

Kiedy wyszedł, sułtan popatrzył badawczo i rzekł:

— Wiesz, że się prawie obawiałem ciebie?

— Wiem o tym.

Odpowiedzi takiej sułtan nie oczekiwał.

— Allah jest wielki. Wiedziałeś o tym? Jesteś nieustraszonym i mądrym mężem. Czy nie nawrócisz się na prawdziwą wiarę i nie pójdziesz ze mną do Hararu, aby zostać moim sługą? Dojdiesz do najwyższych zaszczytów i może nawet zostaniesz wielkim wezyrem.

— Powiem ci potem, nie znam cię jeszcze, ani ty mnie.

— Znam cię, jesteś mężem, jakiego potrzebuję, ja zaś jestem Ahmed ben Sułtan, Abubekr, władca Hararu, słońce książąt i słońce sułtanów. Kto mnie służy, to tak, jakby służył samemu Allahowi. Teraz chodź, pokażę ci jeńca.

— Jak się nazywa?

— Murad Hamsadi, ale imię jego ojca zgaśnie, gdyż zniszczę całe jego plemię.

Wyszedł z komnaty. Wagner za nim. Weszli na podwórzec, na którym stał tylko stary, pleciony kosz.

— To on — rzekł sułtan.

— Gdzie? — zapytał kapitan.

— Tu, podnieś kosz.

Kapitan podniósł kosz i ujrzał jeńca. Wykopano głęboką jamę, wsadzono go w nią i zasypano tak, że widać było tylko głowę. Mimo to był w pełni siły i przytomności. Oczy jego patrzyły z ciekawością na kapitana.

Ten sięgnął niepostrzeżenie do kieszeni i wyciągnął papier. Wiedział, że mu go nie może dać, gdyż ten ma ręce zasypane ziemią, ale musiał mu pokazać!

Trzymał papier w ręce i rozpościerał go przy szwie spodni.

— Popatrz na tego psa — rzekł sułtan.

— Czy nie próbujesz się z nim rozmówić? — zapytał Wagner.

— Nie, to zbyt bezcelne. Złapiesz jego ojca i tak.

— Nie wydobędzie się? Kiedy się obróci musi zburzyć nasypkę?

— Nie może. Jest przywiązany do pala.

— Naprawdę? Zdaje mi się, jakoby już zaczął się ratować! Przy tych słowach schylił się przed głową wystającą z ziemi, aby nieszczęśnik mógł przeczytać treść kartki. Sułtan nic nie spostrzegł.

— Ziemia silna, nie bój się!

— Ale jak go możesz zostawić bez strażnika?

— Dniem strażnik nie jest potrzebny, nocą zaś stoi przy nim jeden strażnik, a drugi przy bramie! Uciec nie może.

— To dobrze. Chodźmy.

Ostatnie słowa rzekł kapitan z zadowoleniem, poznał, że Somalińczyk zrozumiał. Osiągnął więc swój cel.

Wróciwszy do pokoju zastali emira, który już wydał rozkazy.

— Pójdę z tobą na okręt — rzekł sułtan

— Ja też — zawołał emir.

— Tylko szybko — rzekł Wagner popatrzawszy na zegar. Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy zagrzmiął wystrzał i nad ich głowami rozległ się huk.

— *Allah il Allah*, co to? — zawołał sułtan.

— Już strzelają — odpowiedział emir.

— Bo czas już minął, a mój sternik sądzi, że przyjęto mnie tu wrogo. Muszę spieszyć, aby go wyprowadzić z błędu.

— Tak jest, spiesz się a my przyjdziemy później.

Kapitan wyszedł z tłumaczem. Na uliczce stali przestraszeni mężczyźni, którzy na jego widok chwytały za noże, ale dali mu przejść. Gdy doszedł do bramy, wyciągnął chustkę z kieszeni i pomachał nią. Wtedy ze stadku dały się słyszeć liczne okrzyki. Po paru minutach podpłynęła po nich szalupa.

— Straszna to była rozmowa — rzekł tłumacz. — Z początku obawiałem się o życie.

— Ale potem się uspokoiłeś?

— Tak. Powiedz panie czy wszyscy twoi ludzie są tacy dzielni?

— Wszyscy — skłamał bez skrępowań.

— Szczęście, że przybywasz kapitanie! Bylibyśmy powystrzelali cały zapas amunicji. Jak poszło? — pytali marynarze.

— Wszystko się udało. Będzie wprowadzie tęga robota do nocy albo i później, ale za to dostaniecie ekstra wynagrodzenie, a jeżeli nam się poszczęści to podwójną płacę. Odbijać!

— Hurra, niech żyje kapitan! — zawołali chłopcy i czółno odbiło od brzegu.

Gdy Wagner wszedł na pokład, sternik powitał go serdecznie.

— Bogu dzięki, przybyłeś. Myślałem, że już przepadłeś!

— A co z ładunkiem?

— Popatrz! — rzekł tonem zadowolenia, cały pokład był obstawiony pootwieranymi skrzyniami.

— Dobrze, do wieczora wysprzedamy wszystko. Nadchodzi emir i sułtan Hararu. Będą chcieli kupić najlepsze rzeczy. Podwyższymy cenę o dwadzieścia procent i sprzedajemy tylko całość.

Sułtan przyniósł ze sobą cały worek talarów i skrzynkę złotych drobnostek, emir pokazał perły, które nabył drogą nie całkiem legalną. Można było rozpocząć handel.

Wybrali nie targując się specjalnie i kazali służbie zapakować towar na łodzie.

— Widzisz, dotrzymałem słowa! — rzekł emir pokazując na oczekujących na brzegu mieszkańców. Było ich całe mnóstwo. Usiłowali pościągać czółna celem przewiezienia zakupionego, względnie wymienionego towaru.

Strzał sternika wystraszył wprowadzie wielu, ale ufność wróciła, kiedy spostrzegli jak ich panowie udali się bez obawy na statek.

— Kiedy będziemy mogli odpłynąć? — zapytał sułtan.

— Nie wiem — odpowiedział Wagner. — Musimy uwzględnić wiatr i prąd. Czy nie wysłać po ciebie posłańca, jeśli w nocy nadejdzie dogodna pora?

— Wyślij! Nie będę spał.

Gdy sułtan z emirem opuścili statek, na ich miejsce przybyli inni. Powstał ruch, jakiego nie widziano na tym pokładzie. Tłumacz miał strasznie dużo pracy, a kiedy zapadła noc krajowcy zadowoleni wracali do domu. Cała załoga była bardzo zmęczona. A czekała ich jeszcze praca, gdyż wymieniane towary trzeba było uporządkować i schować.

Sternik wyszedł na pokład zaczerpnąć powietrza, gdzie spotkał kapitana.

— Czytałeś kiedyś jakiś romans?

— Hm, romans? Romans? Nigdy. Jest tyle roboty na pokładzie, daleko ważniejszej niż czytanie, a na łądzie zajmuje mnie knajpa, dobra szklaneczka. Czytanie przyprawia mnie o ból głowy. Mój mózg jest na to zbyt delikatny.

— Niemożliwe! — zaśmiał się kapitan. — Wiem, że głowa twoja jest twarda i niejedno wytrzyma.

— To prawda. Ale czytanie szkodziło mi zawsze.

— Szkoda, bo możesz mnie dzisiaj nie zrozumieć.

— Spróbujmy!

— Czytałem raz romans pod tytułem: „Piękna Karolina, czyli zaczarowana kanalia” i o te...

— A do diabła! To z pewnością piękna Karolina była właśnie ową zaczarowaną kanalią!

— Nie, kanalią była przyszła teściowa. W tym romansie jest mowa o księżniczce Karolinie, wziętej w niewolę. Potem przybywa książę i ocala ją.

— C co to ma wspólnego z naszą dzisiejszą robotą?

— Bardzo dużo. Kiedy czytałem ten romans pomyślałem sobie, że byłoby pięknie tak choć raz uratować taką księżniczkę.

— I ożenić się z nią!

— Nie, na to już za późno, mam już swoją Karolinę... I pomyśl sobie, dzisiaj znalazła się!

— Karolina?

— Nie, ale mam uratować niewolnicę, która nie jest wprawdzie w niewoli, ale ma być dopiero schwyta.

— Niech to diabeł porwie! Już wiem, że to musi być romans, bo zaczyna się ból głowy. Możesz mówić dokładniej!

— Zaraz! Nie słyszałeś co dzisiaj rano powiedział emir?

— O zbiegłych Hiszpanach i pięknej niewolnicy!

— Tak, ja ich ocalę. Słuchaj co ci powiem!

Opowiedział o swych planach. Sternik słuchał nie przerywając, a kiedy kapitan skończył, zawołał:

— A niech diabeł porwie tych drabów, sułtana i emira! Ta historia nie obchodzi mnie właściwie, ale Hiszpanie muszą być tęgimi chłopcami i szkoda byłaby, gdyby wpadli w ręce prześladowców. Idę o północy i uwolnię tego biednego Somalijczyka.

— To niemożliwe: kapitan i sternik nie mogą razem opuszczać statku. Jeden musi zostać na pokładzie. Ja pójdę wzięwszy ze sobą czterech chłopców. Gdyby nas przyłapano to będziesz znowu bombardował.

— Dobrze. Sądzisz, że zbiegowie rzeczywiście znajdują się na łodzi i nie znaleźli jeszcze statku?

— Jestem przekonany. Kiedy nas nie będzie, każesz przygotować statek do drogi.

Gdzieś po godzinie dziesiątej, kiedy w przystani i w mieście panowała cisza, łódź odbiła. Pasażerowie wysiedli na samotnym brzegu, jeden z nich został w łodzi. Za kwadrans byli przy murze, przeleźli przez niego ostrożnie nie czyniąc najmniejszego szmeru. W mieście panowała cisza.

Zdjęli obuwie i skradali się aż do domu emira. Obeszli budynek i dostali się do muru wielkiego podwórza. Bezszelestnie zeskoczyli do środka.

Wszystko szło dobrze, gdy nagle jeden z majtków uderzył rydlem w mur, a to wydało głośny dźwięk.

— Szybko za nim i na ziemię! — szepnął kapitan.

Rozkaz wykonano wprawdzie bardzo szybko ale huk nie pozostał bez echa i dały się słyszeć kroki strażnika. Kiedy nic nie spostrzegł, chciał wracać, wtem zniemacka ktoś uderzył go w kark tak, że padł.

— Gotów, a teraz dalej!

Dostali się do wejścia małego podwórza, na którym znajdował się jeniec. Kapitan wyteżył wzrok, aby zobaczyć drugiego strażnika. Nagle usłyszał pytanie, zadane po angielsku:

— Jesteś tutaj, kapitanie?

— Kto to?

— Może mi pan zaufać. Jestem wprawdzie strażnikiem, ale przyjacielem pojmanego.

— Kim jesteś?

— Żołnierzem emira. Jestem Abisyńczykiem i nauczyłem się po angielsku. Gdybyś się nie zjawił, to ja dziś w nocy uciekłbym z jeńcem.

— Można na tobie polegać?

— Pewnie.

— W takim razie do dzieła! Wykopiemy go!

Kosztowało to wiele trudu, aby uniknąć szelestu. Po pół godzinie leżał Somalijczyk na ziemi. Stać nie mógł, musiano go nieść.

Dla silnych majtków nie był to zbyt wielki ciężar. Wrócili wszyscy tą samą drogą, którą przybyli.

Po drodze strażnik opowiadał:

— Jestem abisyńskim chrześcijaninem i żal mi było patrzeć na jego męki. Opowiedział mi wszystko. Dzisiaj w nocy miałem zamiar z nim umknąć, a ponieważ on nie może biec, nasz plan mógł się nie udać. Ale kiedy w wieczorem objąłem straż, powiedział mi, że pan tu będzie.

— Znasz jego język, to znakomicie! Muszę z nim mówić, a nie chciałbym w tym celu fatygować mojego tłumacza, gdyż obawiam się aby mnie nie zdradził.

Przybyli na okręt. Somalijczyk mógł już stać, krew jego wróciła do dawnej cyrkulacji. Obaj dostali jedną kajutę, gdzie byli bezpieczni. Na statku zapanowała cisza, jakby nic się nie stało.

Kucharz przyniósł nowym pasażerom jedzenie, którego szczególnie potrzebował Somalijczyk.

— Panie, jakże wdzięczny będzie ci mój ojciec i inni, że mnie uratowałeś! — rzekł Somalijczyk.

— Gdzie oni teraz są? — zapytał kapitan.

— Na górze Elmas. Są tam bezpieczni, gdyż jest tam kryjówka, znana tylko szczepowi mego ojca. Żaden obcy nie słyszał nawet o tym miejscu.

— Gdzie to jest? Czy ja też mogę wiedzieć?

— Panie, jesteś naszym zbawcą i musisz wiedzieć wszystko. Przed laty, mój ród mieszkał na wybrzeżu. Ponieważ często na nas napadano, to zbudowali moi praojcowie schronisko, w którym mogli ukryć swoje mienie. W ścianie góry była szeroka i głęboka ryna, którą zamurowano. Tylko z dołu pozostawiono otwór, nim dostawało się powietrze. Na murze rośnie trawa i krzaki. Miejsce jest przestronne, pomieści dziesięć wielbłądów i dziesięciu ludzi. Tam Hiszpanie czekają na mnie.

— Ale czy oni są tam jeszcze?

— Umówiliśmy się, że będą czekać pięć dni, nawet gdyby zaszło coś złego.

— Znasz imiona Hiszpanów?

— Jeden mówi do drugiego senior Ferdynand, a sam nazywa się Bernardo. Dziewczyna pochodzi z Meksyku, ma na imię Emma.

Opowiedział wszystko co mu było znane o tej trójcy, gdy nagle usłyszeli plusk wioseł. Przybył sułtan z emirem.

— Nasz jeńiec umknął. — mówił zrozpaczony sułtan — Miałaś rację, ziemia porozsuwała się. Kiedy przysłałeś swego posłańca, nie zrozumieliśmy jego mowy, ale z ruchów poznaliśmy, że mamy iść za nim. Chciałem popatrzeć na jeńcem, ale już go nie było. Zabił strażnika, a drugi... umknął widocznie z obawy przed karą.

— Co uczyniłeś?

— Nie mogliśmy spóźnić się na twój okręt, dlatego wysłaliśmy pogoń wzdłuż brzegu, na południe, gdyż może uciec tam, gdzie znajdują się inni zbiegowie.

— Bardzo dobrze uczyniliście. Teraz siadajcie. Na pokładzie przygotowano dla was namiot. Tłumacz będzie dbał o was. Ja muszę objąć komendę, gdyż natychmiast wypływamy.

— Przepłyniesz nocą przez skały?

— Tak, przyglądałem się im w ciągu dnia, zresztą stoi na przedzie żeglarz, który w razie czego nas ostrzeże.

Weszli do namiotu, niedługo potem usłyszeli rozkazujący głos Wagnera.

Pomału, ostrożnie popłynęli w stronę skał. Był to czas przyływu i żeglarz na dziobie, mimo ciemności poznał w wodzie ciemniejsze miejsce, które znaczyło bezpieczny ślad. Wkrótce wypłynęli dumnie na otwarte morze.

* * *

Prawie pośrodku, między Zejlą i Berberą wznosi się góra Elmas. U podnóża góry leży miejscowość Lamal, która wygląda raczej na obóz Nomadów, niż na porządną miejscowość. Po drugiej stronie znajduje się źródło, koło którego złapano młodego Somalijczyka.

Hrabia Ferdynand przebył ze swymi towarzyszami pełną niebezpieczeństw drogę. Somalijczycy wskazali swoją kryjówkę, w której postanowiono czekać na jakiś statek. Ale minął dzień i okrętu nie było. W miejscowości Lamal mieszkało plemię, któremu nie można było ufać, dlatego wysłano młodego Somalijczyka. Miał obejść Zejlę i odwiedzić przystań Tadschurra, dokąd z pewnością nie dotarły łodzie sułtana.

Gdy następnego wieczora, zbiegowie wyprowadzili wielbłądy do źródła, znaleźli łuk. Musieli być tutaj ludzie. Gdy tylko Somalijczyk podniósł łuk, zawołał przerażony:

— Tu była walka!

— Skąd wiesz? — zapytał hrabia.

— Ten łuk jest rozcięty. To mogło się stać tylko w walce. Szukajmy dalej!

Nagle don Ferdynand znalazł sznur, na którym wisiało coś okrągłego.

— Znalazłem coś, co to może być?

Somalijczyk wziął przedmiot do rąk i krzyknął przerażony:

— To talizman, który mój syn Murad Hamsadi nosił na szyi. Napadli go i uprowadzili do Zejli. O mój synu zginąłeś, ale ja cię pomszczę!

Z trudem udało się go uspokoić. Postanowiono przeszukać miejsce jeszcze raz o świcie.

Rankiem udali się do źródła. Pierwszą rzeczą, którą tam zauważyli był kawałek odzieży. Somalijczyk przypatrywał mu się uważnie.

— Widzicie, że mam rację — rzekł. — To kawałek odzieży mego syna. Walczył tutaj z napastnikami.

Znaleziono ślady krwi. Płacz i narzekania starego były wielkie. W gniewie ogromnym chciał dosiąść wielbłąda i popędzić do Zejli. Tylko obietnica czekania i pewność, że syn żyje, powstrzymała go od tego.

Minął kolejny dzień. Czasem wybrał się któryś ze zbiegów na górę, popatrzeć czy nie nadpływa jakiś zbawczy statek. Nic jednak oprócz łodzi emira, przeszukujących wybrzeże, nie zauważono.

— Widzicie, że jesteśmy zdradzeni! — rzekł. — Emir już kazał nas szukać. Nie dajcie się spostrzec, gdyż zginęliśmy.

Minął dzień, właśnie ten, w którym kapitan Wagner przybył do Zejli. Dzień trwogi i niepewności. Troska o syna gryzła Somalijczyka. Ponownie wyszedł na górę i usiadł rzucając tęsknym okiem na morze. Widział morze, a nie oddział jeźdźców, którzy zbliżali się od północy i zauważyli go.

W ostatniej chwili ujrzał grożące niebezpieczeństwo. Rzucił się pędem z góry. Ale i oni popędzili konie i dotarli do stóp góry prawie w jednym czasie. Somalijczyka poznali po ubiorze i już sądzili, że go mają w ręku, kiedy nagle zniknął przed ich oczyma, akby go połknęła ziemia.

Zniknął w kryjówce, gdzie ostrzegł towarzyszy:

— Przygotujcie się do walki, nadchodzi ośmiu jeźdźców emira!

— Przejadą obok — rzekł don Ferdynand.

— Nie, zobaczyli mnie, wiedzą gdzie zniknąłem.

— Chodzi o nasze życie, wolność i tajemnicę schronienia. Muszą umrzeć jeśli je odkryją.

Hrabia wstał z ziemi, Bernardo poszedł za jego przykładem, chwycili za broń! To samo uczynił Somalijczyk. Nagle usłyszeli głosy:

— Tutaj zniknął, widziałem dobrze!

— Jak mógł tutaj zniknąć? W ziemię się zapadł?

— A nie może ziemia ma jakiś otwór? Chodźcie przekonamy się!

Zbiegowie usłyszeli tupanie nóg. Aż nagle ktoś zawołał:

— Chodźcie, mam ich. Tutaj jest próżnia, ale nie w ziemi tylko na skale. Tutaj musi być jaskinia. Utopić w niej dzidę!

Z pomiędzy palinowych drzewek, które tworzyły wejście do jaskini, zobaczyli dzidę, a właściciel jej zawołał:

— Chodźcie, mam! Dzida utonęła w zagłębieniu.

— Otworzyć! — zawołał hrabia. — Nasze życie więcej warte niż ich.

Somalijczyk odepchnął ścianę wejściową, a żołnierze odskoczyli ujrawszy w zagłębieniu trzech uzbrojonych mężczyzn.

— Ognia! — zakomenderował hrabia.

Huknęły flinty, każda dwa razy, resztę dopełniły rewolwery. Ośmiu prześladowców padło. Przynajmniej tak się wydało. Kiedy zbiegowie wyszli z ukrycia zobaczyli, że jeden jeszcze żył. Somalijczyk przykląkł nad nim i zapytał:

— Przybyliście z Zejli? Mów prawdę, stoisz na progu śmierci, która cię zaprowadzi albo do raju albo do piekieł.

— Tak — odpowiedział cichy głos.

— Złapano wczoraj jakiegoś Somalijczyka?

— Tak.

— Jak się nazywał?

— Murad Hamsadi.

— Gdzie jest?

— Uciekł wczoraj wieczorem. Właśnie go szukaliśmy... — to były jego ostatnie słowa.

Somalijczyk zawołał:

— Uciekł! Dzięki Allahowi! Żyje, jest wolny. Powiedział to ten zmarły, nie pójdzie na drogę śmierci bez modlitwy.

Ukląkł i pomodlił się, a potem zaniósł go do morza i rzucił w wodę. Konie prześladowców uciekły spłoszone hukiem wystrzałów. Tajemnica Somalijczyków została uratowana.

Kiedy zbiegowie wiedzieli, że posłaniec ich jest wolny, znowu w ich serca wstąpiła nadzieja. Spokojnie oczekiwali przybycia nocy, nie przeczuwając jak ona się dla nich skończy...

Kapitan Wagner, z powodu ciemności wy płynął daleko w morze, dopiero nad rankiem powrócił do brzegu. Przeciwny wiatr przeszkodził w posuwaniu się naprzód.

Powolna podróż sprzykrzyła się sułtanowi i emirowi. Inaczej wyobrażali sobie kapitana Wagnera. Od czasu kiedy stanęli na pokładzie, rzadko do nich mówił i takim tonem, jakby byli jego niewolnikami. O zmroku przeszedł przez ich namiot, wykorzystał to sułtan i rzekł:

— Jeśli tak dalej pójdzie, nie złapiemy nikogo. Jakże dotrzymujesz słowa?

— Cicho! — rozkazał mu przez tłumacza Wagner. — Nie jesteś w Hararze. Dałem słowo, że zatrzymam zbiegów i dotrzymam go.

— Jakim tonem przemawiasz do mnie? — krzyknął sułtan. Kapitan wzruszył ramionami i zwrócił się do kucharza, podając mu jakiś papier.

— Daj tego proszku do kawy Mahometan. Niech zasną wraz ze sługami.

Po godzinie przymusowi pasażerowie mocno spali. Wagner zszedł do kajuty Abisyńczyka i Somalijczyka.

— Zbliżamy się do góry, za kwadrans ujrzymy ją.

— O, Allah, to się ucieszy mój ojciec!

— Pałą światło w tej pieczarze?

— Tak, mają tam cienkie pochodnie z daktylowych prętów i dzikiego wosku.

Wyszedł na pokład. Kapitan oglądał wybrzeże, potem przystąpił do sternika.

— Stój! Tu zarzucimy kotwicę i spuścimy dwie łodzie. Jesteśmy u celu. Sułtan i emir będą zdziwieni.

Somalijczyk i kapitan wsiedli do łodzi. Wkrótce zbliżyli się do ciemnej góry. Somalijczyk stanął w jednym miejscu, wsunął rękę w murawę, odsunął trochę i ujrano cienki pas światła. Kapitan zajrzał do środka.

Tam siedzieli zbiegowie. Don Ferdynand rozmawiał z Emmą. Wagner mało znał hiszpański, ale rozumiał słowa mówione szeptem.

— Tylko ojczyznę chciałbym zobaczyć, popatrzeć w twarz moim wrogom, a potem niech umrę — rzekł hrabia.

— Zwycięży pan swoich wrogów i będzie długo jeszcze żył. Spodziewam się, że wybawca nasz zjawi się!

— On już się zjawił — zabrzmiał głos przy wejścia.

Wszyscy podskoczyli przerażeni. Drzwi się otworzyły, wszedł Wagner oświetlony blaskiem pochodni, a za nim Murad.

— Mój syn! — zawołał stary Somalijczyk.

— Mój Boże, kim pan jest? — zawołał hrabia drżącym głosem.

— Jestem niemieckim kapitanem, na statku „Syrena”, nazywam się Wagner. Przychodzę zabrać was i zawieść dokąd chcecie.

— O Panie, nareszcie, nareszcie!

Hrabia zemdlął z radości. Emma uklękła koło niego, by go podtrzymać.

— Mój Boże, po tylu latach posyłasz mi promień łaski!

I Bernardo płakał. Była to scena, która wzruszyła nawet żeglarza. Hrabia pierwszy przemówił, wyciągnąwszy do kapitana rękę.

— Jest pan aniołem, posłańcem bożym. Ale skąd pan wiedział o nas.

— On mi powiedział — Wagner wskazał na Murada.

Murad zrozumiał, że o nim mowa.

— On mnie uratował z więzienia z narażeniem własnego życia — rzekł. — Bombardował Zejlę i kpił nawet z sułtana Hararu. To bohater, niech go Allah błogosławi!

Długo to trwało zanim zakończyły się pytania i odpowiedzi. A potem obaj Hiszpanie opowiadali o swojej nędzy i niewoli.

— Ale, jak mam pana nazywać? — zapytał kapitan.

Kapitan był zaskoczony usłyszawszy, że dłuгоletni jeńiec jest hrabią.

— Jestem na pańskie usługi. Ale pomówimy na pokładzie. Teraz coś bardziej prozaicznego!

Wyjął flaszki z winem i torbę z europejskim pożywieniem. Podczas zjadania tych delikatesów opowiadano o zajściach w Zejli, a potem omówiono przyszłość. Wagner obiecał dowieść hrabiego, Bernarda i Emmę do Kalkuty. Somalijczycy pozostawali, otrzymawszy z podarunku sułtana ładną cząstkę.

Wreszcie na dany znak, na gwizdnięcie kapitana, przybyli majtkowie i zabrali rzeczy podróżników na statek. Zdziwili się niezmiernie ujrawszy jaskinię, jeszcze jednak więcej, gdy ujrzeni ciężkie wory. Nie przypuszczali jednak, że trzymają w swych rękach miliony. Wreszcie pożegnano się z Somalijczykami i łodzie odbiły od brzegu. Skoro przybyli na pokład, Mahometanie ciągle spali. Kucharz przygotował kajutę kapitana dla Emmy, dla hrabiego zaś rozstawiono namiot.

Do rana był czas na odpoczynek. Po krótkim śniadaniu, dotychczasowych zbiegów ukryto, a Mahometan obudzono. Ziewając, kazali sobie podać kawy.

Kiedy ją pili przeszedł się kapitan jakby od niechcenia przez ich namiot. Sułtan zawołał:

— Płyniemy dzisiaj tak wolno jak wczoraj.

— Prawdopodobnie.

— To nie złapiemy tych drabów. Zawiedliśmy się na tobie!

— Masz słuszność, choć nie do końca. Wy śpicie a ja pracuję. Dzisiaj w nocy złapałem ich.

— *Allah il Allah!* Czy to prawda? Nie brak żadnego?

— Żadnego. Nawet Somalijczyka, który uciekł z abisyńskim strażnikiem.

— Uciekł? Na Allacha, dostanie się im! Muszę ich zobaczyć wszystkich, wszystkich. Czy niewolnica także jest?

— Powiedziałem ci przecież, że nie brak nikogo!

— To muszę ich zaraz widzieć! Słyszysz? Gdzie oni są?

— Popłyn z nami na brzeg, jeśli pragniesz ich zobaczyć. Zaraz spuszczę łodzie, weź wszystkich swoich ludzi, będą potrzebni.

Sułtan i emir biegali od jednego końca okrętu do drugiego, krzyczeli na swych poddanych i nie zauważyli, co się dzieje na pokładzie. Ich łódź spuszczone. Przy kotwicy stało kilku ludzi a inni krzżeli się koło lin, tak dla zabicia czasu. Uważny obserwator musiałby jednak zobaczyć, że statek trzymano w pogotowiu.

Wreszcie Mahometanie byli gotowi i oglądali się za kapitanem.

— Wsiadać! — zakomenderował i udał, że wraca do drugiej łodzi. Ostatni sługa stał jeszcze na trapie, gdy Wagner wrócił na pokład.

Na jego znak podniosła się kotwica a żagle rozwinięto. Wtedy spojrzął do łodzi emira i rzekł do sułtana:

— Teraz zobaczysz, że dotrzymałem słowa i mam w swoim ręku zbiegów. Który z nich jest ci najdroższy?

— Biała niewolnica — odpowiedział zapytany. — Ale dlaczego nie schodzisz?

— Bo chcę ci ją pokazać nie idąc z tobą. Popatrz!

W tej chwili Emma podeszła do burty i pokazała się. Sułtan zdziwiony zawołał:

— *Allah il Allah*, to ona, to ona! Muszę wracać!

Chciał znów stanąć na trapie, ale kapitan dał znak jednemu ze swoich ludzi, i on odłączył linę, rzucił ją do łodzi, która pod szybkimi krokami sułtana tak zaczęła się chwiać, że tyran upadł. Porwał się jednak szybko i zawołał:

— Stój, co to? Dlaczego nas odwiązujesz? Muszę na górę, przyprowadzić niewolnicę. Ona jest moją własnością! A gdzie reszta?

— Tu.

Na te słowa wskazał Wagner hrabiego i Bernarda. Tłumacz nie miał pojęcia o tym, że szukani znajdują się na pokładzie. Teraz spostrzegł to i szepnął kapitanowi do ucha przerażony:

— Co uczyniłeś panie! Przyniesie to zgubę i tobie, i mnie! Sułtan i emir zemszczą się strasznie.

— Nie boję się.

— Ty nie, ale ja. Często przybywam do Zejli i Berbery.

— Nie odwiedzisz ich więcej.

— To poniosę wielką stratę!

— Wyrównam ją.

— Mimo to nie mogę być dalej twoim tłumaczem.

— Nie trzeba, ja sam będę mówił — powiedział hrabia, który słyszał tłumacza. Przystąpił do bandy, sułtan zobaczył go i zawołał:

— Na Allacha, to oni! Rozkazuję wam wziąć mnie z powrotem na pokład.

— Ani nam się śni! — śmiał się hrabia.

— To chodźcie na dół, rozkazuję wam!

— Oszalałeś! Co masz nam do rozkazywania? Jesteśmy wolni.

— Draby jesteście, nędzne draby! Macie moje pieniądze i skarby! Wydajcie mi je zaraz!

— Śmieszne! Chrześcijański hrabia długo był zmuszony u ciebie służyć, dlatego bierze zapłatę. Bywaj zdrów i nie zapomnij nauczki otrzymanej od nas.

Łódź odplynęła od statku. Złość tyrana była tak wielka, że nie był w stanie powiedzieć słowa. Głos zabrał emir:

— Nakazuję wam zabrać nas znowu. Czy mam was zmusić?

— Ależ oczywiście! — zaśmiał się hrabia.

— Sułtan dał mi pismo, że mam otrzymać nagrodę.

— Każ ją sobie wypłacić! Warunki spełnione. Miałeś otrzymać nagrodę, skoro my dostaniemy się w ręce kapitana. Znajdujemy się obecnie w jego ręku. Muszą więc ładunki z wielbładami być twoje!

— Psie! — zgrzytnął emir. — Oszukaliście nas.

— Ale wy nas nie. Na to byliście za głupi. Bywaj zdrów!

Emir wskazał gniewnie ręką na okręt i rozkazał:

— Weźcie wiosła do rąk! Kapitan zakomenderował:

— Hola chłopcy, wiatr w żagle, cała naprzód!

Posłuchano i gdy łódź chciała dotknąć statku, uderzył ją tak mocno, że się przewróciła i Arabowie wypadli w wodę.

Wtem dał się słyszeć z brzegu głośny krzyk. Sułtan, którego podtrzymywało dwóch ludzi popatrzył w tę stronę i poznał Somalijszyków, którzy stali na brzegu, na jego wielbładach i głośno cieszyli się z jego wypadku.

— Te psy były ich przewodnikami, mają moje wielbłady! — Krzyczał. — Szybko! Na brzeg, musimy ich złapać!

Stojący na pokładzie okrętu widzieli jak Arabowie usiłovali dostać się do brzegu. Zaledwie jednak tam dotarli, roześmiali się obaj Somalijszyki i pogalopowali na szybkoconogich zwierzętach. Obaj wielcy panowie i tutaj ponieśli klęskę.

— Biada temu, kto dostanie się teraz w ręce sułtana.

Statek wypłynął na pełne morze. Po południu spotkano angielski handlowiec, który płynął z Cejlonu do Adenu. Zabrał tłumacza, którego już nie potrzebowano.

Ze względu na panujący upał w ciągu dnia wypoczywano, wieczorem zaś zbierali się pasażerowie koło kapitana i omawiali ważne sprawy.

Kapitan chciał się czegoś dowiedzieć o losach ludzi, których uratował. Było prostym, dobrodusznym człowiekiem. Cieszył się, że mógł pomóc nieszczęśnikom.

Hrabia zrozumiał, że zawdzięcza mu wszystko. Zrozumiał też, że dalsza pomoc kapitana będzie dla nich wielce korzystna i postanowił wtajemniczyć w przeżycia wszystkich bohaterów historii swego rodu.

Kapitan ucieszył się tym wielce i rzekł:

— Senior, daję słowo, że możesz na mnie polegać.

— Proszę mi powiedzieć, czy zna pan może okręt „La Pendola”.

Kapitan namyślał się chwilę, potem rzekł:

— „La Pendola”? Tak. Widziałem go w Portsmouth i spotkałem się z nim potem na otwartym morzu. Znany był jako najlepszy żaglowiec. Byłem wtedy jeszcze drugim sternikiem.

— A kapitana Landolę zna pan?

— Tak. Żeglarze znają się. Podobno był Hiszpanem, ale wyglądał na Jankesa.

— Jak się podobał panu?

— Hm, nie bardzo. Ma w sobie coś odpychającego.

— A czy zna pan inny okręt, „Le Lion”?

— „Le Lion”? Do pioruna! Czy myślisz pan o sławnym piracie?

— Tak, kapitan Grandepri, nieprawdaż?

— Tak jest. I pyta pan, czy go znam? Znam i to lepiej niż innych żeglarzy.

W blasku latarni było widać, że brwi jego ściągnęły się surowo, a oczy zabłyśły gniewnie. Dopiero po chwili dodał:

— Dlaczego pyta mnie pan o tego draba?

— Bo w moim życiu odgrywa bardzo ważną rolę.

— W moim też. Wprawdzie szybko wyrwałem się od niego, ale...

— Wyrwał się pan? Byłeś w jego mocy?

— Tak, jako pirat. Dziwi to pana? Czy dalej może mnie pan uważać za człowieka uczciwego?

— No cóż, znam jednego, który również był na służbie u kapitana Grandepriise, a mimo to jest zacnym człowiekiem. Po tych słowach, wskazał hrabia na ogrodnika.

— Był pan na „Lionie” i to dobrowolnie?

— Boże uchojaj. Z musu. Uciekłem zresztą... Z pewnością znacie panowie Barcelonę. Byłem tam z barką ze Strastmundu. Mielismy naładować oliwę i południowe owoce. Gdyby statek szczęśliwie wrócił do domu, miałem otrzymać za żonę córkę właściciela. Kochaliśmy się bardzo i cieszyłem się ogromnie bliskim weselem. W tym nieszczęsnym porcie kotwiczyła „Pendola”, kapitana Landoli, cacko prawdziwe. Dostałem pozwolenie zejścia na ląd. W knajpie poznałem się z kilkoma marynarzami z „La Pendoli” i otrzymałem zaproszenie na pokład. Skoro się tam zjawiłem schwymano mnie i związano linami. Wieczorem wypłynęliśmy na otwarte morze i dowiedziałem się, że okręt został niedawno schwyty przez kapitana Grandepriise, a dowodził nim pierwszy sternik. Kapitana samego nigdy nie widziałem.

— I dokąd udali się z panem?

— Najpierw na morze Śródziemne, a potem do Ameryki Południowej. Na wybrzeżu Peru udało mi się przy pomocy jednego pocziwca, podczas ciemnej nocy dotrzeć do brzegu. Sam on nie chciał uciec ze mną. Nie zapomnę o nim nigdy, nazywał się Garbillot.

— Garbillot? Jaques Garbillot? — zapytała Emma.

— Zna go pani?

— Z opowiadania. Nie żyje już. Umarł w więzieniu w Barcelonie, a mój przyjaciel, Sternau był obecny przy jego spowiedzi. Tym sposobem dowiedział się, że hrabia jeszcze żyje i gdzie jest ukryty.

— Dziwne są drogi boże — rzekł hrabia. — Ale opowiadaj pan, co było dalej?

— Powodziło mi się bardzo źle. Nie znalazłem statku, który by mnie zabrał. Prawie po roku pewien Holender zlitował się nade mną, tak dostałem się do Amsterdamu, a stamtąd do domu. Tymczasem minęły dwa lata. Stary Walter uznał mnie za zbiega i wydał swoją córkę za innego. Kiedy jej później opowiadałem co zaszło, prawie wypłakała sobie oczy. A wszystkiemu winien Grandepriise! Wszystko bym mu przebaczył, ale nie to, że nie otrzymałem Anny i zamiast z nią ożeniłem się z dziobatym smokiem. Tego mu nie zapomnę! Gdybym go tak pochwycił w swoje łapy chętnie bym mu porachował kości!

Widać było, że przepełniony był uczuciem zemsty, dlatego hrabia zapytał:

— Kiedy pan widział Landolę w Portsmouth? Przed schwyтaniem czy po? Landola bowiem i kapitan Grandepriise, to jedna osoba!

— Nie może być! — krzyknął kapitan. — Powinien dawno to odgadnąć. Nie ujdzie mi.

— Może nie jest już piratem. Może ostatnimi jego ofiarami byli nasi przyjaciele, których wysadził na wyspie.

— Na wyspie? Jakiej?

— To muszę opowiedzieć obszerniej, kapitanie.

Opowiedział kapitanowi o wszystkim. Wagner słuchał nie przerywając. Tylko częste tupanie nogami zdradzało podenerwowanie. A kiedy hrabia skończył, kapitan rzekł:

— Niesłychane! Podłe! Straszne! I to wszystko prawda? A niech go diabli wezmą! Co w porównaniu z tym znaczy moja Anna! Czy nie mamy prawa do zemsty?

— Rozumie się! Zemścić się musimy, póki czas!

— On jeszcze z pewnością żyje. Takie draby żyją długo. Ale proszę mi powiedzieć co pan myślał, kiedy tak leżał w letargu?

— Strasznie. Ledwie mogę o tym mówić. Słyszałem każde słowo i widziałem wszystko, gdyż zapomniano mi przytknąć jedno oko. Mogłem odróżnić prawdziwą żalobę od udawanej. Ten drab Alfonso, który uchodzi obecnie za prawdziwego hrabiego Rodriganda nie mógł ukryć

swojej diabelnej radości, kiedy mię ujrzał na katafalku. Opłakiwała mnie szczerze tylko piastunka, Maria.

— A my? A mój ojciec? — zapytała Emma.

— Mówię tylko o obecnych przy mnie. Wy byliście na dalekiej hacjendzie. Pogrzebano mnie wśród ogromnej pompy. Nie życzyłbym nawet najgorszemu wrogowi, aby miał to wycierpieć co ja w owych chwilach. Tylko Kortejowi i Landoli mógłbym życzyć czegoś podobnego....

Gwiazdy południa błyszczą na niebie, a chłód wieczora pieścił ich oblicza.

— A w grobie? — zapytał kapitan.

— Zapytaj pan Dantego, poetę piekieł, a on panu powie. Tego się nie da opisać. Ustawiono kosz i oczekiwano mojego przebudzenia się. Przyszło. Najpierw mogłem poruszać językiem, potem, za parę dni, mogłem ruszać członkami. W tym czasie wyciągnięto mnie z kosza. Reszta jest już znana. Landola powiedział otwarcie, że mam żyć jako jego gwarancja. W Berberze sprzedano mnie do Hararu, gdzie dopiero po tylu latach znalazłem ratunek.

Opowiedział wszystko, co konieczne. Kapitan zapytał:

— Co pragniesz teraz uczynić, hrabio?

— Kupić okręt i spieszyc na pomoc udręczonym przyjaciołom.

— Ale parowiec będzie drogi.

— Zapłacę każdą sumę! Zna się pan na prowadzeniu parowca?

— Tak. Najważniejsze to dobry maszynista, gdyż z maszyną kapitan ma mało do czynienia.

— Jestem panu mocno zobowiązany i dlatego nie śmiem nawet zapytać, czy zna pan Pacyfik?

— Czy znam? — zaśmiał się Wagner. — Jak własną kieszeń! Jako chłopak okrętowy przepłynąłem prawie każdy stopień szerokości i długości. Znam wszelkie wody. Tylko tutaj nie byłem jeszcze. Ale dlaczego pan pyta?

— Ponieważ ufam panu. Chciałbym aby właśnie pan zaprowadził nas na tę wyspę.

— Naprawdę? Chętnie — zawołał kapitan. — Hrabio, czy naprawdę chce pan ze mną, ze starym morskim wygą rzucić się w pogoń za losem?

— Ale co zrobimy z tym statkiem?

— Nie ma żartowania. Zrobiliśmy złoty interes. Potrzebuję tylko w Kalkucie wziąć ładunek i jestem gotów. Mój sternik sam dopłynie szczęśliwie do domu. Można na nim polegać.

— Wspaniale, a więc zgoda?

— Zgoda — zawołał kapitan.

Po trzech tygodniach, dotarli do Kalkuty. Wagner nabył tam ładunek, a potem rozglądął się za parowcem. Niestety. Jedne były własnością państw albo towarzystw, drugich — dobrych nie było wcale. Już Wagner zwątpił w szczęście, kiedy pewien Anglik przybył własnym parowcem i wystawił go na sprzedaż.

Wagner oglądnął statek, a ponieważ mu się spodobał kupił go, zatrzymał całą załogę, co tym ludziom było bardzo na rękę.

Hrabia bez trudu sprzedał posiadane kosztowności. Zakupiono zaraz żywność, węgiel i inne niezbędne rzeczy. Podróżnicy przygotowywali się do odjazdu. Emma otrzymała nowe suknie a hrabia i Bernardo mogli zażyć przyjemności jakich długi czas nie mieli.

Wreszcie wypłynęli.

Emma oznaczyła położenie wyspy wedle słów Sternaua, ale nie były one zbyt dokładne. Trzeba więc było długo szukać w oznaczonej w przybliżeniu okolicy.

Przypuszczalnie wyspa powinna leżeć równolegle do Wysp Wielkanocnych, piętnaście stopni na południe i trzynaście na wschód. Zaczęli krążyć wokół tego miejsca. Trwało to kilka dni i nie przyniosło żadnego rezultatu. Ze względu na podwodne rafy, Wagner nocą zatrzymywał maszynę.

Pewnej nocy stał Wagner na mostku kapitańskim i przyglądał się horyzontowi. Obok stał hrabia z lunetą. Nagle kapitan się poruszył:

— Proszę mi dać lunetę, senior. Tam na morzu widzę jakieś dziwne światło. Tak — rzekł odkładając lunetę. — To nie gwiazda. To płomień ognia. Wyspa jest blisko. Wiem dokładnie, gdzie się znajdujemy, ale na mojej mapie nie ma tu zaznaczonej żadnej wyspy, czyli, że zbliżamy się do jakiejś zupełnie nieznannej.

Rozkazał puścić parę rakiet, które nie przyniosły skutku.

— Nie spostrzegli nas. Gdyby bowiem ujrzeli sygnał, to też by nadali swój. Musimy czekać do rana.

— Kto to wytrzyma? — zapytał hrabia niecierpliwie.

— My. Seniorita Emma mówiła przecież, że są tam niebezpieczne skały. Rankiem z pewnością zobaczymy, co mamy przed sobą.

— A może wystrzelić z armaty?

— Nie. Jeśli mieszkańcy są dzikimi ludźmi to wystrzały ich przestraszą i rankiem nie znajdziemy nikogo. A gdy o świcie ich zaskoczymy, to może dowiemy się czegoś istotnego.

Kapitan poprosił hrabiego, by udał się na spoczynek, ten jednak nie słuchał. Przechadzał się niespokojnie po pokładzie.

O świcie, majątek na bocianim gnieździe doniósł o wielkich rafach. Statek skręcił w lewo i ominął niebezpieczeństwo. Wkrótce na wschodzie zaczęło szarzeć i można było rozpoznać zarys wyspy, otoczonej pierścieniem koralowych skał. Morze było spokojne i po kilku minutach dokładnie było widać wyspę. Wzgórza zarośnięte były krzakami, ale nigdzie nie zauważyli nawet śladu człowieka. Hrabia stanął na moście kapitańskim i zapytał:

— I co, kapitanie?

Głos mu drżał ze wzruszenia. Kapitan rzekł pomału:

— Jesteśmy u celu, panie hrabio!

— Naprawdę? — zawołał hrabia głośno.

— Pst! — ostrzegął Wagner. — Obudzisz pan senioritę!

— Dlaczego nie mamy jej budzić?

— Bo chciałbym jej sprawić niespodziankę. Niech zobaczy ich na pokładzie. Sami udamy się na wyspę! Spuścimy kotwicę i wsiadajmy cichutko do łodzi. Mieszkańców wyspy zastaniemy śpiących. Podziwiam nautyczne wiadomości Sternaua. Znakomicie to wszystko obliczył!

Kapitan wsiadł z hrabią i czterema wioślarzami do łodzi. Wszyscy byli ciekawi, czy to ta wyspa.

Łódź przedarła się przez skały szczęśliwie. Wioślarze pozostali na brzegu, a kapitan i hrabia pomału i ostrożnie postępowali w głąb wyspy.

Obeszli pagórek i ujrzeli cały szereg niskich chat, zbudowanych z ziemi i gałęzi. Drzwi zawieszane były skórami, a naokoło domków rosły dorodne krzaki.

Obaj mężowie spostrzegli coś jeszcze.

Przed nimi, przy ostatnim krzaku stała nadzwyczaj wysoka i barczysta postać, ubrana w spodnie i bluzę ze skór króliczych, na nogach miała sandały, a na głowie szeroki kapelusz, pleciony z długiej trawy. Pełna, czarna broda tego mężczyzny sięgała mu po pas, a długie włosy spadały na ramiona. Twarzy miał poraną zmarszczkami, ale szlachetną. Z oczu biła godność i dobroć. Był to Sternau, w czasie porannej modlitwy.

— Panie, zlituj się nad nami! Przyślij nam pomoc, daj silne serce, by znieść niedolę naszą. Bądź błogosławiony za to, że nas drugie lata utrzymywał w zdrowiu. Niech Twoja mądrość nie zaginie przez wieki wieków. Amen!

Po policzkach spływały mu łzy. Nagle drgnął. Jakaś ręka oparła się na jego ramieniu i ludzki głos wyszeptał:

— Modlitwa pańska została wysłuchana!

Obrócił się i ujrzał kapitana, a za nim hrabiego. Cofnął się, padł na kolana, oczy otworzył szeroko, a usta mu drżały. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

Kapitan zrozumiał, że radość mogła zabić tego człowieka.

Wreszcie Sternau rzekł wolno i z namysłem:

— Och Boże, czyż możliwe? Kim jesteście?

— Jestem niemieckim marynarzem, który chce pana stąd zabrać. Mój statek stoi na kotwicy tam, za pagórkami.

Spodziewał się że Sternau wstanie, ale on padł jak rażony gromem. Widać było jak drżał. Płakał, a kapitan wiedział, że płacz ten przyniesie ulgę.

Po chwili Sternau wstał, spojrzął na obu i zapytał:

— To prawda! Widzę was. Tu są ludzie! O Boże jaka ulga! Ale to szczęście mogło mnie zabić!

— Przepraszam! — rzekł kapitan — Byłem nieco nieostrożny, ale opisano nam pana, jako niespotykane mocnego człowieka.

— Opisano mnie? To niemożliwe!

— Przeciwnie! I to tak dokładnie, że musiałbym być ślepy, by nie poznać w panu doktora Sternaua!

— Naprawdę pan mnie zna! Co za zagadka!

— Ten pan opowiedział mi o panu.

Wskazał na hrabiego, Sternau przyjrzał mu się dokładnie, oczy zabłyszczały, wyprostował się i odetchnął całą pierś.

— Prosiłem, aby mi panowie powiedzieli skąd przybywacie, aleja sam wam powiem: z Hararu! A ten senior, to z pewnością hrabia Ferdynando de Rodriganda!

— Tak, to ja — rzekł hrabia po hiszpańsku.

— Mój Boże, ja się wybrałem aby pana ratować, tymczasem pan przybywa, by mnie zbawić. Poznałem pana po rysach twarzy, po uderzającym podobieństwie do don Emanuela.

Wyciągnął ramiona i obaj ciężko doświadczeni losem mężczyźni padli sobie w ramiona, jak starzy przyjaciele...

— *Uff!* — dał się słyszeć głos z jednej chaty, a po tym okrzyku zdziwienia nastąpiły inne.

Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów obudził się, usłyszał głos i wyszedł na pole, zaraz też odchyliły się skóry stojącej obok chatki i zjawił się Bawole Czoło, wódz Misteków. Spojrzął na przybyszów i ogromnym susem podbiegł do hrabiego.

— *Uff.* Don Ferdinand!

Widział go kiedyś w hacjendzie del Enna. Hrabia poznał go także, wypuścił z objęć Sternaua i pochwycił Indianina.

Okrzyki Indian były takie głośne, że reszta śpiących ocknęła się. Obaj Helmerowie a po nich Karia, córka Misteków zjawili się w podobnym ubraniu, jak Sternau.

Nastąpiła scena, którą nie sposób opisać. Radości i niekończące się pytania. W końcu ruszyli na wzgórze, aby ujrzeć statek. Machali rękami i wyglądali na obłąkanych.

Jeden tylko zachował chłodną powagę, Antoni Helmer, Piorunowy Grot. W jego oczach błyszczały łzy.

— Nie cieszy się pan? — zapytał kapitan.

— Cieszę! Ale radość moja byłaby stokroć większą, gdyby... gdyby ona tu była.

Kapitan nie pytał więcej, Sternauowi spieszyło się na pokład.

Rozpoczął się prawdziwy wyścig do łodzi. Sternau dobiegł pierwszy. Nawet obaj zazwyczaj tak poważni Indianie biegli jak młodzi chłopcy. Skoro wszyscy wsiedli, zagrzmiały działa, bandera zawisła na maszcie, łodzie odbiły w stronę parowca.

Emma spała, pierwszy strzał obudził ją. Przeraziła się. Narzuciwszy na siebie suknie stanęła na pokładzie. Ujrzała szukaną wyspę. Dziko wyglądające postacie, które wchodziły na pokład. Jeden z ocalonych stanął zdziwiony, potem rzucił się naprzód, z okrzykiem:

— Emmo!

— Antoni! — zawołała.

Padli sobie w objęcia, obsypali się pocałunkami, śmiali i płakali na przemian.

W końcu wszyscy udali się na porządne śniadanie. Było wesoło. Postanowili na razie używać szczęścia i rozkoszy spotkania, a wszystkie pytania odłożyć na później. Obiad planowano na wyspie, a potem chciał kapitan jak najprędzej wypływać.

— Ale dokąd? — zapytał Sternau.

— Do Meksyku, do mojego ojca — odparła Emma.

— Do Meksyku, do oszusta, draba Kortejo! — groził hrabia.

— Do Meksyku, do Misteków! — dodał Bawole Czoło.

— Do Meksyku, do Apaczów! — krzyknął Niedźwiedzie Serce.

— Dobrze! Do Meksyku! Wszyscy razem! — rozstrzygnął Sternau.

— Gdzie wylądujemy? — zapytał kapitan.

— Tam, skąd udaliśmy się na morze, a raczej po nieszczęście!

— Do Guaymas?

— Tak. Tam dowiemy się co dalej robić.

Ucztowano na wyspie. Robinsonowie w skórach zwierzęcych jedli jak książęta. Na końcu spełniono szampanem toast. Kapitan przemówił:

— Moje damy i moi panowie. Zanim rozjedziemy się i pożegnamy się, muszę wypełnić poważny obowiązek. Wyspa ta nie jest zaznaczona na żadnej mapie. Musi zostać nazwana. Dlatego proponuję dla niej nazwę Rodriganda. Wznieśmy puchary za zdrowie jej właściciela. Wiwat hrabia Rodriganda! Niech żyje!

Szklanki zadźwięczały. Kapitan machnął flagą, a na ten znak huknęły na parowcu działa.

Później omawiano najbliższe plany i przygotowywano się do drogi. Zabrano wiele rzeczy, które mogły stanowić pamiątkę minionych czasów. Podniesiono kotwicę i statek ruszył ku szczęśliwej przyszłości.